

Zakwestionowanie

u numer. 24 mgje 1880v.

ju

2

ZBIORY OŚRODKA KARTA

4

1979

RES  
PUBLICA

## POGLĄDY

Zamiast własnych cudze poglądy, tu i ówdzie uzyskane i ciekawe:

Rozmowa o wyborach w Stanach Zjednoczonych. Kto będzie prezydentem? Zaiste, kandydaci jakoś nie nadzwyczajnie się przedstawiają. Jeden utopił sekretarkę, oszukiwał na egzaminach, ma żonę pijaczkę. Drugi wprawdzie przystojny, ale tylko tyle się da o nim powiedzieć. Ale przecież - powiada gość z Francji - wszyscy powojenni prezydenci Stanów Zjednoczonych byli ludźmi barzo miernymi. No, J.F.Kennedy, ale też jest wiele przesady w tej całej legendzie. W każdym razie po Kennedy'ach same nieszczęścia, a społeczeństwo amerykańskie rozwija się pomyślnie, problem Murzynów jeśli nie został rozwiązany, to w każdym razie ogromnie złagodzony, nastroj społeczeństwa jest coraz lepszy, demokracja lokalna funkcjonuje dobrze. Więc - wobec tego stanowisko prezydenta jest mało potrzebne i wobec tego stanowisko prezydenta jest mało atrakcyjne, nikt naprawdę wybitny nie myśli nawet się o nie ubiegać? Może Ameryce silne władze centralne nie są do niczego potrzebne, skoro potrafi ona rozwiązać problemy społeczne i gospodarcze bez interwencji tych władz, a - przeciwnie - ich interwencja często tylko utrudnia działania społeczne? Tylko jeśli to jest prawda, to chwila Ameryce i biała Europa, która powinna zdać sobie sprawę, że może liczyć na amerykańskie arsenały i technologię, ale nie na amerykańskie przywództwo. Zresztą amerykańscy dyplomaci bez żenady przyznają, że aktywność międzynarodowa Stanów Zjednoczonych nie jest prowadzona według jakiegokolwiek dalekosiędnego planu, że ogranicza się do pełnienia funkcji pogotowia ratunkowego.

Rozmowy o Iranie; jak się powinien rząd amerykański zachować? Słychać rozmaite, ale z reguły abstrakcyjne opinie, bo też i sytuacja jest bez wyjścia. Można jedynie mieć nadzieję, że dojdzie do jakiegoś "zgnilego" kompromisu, w wyniku którego Amerykanie stracą więcej w opinii, ale ludzie zostaną uratowani. Coraz częściej w rozmowach na ten temat powraca pozornie oczywiste, ale ważne sprzeczności. To sama Europa wymyśliła te straszne rzeczy, które teraz przeciw niej się zwracają. Oczywiście: Kambodża i teraz Iran. Europa nauoczna dwoma strasznymi doświadczeniami XX wieku - hitlerowskim i stalinowskim - potrafi stawiać tamy rozwojowi szaleństw rozumu. Potrafi siebie samą, swoje terytoria chronić przed realizacją swoich produktów umysłowych, system autoregulacji - mimo terroryzmu - jeszcze działa. Ale, puszczając ogień wyobraźni, można uznać, że Europa dokonuje jak gdyby eksportu, wyrzuca z siebie to, czego nie chce strawić. Jest to zresztą praktyka znana od dawna, ale dzisiaj złoczyńców i złoczyńnych myśli, teorii, ideologii, nie da się wywieźć do Australii odciętej od świata wieloletniowym dystansem, dzisiaj to, co zostało wyrzucone wyrasta na obcym gruncie i wraca do Europy, zagraża jej, przekracza słabo ufortyfikowane granice. Stąd ewentualny wniosek: że wciąż naprawa świata i przyszły los kultury europejskiej zależą od samej Europy, od tego, czy potrafi sama rozwiązać, utemperować ekrajności zamiast je usuwać gdzieś, aby dalej, aby zyskać choćby moment oddechu.

Rozmowy kolejowe: narzekania, wiadomo, ludzie mówią po to, żeby dowiedzieć się tego, co już i tak wiedzą. A jednak nowy ton, i często inne niż dawniej nastawienie. Bardziej rzadkie zapasy reformatorskie /panie, żeby była dyscyplina, to konduktor by nie pił/, znacznie częściej zwątpienie totalne, prawie pobłażliwość, czy też

po prostu śmiech. Co to oznacza? Czy wreszcie brak złudzeń? Czy raczej beztrochę tak zupełną, że przerażającą?

## POGŁOSKA

Wysunięte przez Breżniewa w Berlinie Wschodnim propozycje rozbrojeniowe, połączone z obietnicą jednostronnego wycofania z NRD 20 tysięcy żołnierzy i tysięcy czołgów, miałyby być pierwszym krokiem na drodze do realizacji znacznie szerszego planu, zmierzającego do neutralizacji całych Niemiec w ciągu najbliższych dwudziestu lat.

Plan ten przewidywałby wycofanie się RFN z NATO, a NRD z Paktu Warszawskiego. Poza tym z NATO miałyby wystąpić także Grecja i Turcja, w zamian za co ZSRR wycofałyby swoje wojska z Węgier. W ten sposób wojska radzieckie pozostałyby tylko w Czechosłowacji i w Polsce /w Rumunii i Bułgarii ich nie ma/.

NRD pozostałyby "pod obecną komunistyczną kontrolą polityczną", ale byłaby wolna od radzieckiej obecności wojskowej i zezwolono by jej na swobodną ewolucję polityczną, łącznie z możliwością stopniowego zjednoczenia się z Niemcami Zachodnimi i przeprowadzenia wolnych wyborów co pięć lat.

Takie są zasadnicze punkty artykułu opublikowanego w "The Observer" 21 października br. Autor przedstawiając ten plan i objaśniając jego motywacje polityczne powołuje się na "wysoko postawione jugosłowiańskie źródła oficjalne, będące w ścisłym kontakcie z Moskwą" /m.in. na "jednego z najbardziej wpływowych doradców prezydenta Tito do spraw polityki zagranicznej"/, oraz na "koła zbliżone do kanclerza Austrii Bruno Kreisky' ego".

Fale pogłosek na temat radzieckich planów rezebrania sprawy zjednoczenia Niemiec pojawiają się co jakiś czas już od dawna. Bywa to czasem czysta fantazja, kiedy indziej element jakichś

radzieckich nacisków na zachodnich partnerów, bywało to wreszcie pogłosem walk o władzę toczących się na Kremlu. Obecna fala /artykuł z "Observera" jest tylko jednym z licznych jej przejawów, najbardziej działającym na wyobraźnię konkretnością wywodu oraz statusem źródła, na jakie się powołuje/ jest godna uwagi z paru względów, nad którymi warto się chwilę zastanowić.

Pierwszy, to jej długotrwałość: sygnalizowaliśmy w drugim numerze naszego pisma, że jej dalekie echa dotarły już w marcu b.r. nawet na łamy "Polityki".

Drugi - jej większa wiarygodność, wynikająca z obecnej sytuacji strategicznej Europy Zachodniej. Rzecz w tym, że rosnąca niepewność co do niezawodności amerykańskiego "parasola" strategicznego, w połączeniu z utrzymywaniem się przewagi radzieckiej na europejskim teatrze operacyjnym budzi w Europie coraz poważniejsze obawy. W tej sytuacji pokusa jakiegoś samodzielnego ułożenia sobie stosunków z ZSRR za cenę pewnego ograniczenia suwerenności /"finlandyzacja"/ może być silniejsza niż kiedykolwiek, zwłaszcza w RFN, która ma na tym do wygrania doniosły cel narodowy - zjednoczenie. Dawniej perspektywa zjednoczenia Niemiec kojarzyła się z taką oto alternatywą: albo "oddanie" przez Związek Radziecki NRD, albo przyjęcie przez ludność RFN dobrodziejstwa ustroju socjalistycznego w wersji radzieckiej; jedno i drugie było równie nieprawdopodobne. Obecnie można sobie wyobrazić, że ZSRR, dysponując odstraszającą przewagą na terenie Europy, mógłby się zgodzić na jakieś wyjście pośrednie, możliwe do przyjęcia dla Niemców zza Łaby, będąc pewnym, że w razie niełojalności partnera potrafi go, wobec bezradności Ameryki, przywołać do porządku. Jego zyskiem byłoby w takim wypadku "wyżuskanie" potencjału RFN z całości sił NATO.

Trzeci wreszcie wzgląd, mocno zastanawiający, to ten, że ZSRR w żaden sposób, pośrednio ani bezpośrednio, nie demantuje tych pogłosek, a z jego arsenału propagandowego znikły deklaracje na temat dwóch państw niemieckich, jako nienaruszalnego i trwałego elementu europejskiego układu sił.

Wszystko to jeszcze nie stanowi dowodu, że artykuł "Observera" i inne w tym duchu, prawdziwie przedstawiają radzieckie plany. Mogą się za tym wszystkim kryć jakieś manewry zmierzające do uzupełnienia innych celów, w których miarą zjednoczenia i neutralizacji Niemiec byłby tylko elementem przetargowym.

Niezależnie jednak od tego, jak te sprawy wyglądają w trójkącie ZSRR-Europa Zachodnia-USA, nie może nas nie zainteresować stanowisko naszych władz. Nic, co dotyczy dalszych losów Niemiec nie może nam być obojętne. Plan zaprezentowany przez "Observera" oznacza w praktyce przekształcenie Polski w kraj frontowy, ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami: bardziej odczuwalną radziecką obecnością militarną, ideologicznym przykręceniem śruby i "normalizacją" ustrojową pod hasłem zabezpieczenia wojsku zaplecza. Inne warianty zmian w tej dziedzinie również muszą się w ten czy w inny sposób odbić na sytuacji Polski. Opinia polska ma prawo wiedzieć czego się spodziewać. Jeżeli ktoś ma prawo i obowiązek zażądać od Kremła jasnego postawienia sprawy, to właśnie nasz rząd. Być może zrobił to - nic na ten temat nie wiemy. Ale w takim razie jego obowiązkiem jest również zasygnalizowanie odpowiedzi społeczeństwu. Jeśli nie chce lub nie może zrobić tego wprost, to przynajmniej nasz język jest na tyle giętki, a Polacy tak dobrze umieją czytać między wierszami, że nie trudno porozumieć się słuzyjnie.

Zamiast tego raczy się nas, w artykułach prasowych i nie tylko, strzelistymi aktami wierności wobec wielkiego sojusznika i gromami pod adre-

sem nienazwanych sił antyradzieckich i - z tego tytułu - antynarodowych, utrzymanymi w tonie, który trudno nazwać inaczej jak historycznym. Histeria jest jednak nie tylko złym doradcą, ale i złym tłumaczem: taki język nie wyjaśnia nam nic, choćby dlatego, że mniej więcej to samo słyszymy od ponad trzech dziesięcioleci, bez względu na sytuację.

Jeżeli chcemy wiedzieć co się dzieje na linii radziecko-niemieckiej, to nie kryje się za tym platoniczna ciekawość w jakim sosie zostanieemy zjedzeni, lecz przekonanie, że tylko pewien consensus społeczny wokół podstawowych interesów narodowych daje szansę jakiegos przeciwdziałania ewentualnym niekorzystnym dla nas zmianom w tym zakresie, a consensus taki wymaga jasnego rozeznania w sytuacji.

Gdyby po wszystkich szkodach, jakie arbitralne, nie liczące się ze zdaniem społeczeństwa rządu spowodowały w stosunkach wewnętrznych, miało się jeszcze okazać, że władza nie jest w stanie zagwarantować nam nawet tej ograniczonej suwerenności, jaką cieszyliśmy się dotąd, obronić tego minimum, które jest jedyną uznawaną społecznie legitymacją systemu, znaczyłoby to, że spełniły się z nawiązką najgorsze przewidywania najbardziej zawziętych antykomunistów. Lepiej nie myśleć, jakie to miałyby skutki.

Latem upadł Amin Dada, jesienią Bokassa. Amin przez wiele lat cieszył się poparciem Moskwy, Bokassa uważany był za przywódcę prozachodniego. Obaj należeli do światowego folkloru politycznego. Amin celował w obrażaniu, szokowaniu świata cywilizowanego. Bokassy perypetie matrymonialne czy koronacja w stylu napoleońskim bawiły Francuzów. I z całą pewnością obaj władcy bawili się kosztem całego świata. Najeżone rakietami błeki militarne, wywiady i eksperci,

WYGODA

których w miarę swojej potrzeby i fantazji kokietowali, musieli się im prawdopodobnie wydawać dość naiwni. Obaj byli przecież zwyczajnymi tyranami, prostymi mordercami na masową skalę. I to była jedyną ich orientacja polityczna.

Oczywiście różnili się: gustami, charakterem, Amin lubił zabawę, białymi gardził. Był pomysłowy trzeba przyznać: kazał się nosić Anglikom w lektyce, czokgać itp. Potrafił też być serdeczny, równy. Z wysportowanymi pracownikami ambasady francuskiej grywał w koszykówkę. Ambasada sąsiadowała przez zielony zagon z budynkiem policji politycznej. Aby krzyki w godzinach przesłuchań nie raziły zbyt wiele dyplomatów po jakimś czasie zaczęto je zagłuszać silnikami samochodowymi.

Cesarz Bokassa podkreślał zawsze, że jest Chryścjaninem, byłym żołnierzem francuskim, człowiekiem rodzinnym. Podtrzymywał to wszystkim równiaż wówczas, gdy policyjną masakrę uczniów i osobisty czynny udział w niej cesarza można było uznać za udowodniony. Oczywiście ludzie interesu, a także przedstawiciele francuskiej dyplomacji, wiedzieli co o tym myśleć. Kiedy jednak rzecz do czekała się międzynarodowego rozgłosu, losy Bokassy, mimo jego sojuszków międzynarodowych, były przesądzone.

W świecie zachodnim cynizm polityczny: tuszowanie zbrodni, przymykanie oczu na złe, kierowanie się moralnością interesu są na porządku dziennym. Ale zawsze istnieje dla tych praktyk potężna sankcja informacji, publicznego oskarżenia w imię niekwestionowanej normy. Obojętnie czy informację rozdmuchuje się z pobudek komercyjnych, wyborczych, rynkowych: muszą się z nią, chcąc nie chcąc, liczyć dyplomaci czy biznesmeni, rządy wcześniej czy później muszą zdać swej opinii publicznej sprawę ze swego postępowania. W naszym obozie nie istnieje groźba takiej informacji. Dlatego przez całe lata nie można było ani słowem wspomnieć o zbrodniach Amina, a i o Bokassie mówiło się tylko



półgębkiem: groził przecież co jakiś czas swym francuskim mordercą, że zwróci się na Wschód, do bardziej wyrozumiałego partnera, nie można mu było więc zamykać drogi. Teraz dopiero, kiedy przegrali, pisze się o tym wszystkim niby o rzeczy od dawna wszystkim wiadomej. Dyplomaci nasi mają zatem wygodniej: nie muszą bać się dziennikarzy, wyborców, opozycji. Ciekawe, czy niektórzy ich zachodni koledzy po fachu w skrytości ducha, w chwili słabości nie zazdroszą im tego spokoju.

Nwa prawica we Francji, neo-konserwatyści w Stanach Zjednoczonych, pani Thatcher i konserwatyści /podobno tacy sami jak zawsze/ w Wielkiej Brytanii, kolejną zwycięstwa partii konserwatywnych w wyborach w różnych krajach europejskich. Wszyscy już wiemy, że nastąpił zwrot na prawo, jeśli "lewo" i "prawo" w ogóle jeszcze coś znaczą /raczej nie, jeśli wierzyć głosom opublikowanym w wielkiej dyskusji na ten temat przeprowadzonej przez "Encounter"/. Byli tacy, i nie trzeba ich zbyt daleko szukać, którzy od mniej więcej dziesięciu lat rozważali intelektualne atrakcje myślenia konserwatywnego w Polsce. Przyszłość pokaże, jakie szersze skutki ów zwrot na prawo będzie miał, czy jest to raczej awantura finansowo-intelektualna, co nie bez podstaw sądzi się o przypadku francuskim, czy sprawa poważniejsza.

## ZWROT NA PRAWO

Na razie warto zwrócić uwagę na pewną podstawową dwoistość owego zwrotu na prawo, na odległość jego ekspresji politycznej i intelektualnej. Politycznie jest to często, a w każdym razie warto pamiętać o takiej groźbie, populistyczno-reakcyjna przemiana. Popularne stają się wzory silnej władzy, "pokazania im", skończenia z polityką kompromisów i ustępstw. Intelektualnie jest to ożywienie tradycji Burke'owskich i Tocqueville'owskich, wspomnienie filozoficznego podłoża polityki,

sięgnięcie po głębiej ukryte motywacje działań społecznych. Zwrot intelektualny jest skierowany przeciwko fałszywemu optymizmowi liberalno-humanistyczno-oświeceniowemu. Polityczny - przeciwko pewnym zasadom liberalnej demokracji, bez których, być może, nie byłaby ona demokracją.

Istnieje więc - zapewne sformułowania te brzmią nieco na wyrost - niebezpieczeństwo, które wielokrotnie spełniło się w przeszłości. Politycy wykorzystują powierzchowne nastroje mas mogą powołać się na intelektualistów, którzy radzi temu sojuszowi pozwolą na uproszenie i zniekształcenie swoich poglądów. Umysłowe zainteresowanie konserwatyzmem dopiero się obudziło i trzeba poczekać zanim dyskusje doprowadzą do sformułowania stanowisk przekładalnych na język bieżącej polityki. Konserwatyści, zwłaszcza konserwatyści, nie powinni się spieszyć. A przecież politycy zawsze się spieszą i stąd łatwo o pozorny sojusz a w rzeczywistości o konflikt, który musi zakończyć się przegraną intelektualistów.

OKOJNY ROSJANIN

Oto wspomnienia Wiktora Niekrasowa, autora "Wykopach Stalingradu", od paru lat przebywającego na emigracji we Francji:

"W najgorętszym okresie wojny wietnamskiej poznałem w pewnym domu lotnika. Był to dom Sergiusza Paradżanowa, gdzie zawsze podejmowano gości - nie i wasożo. Lotnik, młody chłopak, odbywał służbę w Wietnamie i był na urlopie zdrowotnym. Skierowano go do jakiegoś zachodnio-ukraińskiego uzdrowiska, gdzie miał popijać Naftusię czy coś tam na nerki. Jakoś trafił na Setglusza i żadną miarą nie mógł się wydostać z Kijowa. Po raz piąty czy szósty usiłował dotrzeć do dworca. Wpadał na chwilę by się pożegnać, strzemiennego wychylił i po ciąg ruszał bez niego. Zastałem go na balkonie z owym strzemiennym w ręku; był już niezły. Milczał, błady, obracając w dłoniach szklankę, po czym zaczął mówić i już nie mógł przestać.

- Mieszkańcy, rozumiesz, za drutami kolczastymi.

Nikogo nie widzujemy. Fichcimy się we własnym sosie - przyjaźnisz, kłótnie, popijawy... Wietnamczyka na oczy nie widziałem... Są gdzieś tam, czort jeden wie gdzie... Potem przychodzi rozkaz - start! i startujemy, lecimy po to by zestrzelić jakiegoś Johna z Oklahomy... Po co? Dlaczego? Co on mi zrobił? Z Ameryką nie wojujemy, więc dlaczego mam do niego strzelać? O jaki ideał walozę? O jaką prawdę? Wietnamską? A bodaj się nią, skośnocy, udławili; życie mógłbym przeżyć nie o nich nie wiedząc. Ale rozkaz, to rozkaz. John też ma swój rozkaz... No i zestrzelił John mego najlepszego kumpia, Wańkę Sidorowa. Zestrzelił i tyle - nie ma Wańki. Lusterko po nim zostało... Waś na pamiątkę... Wypijemy za Wańkę.

Wypiliśmy za Wańkę. A lusterko przechowuję do dziś.

Taki to był lotnik, Lejtnant. O jaką prawdę walczymy? Wietnamską? I zestrzelili go za tę prawdę jakiś John z Minnesoty, albo rozpije się do reszty..." /"Kontynent", 1978, nr 18/.

Opowieść jest prawdziwa albo nie, bo i lotnik mógł być prawdziwy albo reprezentować bardziej przyszłą, choć też występującą czasami w mundurach formację. Jeśli jednak jest prawdziwa... Byłoby to pierwsze tego typu świadectwo czynnego militarnego udziału Związku Radzieckiego w wojnie wietnamskiej. Ale oprócz Wietnamu była jeszcze Etiopia, Angola, teraz Afganistan... Są garnizony rozsiane od Kuby po Bug. Ilu lejtnantów zadaje sobie takie pytania? Kto im je podsunie w kraju, gdzie pytać nie wolno?

## WYRWANE Z DZIENNIKA

### Wstęp. O dziennikach

Od wczesnej młodości pisałem dzienniki, jeżeli to dzienniki nazwać można, pisałem dorywczo, dla siebie, bo nie umiałem i nie umiem myśleć bez pisania.

Już w 1939 roku miałem sporą stertę zapisanych kajetów - to wszystko zginęło.

W obozach Rosji, pomimo trudności zdobycia kajetu i ołówka, pomimo wciąż grożącej rewizji papierów /wszelkie pisanie było podejrzane/ pisałem sporo. W Starobielsku zdecydowałem napisać historię malarstwa od Davida do Picassa, tak jak ją wówczas widziałem. Dobrzałem, o ile pamiętam, do Courbsta, w maczkiem zapisanym grubym kajecie - odebrano mi go przy ostatecznej rewizji. W Griazowcu pisałem sporo, nawet udało mi się przy wyjeździe z Rosji przez Aszchabad griazowieckie notatki wywieźć. W tych notatkach znów dominowały notatki malarskie, poza tym miałem przepisane moje odczyty o Prouście /po latach ukazały się w "Kulturze"/ i materiały do innych odczytów.

Dopiero od wyjścia z Rosji, od Meszhedu, pisać mogłem swobodnie. Wiele notatek jeszcze z Rosji i z Bliskiego Wschodu trafiło do "Wieludzkiej ziemi".

Od tego czasu pisanie w dzienniku stało się dla mnie drugą naturą, ten nakóg z latami rósł! Mam od tego czasu u siebie ponad 170 dużych kajetów przeciętnie koło stu stron każdy, więc dobrze ponad 17 000 stron przeważnie gęstego, niewyraźnego pisma, przesianego niezliczonymi rysunkami. Poza drukiem w "Kulturze" - dwukrotnie - "Wyrwanych stron"<sup>x</sup>, nie zrobiłem z nich prawie nic. Więc jaki sens mają te grube, opraw-

<sup>x</sup> "Kultura" 1966, nr. 1/2 /219-220/, "Kultura" 1968, nr 4/246/.

ne kajety, które zavalają mi półki mego pokoju i co one z gruba zawierają?

Są one świadectwem mojej drogi malarskiej, bo w miarę lat nctowałem coraz ściślej, coraz systematyczniej płótna, które malowałem, z ozezem wkładając w nie zacząłem notatki - szkice do tych płócien. Coraz to pisałem moje myśli, o malarstwie w ogóle, myśli narosłe w związku z moimi lekturami. Nie ma w nich śladu jakichkolwiek sensacji osobistych czy ogólnych.

Poza monotonnie powracającym rachunkiem sumienia, termometrem moich nastrojów, jest tu wolaż powracające zastanowienie, na czym polega u mnie i u innych proces twórczy. Zazębia się to również o problem religijny na marginesie mojej pracy i moich lektur. Dla mnie ten dziennik był niustanną pomocą dzięki niezliczonym diamentowym cytatom, wypisom, do których zawsze powracam i które mi służą jak podręczna biblioteka i jak pas ratunkowy w momentach bezsily i rozterki.

Jeżeli co chciałbym, żeby nie zginęło, to właśnie te zawarte w tych kajetach wypisy /Simone Weil i Norwid, Brzozowski, Rczanow, Maine de Biran, Du Bos, A. Huxley, Prouet i Cieran, aż po mistyków, po Pascala/ obrosnięta w moje komentarze. Nie mam dotychczas żadnego pojęcia czy te notatki, poza rozważaniami czysto malarskimi /jedyną dziedziną, gdzie nie czuję się dyktantem/ mogą mieć jakąkolwiek wagę obiektywną i sam je oceniam coraz to inaczej: jako cenne dla mnie wyłącznie, to jako surowy materiał analizy myśli, nastrojów, mający czy mogący mieć wartość dla czytelnika o pokrewnych ze mną zainteresowaniach. Od lat mętnie projektowałem zrobić z tej góry notatek jakiś wybór i zrobić z tego wyboru książkę w rodzaju "Ogrodu Nauk" Miłcoza. Musiałbym na to na wiele miesięcy przerwać malarstwo, a na to zdobyć się już chyba nie potrafię. Może więc spróbowałbym drukować skrawki, które bym z tych tomów wykłwiał?

Maisons-Lafitte 1979

/kajet I/70/

14 stycznia 1970

"Wieżne zmartwienie" Marii Dąbrowskiej /czy tak?/  
- to słowo "zmartwienie" jest za słabe, tu nie chodziło

o smartwienie, tu chodziło chyba o nurt w sobie, który to się ujawnia, to ginie - de l'angoisse. Ale na to nie ma słowa po polsku, w słowniku: "trwoga", "niepokój", "udręczenie". Trwoga? za dużo w tym czystego strachu. Udręczenie? to bliżej angoisse, ale za dużo zewnętrzne, nerwowe, angoisses to coś głębszego. Coś co znaczy powracającą udrękę przez szereg dni o pewnej godzinie /ranek/, udrękę, która potem mija, na którą jest jedyny ratunek - sekunda świadomości religijnej. Ona użyźnia grunt, bez niej człowiek by właściwie nie żył głębiej trochę.

Biafra, koniec walki. Teraz zacznis się wyrzynanie? I znowu, jak to wszystko tam jest wstrząsające, ale przysiedz nie to, nie tysiące dzieci umierających z głodu, ale krzywdą Z. w Paryżu daje mi to złe samopoczucie, tę bezsilność, zatrucie, z którego nie umiem wyjść od wczoraj. Ale znowu: czy i to nie jest alibi dla twych wiecznych smartwień, czy powód nie jest wręcz zupełnie inny - praca źle prowadzona, nie doprowadzona po godzinie spędzonej na rozmowach, to jest już porażka dnia, zdrada dnia. Tylko rankiem, po przebudzeniu, do obiadu - żyję, i to nie zawese. Dzisiaj od rana tępość, mechaniczne przezwyoiżenie zmęczenia. Człowiek żyje samą powierzchnią. Ależ to kilka godzin rannych niebem mi jeszcze darowanych, to skarb skarbow. Za rok, za dwa, ta "peau de chagrin" jeszcze, jeszcze się skurczy. Dojść do równowagi, do pogody.

Babka Tommiego, która straciła jedynych trzech synów, młodziutkich, w jednej z ostatnich bitew Klęski niemieckiej - "... Sie hat Ihr Leiden eingebetet." Walory moralne tych Niemców, którzy dali światu Hitlera, przez którego przestaliśmy pamiętać, że to też kraj Hilderlina, Beethovena, Schumana.

Angoisse i przeszłość, "la souffrance toujours vierge", nie o to tylko chodzi w cieniu udręki dzisiejszej, ożkowiek nie tylko zapomina ubiegłe chwile, ale nawet nie umie ich sobie już wyobrazić, jakby ich nigdy nie było. Ta ścieżka, po której jeździłem rowerem w latach 48 - 55, moje ówczesne uczucie, męka, która mi się wtedy zdawała trudna do zniesienia i któ-

rej teraz nie umiem w sobie odtworzyć. To nis tylko najka-  
twiej uchwytny przykład przepaści między byłym cierpie-  
niem a wspomnieniem, które jest jakimś martwym zawłokiem  
tamtych chwil. A kiedy chodzi o sto innych przeżyć, o mo-  
je "angoisses" malarskie, o moje zatkania /"już nigdy"/,  
o pracy miesiąc mi i miesiącami w zupełnej ciemności -  
tego nie pamiętam prawie; wprost wątpię, że były, prze-  
cież wtedy miałem czas przed sobą, więc sobie, temu z  
przed laty, bezustannie zazdrozczę. Wszystkie moje udre-  
ki dziś są związane z poczuciem mijania czasu i bezsiły  
fizycznej - zapominam, że dziś mam w ręku już jakieś na-  
rzędzie i czystość stokrotnie większą wizji, nawet tych  
"à fleur de peau", że wtedy przed laty nie miałem żad-  
nego narzędzia wyrazu, że teraz - kiedy je do pewnego  
stopnia mam - powinno mi płacić za wszystkie starcze  
bezsily. No i jeszcze: to dojrzewania do śmierci nie  
tylko koniecznie mój horyzont zaciemnia, ale i rozjaś-  
nić może, rozświetlić.

"Jest w duszy ludzkiej kryjówka zaczarowana, na siedem  
zamków zamknięta, a nie otwiera jej nikt i nic, tylko wy-  
trych złodziejski mściwego nieszczęścia. Sofokles nazwał  
kryjówkę tę po imieniu przez usta oslepiającego się Edy-  
pa, a kryje się w niej dziwna rozkosz, słodka koniecz-  
ność, największa mądrość." Ta nowela Żeromskiego dziś  
mnie wzrusza i podtrzymuje jak kiedyś, jak zawsze. Ja  
nawet nie wiem, czy ta nowela jest dobra; może zła?  
że przymiotniki, że sentymentalizm... ona jest po jakimś  
genialna, jeżeli umie dotknąć takich strun, tsk oś pokazać  
na życie.

15 stycznia

.., no trudno, ale tak jest, że najmniejszy czyn mu-  
szą przedtem zapisać. Tego rodzaju psuwanie się "von  
Klippe zu Klippe ins Ungewissen hinab" /Hölderlin/ żąda  
za każdym razem twego zastanowienia co eliminować. Jest  
jasne, że nie dają rady. Nie chodzi o to, żeby zwycię-  
żyć, ale żeby doprowadzić każde przeżycie do świadomości,  
to znaczy do tego, że to dotknąć musi jednocześnie  
i świadomość, i rozum, i uczuciowe przeżycie w sobie.

Ta świadomość nigdy nie oderwana od czucia. Ludzie, którzy walczą o jakiś cel./Pracust o dzieło swego życia, do ostatniego technienia, Zyga Wali-szewski tuż przed śmiercią: "Jeżeli mi obetną lewą rękę, to trzeba inny wózek zorganizować<sup>x</sup>, jeżeli prawą - dasz mi truciznę"/ ci ludzie zapominają o sobie, w nich ta jedność czynnego przeżycia i myśli jest jakby odruchowa, podporządkowana celowi. Ja to rozumiem, dopóki celem jest moje malarstwo, moja książka czy nawet artykuł. Ale walka o malarstwo, o książkę na zewnątrz, żeby dotarły do oczu, do uszu obcych i licznych - to właśnie, co nazywa się sukcesem - to mi się zawsze wydaje podejrzane i tu jest błąd. Tu jest też twój obowiązek, jeżeli wierzyasz w to, co robisz. Tych swóich wahań Jeanne wprost jakby nie zrozumiała, czy prędkiej ją to zgrozyło: "jakim prawem oczekasz aż tę robotę zrobią za ciebie inni?".

Praca nad żółtą martwą /Słońce w butelkach/ z pamięci. Notatką w kajeocie żywa, malarska, jakbym odnalazł przedmiotem siebie przeżycia:

16 stycznia

Praca żywa, potem Paryż, wystawy, Klee, Chagall. Na czym polega genialność Klee, jego czystość /?/, świat wewnętrzny, cichy i lekki, lekki i jednocześnie pełen ostrości, błyskawicznej, bezpowrotnej decyzji, nigdy zamazany, czy tusty. Jego humor to pogodny, to okrutny, ale to okrucieństwo jest doprowadzone do takiej wyżyny transpozycji, że słowo "okrucieństwo" musiałoby przybrać inne określenie: jasność, bezwzględność prawdy sztuki. Żadnego ulegania, ani innym, ani sobie, sobie w znaczeniu "omokania" /jak przyjemnie, jak ładnie, smacznie maluje/. To powiedzenie Picassa o nim /"Pascall - Napoleon"/ jest wspaniałe, przy nim nawet Picasso ciężki, zmysłowo agresywny, "tortueux" /krętacki?/.

Nie mówię już o Chagallu, on przy Klee nie istnieje z wyjątkiem pierwszych rysunków, akwarel, płócien jeszcze z Roeji. Te konfitury łatwej zmysłowości, za-



twojej religii /czy to można nazwać religią?/ łatwego i jeszcze nieustannie podkreślanego sentymentalizmu, a kolor staczający się coraz to w tę samą żółcie, czerwienie, ultramaryny... tu ilność zabija jakość.

17 stycznia

Krótko, przez chwilę twarz Chagalla w telewizji, w filmie, gdzie omawiał swoje dzieło. Chagall tryskający humorem, sympatyczny starzec, coś rozbrajającego, ostatecznie fenomenalny temperament i chyba autentyczność zupełna tego drugorzędnego malarstwa /moja znówu niesprawiedliwość, gdy kiedyś porównywałem go do Soutina - Goyi naszych czasów, a teraz do Klee, artysty nie równywalnego!/.

18 stycznia

Dobry tydzień, ale jednak praca zbyt ściśnięta, niedostateczna, dlatego /dlatego?/ nie lotna, przy tym niebezpieczeństwo nieustannego zaczynania /jak moje listy/ i nie kończenia. Gdyby jeszcze te płótna były zachowane w pierwszym rzucie, ale nie - te porzucone są już nadpsute.

Dziwne mam wrażenie, że teraz dopiero korzystam z wystaw. Tak jak Giacometti uświadomił mi nagle problem proporcji u mnie, moje nieustanne suwienie, przesuwanie jednej kreski czy jednej formy tak, że zdaje mi się samemu, że to może jakiś bzik, a to było i jest ciągle szukanie tego stosunku jedynego w każdej wizji, który nie doprowadzony na płótnie przekreśla sam obraz.

Teraz Klee ośmiela mnie, zachęca do surowej oszczędności w akwareli i stawia mi nagle na warzeztat problem Matisowskiego, który /wieczny/ jest u mnie coraz bardziej świadomy. Chodzi o wielkość płaszczyzn kolorowych, ich wzajemne na siebie działanie, różne zależności od wymiaru płótna - i tu znowu trafiam na coś, co jest chyba formą nieśmiałości, słabej wizji, wtórności? Coraz to nie śmiew zostawiać nie zamalowanych na płótnie kawałków, a przeciwnie to jest bliższe mojej wizji niż niedomyślana, nieprzeżyte pokrywatnie płótna. Nie śmiew zostawiać na papierze, na płótnie paru kreszek zaledwie - tu dora-

biam nos, tu tto uczytelniam i zarez ginie wymowa, ję-  
zyk, a nieraz niezupełnie ginie, ale jest osłabiona.

O co chodzi, o wzmoczenie w obrazie przekazu "de la  
première sensation" - to jest typowe u Matisa wzmocze-  
nie przekazu przez "oszczędność". U Giacomettiego jest  
nieustanne gonienie /gonienie to złe słowo, tam nie  
ma pośpiechu/, nieustanne dążenie by docierać do abstrak-  
cyjnej pełnej proporcji, ale ta proporcja jest jakby  
zawsze zaszczeplona na widzeniu form konkretnych w na-  
turze: idący osłowiek w deszczu /obraz/, przedziwna  
kwadryga ze stojącą w niej kobistą /rzeźba/. Dlaczego  
rzeźby, i właśnie ta zachwycająca "z kwadrygą", wiąże  
mi się z rzeźbą egipską? A rysunki Giacomettiego! Ich  
kreska ma czujność, uwagę, nieustanną wolę dalej i głę-  
biej docierać. Tak, że żadan rysunek nigdy nie jest  
"skończony", albo że już od pierwszych kresek jest rów-  
nie, musi być równie konieczny jak przy ostatniej kres-  
ce. Głowy w zaledwie zarysowanych wnętrzach, postacie  
o małych głowach zacernionych przez zbyt częste  
kreski i zawsze stwarzające wrażenie wielkich nakoło-  
siebie przestrzeni. Nie umiam tego określić, naokoło  
głowa tych delikatnie kreślonych arkuszy. Pokrewieństwo  
z Cézanne? Do tego stopnia, że przy pierwszych jego  
rysunkach drzew, które zobaczyłem, myślałem, że to  
Cézanne. Dlaczego? bo przecież są inne całkiem, ale ta  
sama czujność nieskończona, ten sam upór "de se dépasser"  
nie oglądający się ani przez chwilę na widza, któ-  
ry tego czuć nie jest w stanie i który szuka w rysunku  
tego, o co się nazywa "skończenie".

U Morandiego - tu poprzez pozorną monotonię tematu  
paru kubeczków czy pudełek ten malarz dociera chyba do  
najwyższej jaką znam "muzyki kameralnej" działania, i  
barwy, i proporcji. "Ograniczając się do jednej szklan-  
ki masz o wiele więcej pojęcia o wszystkich innych prze-  
miotach, niż gdybyś chciał zrobić całość. Mając pół  
centymetra czegokolwiek masz większą szansę dotarcia  
do pewnego czucia wszechświata niż gdybyś chciał zrobić  
niebo całe" mówi Giacometti w dialogu z Davidem Sylves-  
ter.

U Klee to zupełnie inne zjawisko, znów jedyne w swo-

im rodzaju. On jakby nigdy nie szuka, on znajduje za każdym razem na nowo. Ostatecznie ten zabieg gry koloru, niespodzianki formy i sensu poetyckiego, który jest koroną dzieła /tytuły, które Klee co miesiąc nadawał wszystkim przez miesiąc uprzednio rysowanym rysunkom/ - to naprawdę Pascal-Napoleon.

Poniedziałek, 20 stycznia

Tydzień znów pełny. Jak nie pilnować nieustannych zmian, tego zygzaku sił. Dziś po dobrym dniu malowania i pisania radek senny i słaby /Może to kieliszek koniaku, który wypikem "pour me remonter", zaczynając list do Kota w kawiarni; zmęczenie alkoholem, nawet najmniejszą dozą? ale czy nie najprościej, normalne opadanie z sił/.

Skazany już suchotnik sobie mówi "Ach gdybym nie otworzył okna, gdybym nie poczuł przeciągu..." ale przecie choroba sama się rozwija, a przeziągi, otwarte okna są zawsze na podorędziu, żeby na taki czy inny "wypadek" zważyć rozwój choroby. U mnie to jest wprost rozwój... starości. Tyle, że "bądź oszczędny w czasach nieurodzaju".

Skończyłem, niby skończyłem moje butelki w słońcu i zawsze to samo uczucie jakby to śpiewne doznanie, przeżycie aż zachytujące nie zostało przekazane, co było rzutem zachwytu - w obrazie jest ciężkie, naturalistyczne obciążone. Natura nie, że tu działa - we mnie wzmoczone przez Klee - poczucie mojego ciężaru nie lotnego; ale przecie notatka tego płótna jest lotna - więc dalej, naturalnie, szukaj i szukaj tego zwłazania, wrośnięcia wizji lotnej, w obraz wpracowanej...

o o o

Po latach nieśmiałości, niewiary w to, że ja, ja mogę dotrzeć do swojej formy wyrazu... Już lata temu

niałem wiarę w odkrytą w sobie siłę, dar czy wprost naturę, która mnie prowadzi jakby bez mojej wiedzy do celu, do wyraża. I wszystkie sprzeczne, jakby się wykluczające nurty, próby wiązały się - wszystko konieczne. Dziś znowu tracę tę wiarę - czy to jest wiek?, podejrzenie że nie mam siły "doszpilić" w sobie w całość moje wysiłki, może najprościej stoję przed potrzebą "de briser un moule", rozbicia swej formy?... którą sam dla siebie stworzyłem, która już mi nie służy...

Nagle! i panika, i ruchy, i gesty nerwowe, przypadkowe, bez pokrycia, a może niedoprowadzone jeszcze? /odrzuć strach, że już nie zdążysz, nie zrobisz, nie przecenić swoich planów i swoich możliwości ale cały ciężar świadomości i woli w tę realizację włożyć. W moim wieku nie zdzierać sił w chaosie/.

Pierwszy wniosek, to bronić ranka, ale nie przeciągać pracy poza ranną pracę, otoczyć ją grubszą warstwą namysłu, czekania myśli, bronić się przed ześlizgnięciem w genialne /?!?/ trzęsienie ziemi /tulipany!/, bronić się całą siłą, jeżeli jednak ono przychodzi jak mus wewnętrzny nie poddawać się temu poza ograniczonym czasem pełnej, ostrej świadomości. Ale o tym wiesz od początku twego istnienia w malarstwie. Delacroix mówił, że najtrudniej jest wiedzieć, kiedy obraz skończyć.

... diagnoza - najprościej - taka, że w błyskawicznej notatce osiągam nie tylko świeżość przeżycia, ale natychmiast kompozycyjny kościoc, który zdaje mi się niechybny, naturalnie w rysunkach dobrych /jest fura złych/. Czy i dlatego na płótnie, przy bogatszej gamie palety, przy całej skali możliwości od płótna gładkiego aż po "enrochement" /skalistość?/, ten rezultat jest tak często słabszy, bledszy, mniej pewny? Ile w tym winy złej metody, złego myślenia, ile najprościej

nieszoldności utrzymania siły pierwszego wytrysku...

Plótno zaczęte z notatki dwóch postaci stojących na tle obrazu Klee. Postać z tyłu kobiety czerwonej, ona stoi, jej nogi żyją, jej ruch jest. Kiedy przetrucam na plótno kopię doszłowną z notatki to nigdy nie wychodzi, trzeba dojść do nowej kreski, równie świeżej - przeżyć to wspomnienie na nowo... Dwie postacie sto razy zmywane jakby ożyły; kreska ożyła. "Faites des lignes, beaucoup de lignes et vous deviendrez peintre" miał powiedzieć Ingres młodemu Delgasowi. Ale rada ta musi być związana z inną, zapisaną przez Odillon Redona w jego dzienniku /cytuje z pamięci/: "Żadnej nie kłaść kreski bez obecności w sobie czuota" - nigdy kreski zimnej, mechanicznej.

/kajet III/73/

30 kwietnia 1973

Szósta rano. Mam za sobą sześć tygodni bez malarstwa i już uczucie, że nie mam siły, nie to ustawić pracę ale istnieć. Wczoraj zdawało mi się, że wystarczy dotknąć do palety i praca ruszy, bo widzisz już to, co możesz zrobić, a dziś znów nawet ustawić, uporządkować pokój już ci się wydaje ponad siły. To tak proste - masz 77 lat!

Z uczuciem wstydu odczytuję listy Cézanne'a. Jego list do Benrarda chciałbym przepisać cały. 25 września 1906 roku, miesiąc przed śmiercią: "arriverais-je au bout tant recherché et si longtemps poursuivi... j'étudie toujours sur nature et il me semble que je fais des progrès".

Czy to mogę powiedzieć o sobie, teraz, już po tych sześciu tygodniach bez pracy /pisałem artykuł/? Jestem zachwiany co do swoich możliwości postępu, a wiem, że jeszcze bym mógł, jeżeli bym wrócił do pełnej pracy, że mam jeszcze więcej siły niż Cézanne o dziesięć lat młodszy ode mnie

w chwili śmierci, sił fizycznych, ale psychicznie jestem rozbity, rozproszony. Wystarczy żebym stracił wiarę, że coś jeszcze mogę zrobić w malarstwie - wszystko się rozpruwa i tracę wszelką świadomość kolejności, ważności.

Oézanne pisze: "... ale jestem stary i chory i przysięgam sobie prędzej umrzeć malując niż popaść w kretynizm poniżający, który grozi starcom..."

"ale wierzę w rozwój logiczny tego, co widzimy i odczuwamy poprzez studium natury, quitte à me précéder des procédés ensuite; les procédés n'étant pour nous que de simples moyens pour arriver à faire sentir au public ce que nous ressentons nous mêmes et nous faire agréer." "Wielcy, których podziwiamy nie robili ostatecznie nic więcej."

Jest tu świadectwo takiego zupełnego oddania pracy i nieraz naiwność - ta jednoczesna nadzieja bycia uznanym "du public", ale "de quel public"? On przecie już wie, że chcą robić jego wystawę, że ma paru entuzjastów, którzy już wiedzą kim on jest i jego sławę rozniosą, ale w nim ośagle tkwi pogarda do publiki "salonów" i jakby wiara, że ta, ta publika na-gle go uzna, że zobaczy, że jest malarzem wielkim, którym jakby jeszcze nie jest, ale... już za chwilę będzie. Człowiek tak jak on wypełniony pragnieniem doskonałości musiałby wiedzieć, że jej nigdy nikt nie osiągnął, bo każdy krok naprzód otwiera dalsze jeszcze horyzonty, a że ta publiczność wyimaginowana nie wie nic, nie rozumie i nie zrozumie tej walki o doskonałość od plamy do plamy na płótnie przeżywanej, gdzie to, co jest dla niego szczęściem /"zrobiłem krok naprzód"/, będzie dla tej publiczności na zawsze niewidoczne - ale właśnie tylko to jest ważne, "le pan de mur jaune" /Proust/, ten krok niewidoczny naprzód.

To uczucie straciłem i nawet zdaje mi się, że już

może nie potrafię tego stać, tego przeżywać osiągnąć. I wtedy cała twoja praca traci sens. Malowanie staje się większym lub mniejszym przedsięwzięciem, żeby sprzedać, żeby zarobić, żeby wyszła o tobie książka i wtedy nawet ten list, który napisałeś wczoraj do Staszka jest oszustwem.

Tu może najważniejsze, nawet na pewno najważniejsze we wstępie do Katalogu Sienickiego - to ten stosunek bezwzględny piszącego do pracy /tekst Rodzińskiego/. Patrząc na czarno-białe reprodukcje obrazów Sienickiego myślę o Giacomettin, o tych cytatach jego w tym wstępie pomieszanych, o jego rysunkach tak pięknych i jego obrazach tak dziwnych, z zasady nieobciążonych na skończenie a tylko na posuwanie się wewnątrz i na płótnie pozornie niewidoczne /gołym okiem widza/.

Cały mój kapitał, że takie chwile przeżywałem i na ich rachunek żyję, ale zapominam, że kiedy wolę ku tym chwilom trącić, trączę wszystko. Czy potrafię jeszcze wrócić, jeszcze wrócić w dawny nurt? To nie jest teatr ani retoryka, co piszę, ja wiem, że za każdym razem taki moment bezsilny /zdrady?/ może być zwyciężony, ale może i on ciebie zwyciężyć, a to może zależeć od jakiejś mikroskopijnej w sobie moralnej porażki, która wciąga człowieka w rozkład /dans la dérive?/, kiedy "konieczność i łaska" już cię nie osiągną, nie dlatego, że jesteś stary, ale że zdradziłeś, że w jakiejś chwili zapomniałeś milion razy powtarzane sobie słowa, zdania, ostrzeżenia mistrzów których kochasz. Chociażby te "nie wolno żadnej rzeczy zostawiać w niepewności" /Corot/. Ile razy w samej robocie te słowa mnie ostrzegały, żeby nie zostawiać czegoś w niejasności, ułatwiająco sobie tym pracę. "To nie byłoby takie zabawne, gdyby nie było takie nudne" - słowa Degasa do Valéry'ego w Luwrze, kiedy oglądali razem obraz Teodora Rousseau, jego "Aleję dębową", w odpowiedzi na słowa Valéry'ego

"jak nudno musi być taką aleję listek po listku malować".  
A dziś - ten jęk Cézanne'a odczytany "przysięgłem sobie..."

1 maja

Siódma rano. Za oknem półotwartym cicha, dżdżysta pogoda i ptaki, i gramofon Portugalców, i ich wesoły, dziecinny śmiech. Cézanne: "a ja jestem taki powolny w realizacji". To jest moja muzyka. Czytając jak wczoraj parę zdań z listów Cézanne'a zdaje mi się nie to, że jestem Cézanne'm, ale że ta jego droga jest moją drogą jedyną. Ale nagle przypominam sobie De Staëla, Scutina'a - i gorączka i pośpiech bywają drogą, i one mogą być koniecznością i drogą do Łaski.

Na czym polega u ciebie twoja ocena dobrego, złego i średniego rysunku? Zdawałoby się, że jak u ciebie nie ma deformacji, rysunek nie żyje, ale tak nie jest. Kiedy rysujesz, czujesz każdą kreskę prowadzoną na papierze jako oś żyjącego, nieodwołalnego, i naraz rysunek zaczyna żyć. Wczoraj, po dniach kiedy rysowałem kwiaty jak pilny i uczciwy uczeń /te lilie tureckie/, to była w nich i wola, i pasja ścisłości zupełnej i dlatego też one żyją bardzo skromnym, ale jeszcze tępowym życiem. Potem dwie - jedną kreską - notatki tulipanów wydały mi się nagle żywiej istniejące. Dlaczego? Bo je czułem podczas rysowania, ozułem ten związek niezdarne, niepewnego, zdeformowanego trochę rysunku, jakby między końcem mego ołówka a mną nie było żadnej przerwy. Ja byłem na końcu ołówka.

Tak samo czują swój rysunek i dziecko, i Rembrandt, ale może także rysownicy niezdarci i przeoiętnie banalni? Nie. Właśnie tu w takich rysunkach zjawia się nagle poczucie, że to dopiero jest rysunek istniejący naprawdę, Odilbn Redon o takim rysunku myślał pisząc, że nie pozbý już na papierze nigdy żadnej kreski, która nie byłaby poprowadzona w pełni i czucia, i uwagi - to jest ta wąska, wąska ścieżka ku prawdziwemu rysunkowi.

Józef Czapski



## POECI I MORALNOŚĆ

"Gombrowicz wie, że jeśli się już wybrało słowo, ostateczną miarą od wagi i moralności jest styl"

Konstanty Jeleński

Jest u nas pewien wydzielony obszar rzeczywistości, obszar przeznaczony dla artystów. Stosują się tu nieco inne prawa, niż w pozostałych rejonach życia, a przede wszystkim jest więcej elementarnej swobody, więc ma się na przykład nienormowany czas pracy, możliwość rozwinięcia indywidualnej inwencji, barwniejsze sposoby spędzenia czasu wolnego, wysoki prestiż społeczny i - w przypadku talentu położonego ze szczęściem - dobre perspektywy zarobkowe. Ale nie tylko to; również i władze, które szeregowego inteligenta traktują jak poddanego, z artystami obchodzą się ostrożniej: artysta może imponować urzędnikowi, który pragnąłby cieszyć się opinią mecenasa, może łatwiej wyprowadzać go w pole oddziaływując magią swego wyższego wtajemniczenia. Posiada więc kartę, której nie mają inni, pod warunkiem wszakże, że nie żąda niczego prócz swobody twórczej, rozumianej w znaczeniu raczej formalnym. Mówiąc obrazowo, ten azyl dla artystów przypomina coś w rodzaju dziecięcej piaskownicy. Wolne tam swobodnie organizować własny światek, bez obawy, by ktoś zbyt wtrącał się do ciekawych zabaw. Można też mieć humory i kaprysy, nie należy tylko interesować się za bardzo światem zewnętrznym, a zwłaszcza oza dziedzinami należącymi do dorosłych dźwigających na swoich barkach odpowiedzialność za sprawy poważne. Sprawy publiczne.

Poeta, malarz, muzyk mogą więc kupić sobie spokój własnych poszukiwań twórczych za cenę łatwą, zdawałoby się, do zapłacenia. Bo przecież ktoś zafasynowany wewnętrznym światem wrażeń i indywidualną wizją artystyczną zużywa całą energię na jej doskonalenie, stara się zarezerwować sobie maksimum czasu na ten trud i niewiele mu zostaje sił na obezwierwanie i myślenie o sprawach ogólnych, społecznych. Najważniejszym dla niego problemem jest utrzymanie i rozwinięcie integralności własnej osoby artystycznej i "piaskownica" sprzyja: izoluje od trującej nieraz powszedności, ułatwia koncentrację, wyklucza

niepokoje utrudniające konsekwentny wysiłek w jednym kierunku. "Piaskownicy" zatem zdaje się gwarantować autonomię artystycznego myślenia, wyobraźni, i może dlatego wielu ludzi tak łatwo pozwala, by ich w niej zamknięto. Zresztą dla sprawiedliwości trzeba przyznać, że powstało w niej w ciągu minionego trzydziestolecia niejedno dzieło wybitne, choć niewielki posiadające związek z tęsknotami społeczeństwa.

Bo trzeba przyznać również, że najwyższą ceną płaconą za to zamknięcie jest, po pierwsze, odcięcie od pierwotnego źródła inspiracji, po drugie zaś, odcięcie od odbiorcy. Zerwany zostaje, czy przynajmniej nadwątłony, związek, bez którego - jak zwykle się mówi - sztuka zagubia swe wyższe aspiracje, zamieniając się w krainę dowolności.

Przy wielu przecież zaletach "piaskownicy" ta jedna jej najpoważniejsza okazała wystarczającą, by niejednokrotnie artyści, szczególnie młodsi, obdarzeni społeczną wrażliwością i żywym poczuciem własnego honoru, starali się z niej wyrwać. Można powiedzieć, że dostrzegali oni zżółcenie mieszkańców "piaskownicy", ich ubezwłasnowolnienie jako osób, i próbowali pokusić się o "dorosłość".

Zarysowuje się więc - mocno upraszczając - taki podział rzeczywistości artystycznej w naszym kraju: większość wyraża zgodę na zamknięcie ust, czy to dlatego, że, jak sądzi, warto zapłacić tę cenę, czy to dlatego /przypadek chyba znacznie częstszy/, że nie ma nic szczególnego do powiedzenia na tematy nie tylko "czysto artystyczne". Zaś co pewien czas jakaś mniejszość opuszcza szeregi, by wypłynąć na niebezpieczne wody pełnej odpowiedzialności za własną twórczość. Niebezpieczne zresztą nie tylko w sensie narażenia się na prześladowanie, ale też w takim sensie, w jakim niebezpieczna jest wolność w ogóle, w jakim tak trudno ją na dłuższą metę utrzymać, a tak łatwo zatracić, przy pozorach wyzwolenia.

Skoro już przedstawiamy ten grubymi niómi szyty obraz, musi nastąpić dygresja. Istnieje w "piaskownicy" pewna kategoria ludzi, którym należy się oddanie "sprawiedliwości": są to mianowicie ci, którzy wie d z a, że t a m e i e z n a j d u j a, co stanowi już poważną różnicę. Oni to najczęściej przyjmują, że jakoś "przechrztyli" wroga, uzyskując zresztą nieraz dobre wyniki w dziedzinie rozwijania podwójnego języka /dla władzy i dla społeczeństwa/. Ich przedsięwzięcie, z oczywistych względów, jest także bardzo niebezpieczne dla myślenia. Ale te niebezpieczeństwa bywały już opisywane.

Wracajmy zatem do tematu, czyli do próby opisu wydarzenia artys-

tycznego i społecznego, jakie stało się udziałem nas wszystkich dzięki grupie młodych poetów "pokolenia 68", którzy podjęli i w pełni zrealizowali próbę wydotania się ze światka "zniewolonych słów". "Właśnie wtedy, w sześćdziesiątym ósmym, otwarły się nam oczy i głosy /.../ I właśnie wtedy my wszyscy, próbujący swych sił w "tworzeniu pięknych zdań", doszliśmy do wniosku, że naszym zadaniem powinno być przede wszystkim tworzenie zdań prawdziwych, mówienie słowami, które budziłyby ludzi z uśpienia, które potrząsałyby sumieniami i uczyły myśleć. Takie są źródła poezji tego pokolenia." /Stanisław Barańczak, "Etyka i Poetyka", Instytut Literacki, Paryż 1979/.

Wymieniona wyżej książka Barańczaka to zbiór jego szkiców krytycznych pisanych w latach 1970-1979, zarówno dla prasy oficjalnej, jak i niezależnej. Zawiera ona najpełniejsze jak dotąd sformułowanie programu poetyckiego "pokolenia 68", programu noszącego wyraziste znamie pokoleniowego przeżycia, owego pierwszego moralnego szoku. Jest to przede wszystkim program walki z zauważoną wówczas rzeczywistością dogmatycznego kłamstwa. Od chwili, gdy przejrzelі, młodzi poeci uznają za swój obowiązek ostrzeganie innych, uczenie samodzielnego myślenia i nieufności do pięknych sloganów. Nieufność ta rozszerza się u Barańczaka na nieufność do wszelkich autorytetów. U podstaw programu umieścił on światopoglądowe założenia "Etyki bez Autorytetów", której fundamentem jest "jedyna wartość ludzkiego świata, jaką opiera się nie na zasadzie nadrzędnego autorytetu lecz równorzędnej identyfikacji: drugi człowiek". W świecie, w którym dokonuje się zbrodni w imię abstrakcyjnych pojęć lub praw zbiorowości, poezja ma stanąć po stronie jednostki, po stronie konkretnego człowieka, który tu i teraz cierpi konkretne zło. Ma być poezja nieustannym sprawowaniem kontroli moralnej przez odnoszenie takich wartości jak sprawiedliwość i wolność do najprostszej rzeczywistości codziennego dnia. Ma być czujnością, tropieniem nadużyć etycznych. W dzisiejszym świecie, w którym wszystkie dawne dogmaty się już skompromitowały, w którym nieraz tak trudno - pod gładkimi pozorami - wysledzić miejsca, gdzie nadużycie zostało popełnione, poezja musi sama wyznaczyć dla siebie granicę tolerancji zła. I poza tą granicą aparcie wypowiadać swoje "nie".

Tak więc podstawowym kryterium, przy pomocy którego Barańczak wykonuje swe zadanie krytyki, jest kryterium etyczne. Głównym zastrzeżeniem do tomiku Kornhausera będzie moralny eskapizm /"jakiś sztuczny ład serca zastąpił tu etyczną niepokoje"/, do wierzy Leszka A. Moczulskiego - postawa społeczna /"Z czegoś się tu rezygnuje na

rzecz bezsilnych, choć poruszających apostrof"/, do J.M.Rynkiewicza - nie-spełnianie etycznych założeń jego własnego klasycystycznego programu /"Als są rzeczy na ziemi i niebie naszych czasów, których roz-myślania o Radziwille nie wyjaśniają". Również wtedy, kiedy Barańczak stawia jakiegoś poetę za wzór, czyni to w rezultacie dodatniej oceny jego postawy moralnej. Międzyrzecki staje po stronie "kruchaj i heroic-znej niezawisłości artysty", Woroszyński - porównując się do Lutra -nie wyrzeknie się siebie, Skonimski zawsze stawia pytanie, co jego poezja wybiera i przeciw czemu wybiera, bohater Herberta jest wierny garstce wartości, których nie potrafi się wyrzec, Mandelsztam wresz-cie całym życiem i twórczością zadokumentował swą walkę przeciw"bol-szewianiu".

Barańczak uwzględnia przebież, zgodnie ze swym dobrym polonistycz-ny wykształceniem, i inne cechy, czyniąc z wierszy wartościową poz-żę, ale nieodmiennie nobilituje ją ostatecznie dopiero przez moral-ny niepokój, a w szczególności każdą formę protestu przeciw złu w gatunku totalitarnym, przeciw krzywdzie-wyrządzonej w imię dogmaty-znego kłamstwa, przeciw ideologicznej bezczelności, pod którą kryje się nihilizm. Toteż na ten gatunek zła Barańczak, jak zresztą cała grupa, jest szczególnie uwrażliwiony. Kiedy tylko pada aluzja, kiedy tylko pojawia się ów dobrze nam znany zapaszek ideologicznie zorganizowanej napaści na elementarne prawa ludzkie, Barańczak jako krytyk ożywia się. Na tym polega stała, niezmienna obecność tamtego począt-kowego wstrząsu, o jakim była mowa. Tamtego odkrycia, że był oto oszu-kiwany fałszowanymi słowami. Można chyba nazwać "kompleksem oszukane-go" ową emocjonalną bazę, z jakiej wyrasta cały program. Dopiero za tym następuje rozwinięcie filozoficzne /esej z 75 roku, umieszczony na początku zbioru, pt. "Zmieniony głos Settembriniego"/ oraz rozwi-nięcie estetyczne, dosyć szorstkie, poza postulatami prostoty, zwią-złości i codzienności języka.

W jednym przypadku o prawdę Barańczak użyje kryteriów estetycz-nych do zasadniczej oceny wierszy. Wtedy, kiedy będzie formułował swoje wątpliwości w stosunku do tomiku Bieriezina. "Ideowo"bowiem za-wartość jego zgadza się z programem krytyka, ale jednocześnie nie są to dobre wiersze. Wtedy pomocne okazują się kryteria estetyczne: bez odpowiedniego stopnia poetyckiej organizacji języka dobre intencje zamieniają się w publicystykę. Ten przypadek sygnalizuje pewną trud-ność. Oto program krytyka, jak wiele programów o moralistycznym pod-łożu, nie daje możliwości odróżnienia poezji dobrej od złej, jeżeli pisana jest na ten sam, zaspokajający postulatory treściowe, temat.

Cto inna trudność Barańczak chwali na przykład, Krynickiego za te same, zdawałoby się, treści, jakie występują i u Bieriazina, podczas gdy trudno nie dostrzec podstawowej różnicy postawy wewnętrznej i postawy świata, jaka w przypadku tych dwóch poetów jest widoczna.

Podstawowa różnica: Bieriezin w i e /kto jest dobry, kto zły, kto jest krzywdzicielem, kto ofiarą, kto jest po naszej stronie a kto po innej/, Krynicki przede wszystkim zwierza się czytelnikowi z tego, że n i e w i e. Krynicki nie rozumie, jak może sam żyć tak właśnie a nie inaczej, jak może wieść tak przerażająco bezwolną egzystencję wśród świata, którego pomuraj absurdalności i nagromadzenia dziwacznych, nielogicznych zjawisk nie potrafi wyśła opanovać, a cóż dopiero znaleźć własną drogę postępowania. Bieriezin osądza innych i całą rzeczywistość, Krynicki osądza niemal tylko siebie. Świat Bieriazina /i tu, paradoksalnie, spełnia on lepiej postulat programu Barańczaka/ jest znacznie bardziej uporządkowany niż świat Krynickiego, będący przecieź w strzępach. Pierwsza z tych wizji świata jest spójna, druga bezradnie wieloznaczna. Ale dlaczego Krynicki pisze prawdziwsze wiersze, jeżeli szukać powodu treściwego, nie tylko formalnego? Bo w swoich wątpliwościach oddaje niejako i dręczące "zapłatanie" czytelnika, nas wszystkich, nas brak jasnej świadomości własnego miejsca, naszą niemoc zrozumienia otaczającej rzeczywistości. Toteż wydaje się nam, że Krynicki przemawia do nas głosem autentycznym, bo jak on czujemy się zgubieni, głupio bierni, podejmujący próby rozumienia i uporządkowania świata, za każdym razem okazujące się nową pułapką, nowym prostactwem pospiesznego ułożenia rzeczy zbyt zawiłych i zbyt złych. Po prostu Krynickiemu wierzymy, bo, w przeciwieństwie do Bieriazina, ma zke samopoczucie moralne, zke sumienie.

W tekście programowym napisanym już w 1970 roku, mówi Barańczak ozym jest na końcu zbioru, jako jego ostatnie słowo, mówi Barańczak ozym jest poezja: poezja odkrywa wieloznaczność tającą się pod pozorami harmonii, zgody i oczywistości. Można powiedzieć o Krynickim, że jego poezja spełnia to zalecenie, ale nie tylko w sensie kontroli świata wokół - przede wszystkim w sensie kontroli własnego programu. Krynicki bowiem zdaje się nieustannie podważać własną "świadomość ideową i estetyczną", stale zapytywać, czy aby nie jest już za dobrze, za ładnie, za gładko, czy aby sam nie popada w kłamstwo. Programowy postulat kontroli i czuwania ma tu ostrze zwrócone przeciw samemu poecie.

Natrafiamy być może na pewną szczelinę w tak konsekwentnym programie krytycznym Barańczaka. Jeżeli poezja ma być walką, czuwaniem, kontrolą, krytycyzmem, demaskowaniem - oznacza to, że musi posiadać

pewne kryteria oceny świata, musi w i e d z i e ć. Przecież krytyczna i demaskowanie, kontrola, to wszystko są czynności intelektualne, które wymagają o s ą d z e n i a. Owszem, są przecież w programie Barańczaka wartości przyjęte jako podstawa tego osądu. Ale od wypowiedzenia się za wartością, do osądzenia, że została ona tu i teraz, przez tego a nie innego, naruszona, jest jeszcze kawałek drogi. I chyba w tym miejscu dochodzi do odróżnienia poezji od niejpoezji, uchwycenia gdzie łatwiej lub trudniej zdobywa się ona na osąd, gdzie dokonuje lub nie dokonuje nadużycia zwanego uproszczeniem, automatycznie będący i niesprawiedliwością, i kłamstwem, choć na małą, czasem nieuczauważalną /szczerólnie dla współ-kombatantów/ skalę. Cóż może strzec poetę od popełniania takich nadużyć? Chyba tylko czujność inna, tym razem nie moralna, lecz i n t e l e k t u a l n a.

Krynicki nie popełnia nadużyć ponieważ usiłuje zrozumieć - i stałe nam się z tego zwierza, że jest bezradny. Owszem, ma instynkt moralny, któremu wierzy, któremu daje wyraz. Ponieważ jednak wie, że nie rozumie, nie wie z kolei, czy ma prawo osądzania kogokolwiek, czy jest w stanie walczyć o cokolwiek.

Tyle już razy zaczęliśmy od podstaw,  
 że straciliśmy grunt pod nogami  
 i nie wiedzieliśmy, czy już mamy prawo  
 umierać za naszą niepewną wiarę,  
 czy przechowywać ją jak płomyk, łyk wody, kęs chleba  
 na najczarniejszą godzinę /Planeta Fantasmagoria/

W tych słowach jest sformułowane znamienne wewnętrzne pęknięcie w postawie poetów. Także i w tekstach krytycznych Barańczaka zauważalny jest ślad takiego rozdwojenia. Z jednej strony jego idea poezji jest prężna i pewna siebie, jak wtedy, kiedy ocenia za eskapizm moralny, jak wtedy, kiedy odrzuca wszelkie autorytety, jak wtedy, kiedy formułuje bezkompromisowe zasady etyczne. Z drugiej strony pojawia się nieraz inna, jakby szabsza i niepewna, jakby defensywna w porównaniu z taką pierwszą idea "kruchej oporu", "szabego krzyku", upartego, choć zrezygnowanego "nie". Są to jakby dwie twarze krytyka, czy też dwa głosy: jeden odważnie i głośno protestujący, pełen przekonania i pewności - drugi delikatny, chwiejny, też uparty, lecz na sposób uporu przy nieosiągalnym, przy przegranych. "Umierać za wiarę" i "przechować łyk wody", to dwie przecież bardzo inne postawy. Można chyba powiedzieć, że pierwsza jest pierwotna w tym programie, wyrosła z odruchu buntu, "kontestacyjna". Druga natomiast wydaje się dojrzała, i Barańczak jej dający wyraz - jakoś prawdziwszy. Tam

ośtrość bezkompromisowej pewności i osądu, tutaj spokojne, oofnięte jakby w siebie i gorzkie przekonanie.

Ta chwiejność między sposobem pojęcia "walki" jako żywego, gwałtownego świadectwa przedio w zku dookoła, sposobem jakoś dawnym, bliskim ideałowi rewolucyjnemu, a sposobem "nowym", wykształconym tak wyraziście u Herberta, zawierającym rezygnację z rzeczy niemożliwej, jaką jest wprowadzenie ładu moralnego do dzielejszego świata i wycofanie się na pożyoje kogoś, kto tylko n i e j e s t w s t a n i e zrzzygnować z prawa moralnego, jakie mu wpojono i w jakie wierzy - ta chwiejność jest dziś problemem wszechobecnym. Wszyscy bowiem, jak się zdaje, takie pęknięcie w sobie nosimy. Z jednej strony rolmy stale w duchu rewolucyjnego ideału, o postawie męskiej, rycerskiej, nie podszytej zradziecko wątpliwością, postawie tego, kto wie czego chce, i gotowy jest walczyć do końca. Z drugiej zaś, co chwila ozynimy jakiś krok wycofania, bo nasze zasady, w które tak wierzymy, nie są w stanie niczego uporządkować, a nieraz - nikomu pomóc.

Być może Herbert właśnie dokonał przełamania tej dwoistości w "Przeszaniu Pana Cogito". W tym wierszu opór defnsywny i beznamięjny ma twardość atali. Nie bynajmniej przez powrót do postawy dawnego typu, ale poprzez stworzenie nowego obrazu "rycerza", którego możnaby nazwać rycerzem beznamięjności. Ów waloczy twardo jak dawniej - leoz o sprawę przegraną w jego mniemaniu do końca. Siła tego wiersza, propozycja w nim zawarta, polega na wyzbyciu się do końca nadziei w zwycięstwo sprawy, gdziekolwiek poza własnym sercem.

Czy są jakieś inne możliwości pokonania tego naszego rozdwojenia na dziarskich wojowników i nieśmiałych oponentów? Jedno jest pewne, że drugi rodzaj postawy jest nieskończenie autentyczniejszy tam, gdzie chodzi o sztukę. Działacz polityczny czy epokoczny musi wierzyć w zwycięstwo jego sprawy, przeolez w imię tego zwycięstwa narzuca się innym ze swoim programem. Musi - niestety - wiedzieć, co jest dobre dla innych, i musi osądzać, nawet bardzo surowo. Pozycja natomiast nie ma prawa do uproszczenia w imię walki, do osądu pospieszniego, do emocjonalnego "zagrzewania", ponieważ ma zobowiązania intelektualne, których nie ma działacz. Nie wolno jej powiedzieć, że wie wtedy, kiedy nie wie.

Cały ten dylemat łączy się z problemem działalności artystycznej wyrosłej w ten czy inny sposób z marcowej "kontestacyjności". Sam Barańczak zwrsoa uwagę, że należałoby już przewyciężyć to stadium, zaleca kolegom wyjście z fazy "pojedynku z gazetą". Jak możnaby to uczynić - to chyba najważniejsza sprawa, o jakiej warto rozmawiać

w związku z jego książką. Jak dokonać przejścia do dojrzałości, w imię której opuściliśmy "piaskownicę"? Jak wyzwać się na dobre ze zdziecinnienie, nie popadając w groźną pułapkę czyhającą na buntowników przeciw "piaskownicy", w zdziecinnienie kontestacyjne?

Może dałoby się na razie powiedzieć tyle, że postulat kontroli moralnej najwyraźniej nie wystarcza, i że musi go wspomóc samokontrola intelektualna /podkreślam: nie chodzi o intelektualizm lecz o m y ś l e n i e/ na możliwie najwyższym poziomie i w możliwie najbardziej spotęgowanym stopniu: oo rozumiemy i przede wszystkim czego nie rozumiemy ciągle w świecie, w nas samych? I może dlatego tomik Krynickiego wydaje się Barańczakowi tak dojrzały, może dlatego jest on niewątpliwym przewyżczeniem stadium "pojedyunku z gazetą" /charakterystyczny, pokoleniowo jakże przekorny wiersz o gazecie, biednej gazecie, która "wylizuje" w samotności nie gojącą się nigdy ranę prawdy" - zwróćmy uwagę na wstrzemięźliwość moralną autora, i.e. to, że nawet we wrogu dostrzega biedę, nieszczęście, że Krynicki dokonuje kolosalnego wysiłku myśli przede wszystkim, wysiłku, by sięprzypadkiem w czynuś nie okłamywać. Nie dokonuje wysiłku etycznego, tylko po prostu wierzy w wartości. Barańczak natomiast w swojej recenzji nieszmordowanie ohwali go za wysiłek moralny. Jasne, że tych dwóch rzeczy nie sposób rozdzielić, że muszą iść w parze. Niemniej ryzykować można twierdzenie, że człowiekowi uczciwemu katwo jest przejawiać wrażliwość moralną, a trudniej autokrytycznie myśleć, czego dowodem, że tę pierwszą cnotę znajdujemy u wielu, a tę drugą u tak niewielu. Można też powiedzieć, że tym co wyróżnia Krynickiego i buduje jego dorosłość są nie dobre intencje, ale realne osiągnięcia w stworzeniu obrazu święta /nie uporządkowanego, jak chciałby Barańczak/ lecz równie niespójnego i rozdartego jakim jest w naszych głowach i sercach.

Zatrzymanie się w stadium moralistycznego sprzeciwu jest równe zatrzymaniu się na poziomie wiecznej kontestacji. Choć trudno się znowu oczekiwac, że jakikolwiek krok naprzód w tej sprawie jest zatrzymaniu. Artysta podobnej jak grupa Barańczaka formacji jest skazany na męki wyboru między autonomicznymi wartościami sztuki, jej, powiedzmy to ogólnikowo, zajmowaniem się "wiecznym dramatem egzystencji" a palącym społecznym i politycznym d z i ś. Jest to wybór, przed którym staje co chwila, i za którego dokonanie drogo płaci. Który nie raz jest wyborem koniecznym - trudno przed nim umknąć, gładko łącząc obie rzeczy razem. Byron pojechał do Grecji nie po to, by piąć wieże - rozdzielił oba obowiązki: poety i człowieka. I tak by-



żo wiele razy. Uczynić z literatury propagandę zamiast, przeżycia historii, to sprzątnąć się sztuce. Pozostać z kolei niewrażliwym na konkretne zło dziejące się obok, to też zdradzić jedno z przesłań sztuki. Nawet ci, którzy w naszym pojęciu łączą obie rzeczy i, uprawiając prawdziwą poezję, potrafią jednocześnie odezwać się w niej głosem zdecydowanym w sprawach moralności publicznej - nawet cni pozostawiając po sobie trwałe ślady wahań i samooskarżeń. Bo też w sztuce prawdopodobnie sprzeczność nie potrzebuje być "pokonana", wystarczy jak zostanie przeolimpiana, przeżyta, a to jest mniej i o wiele więcej zarzew.

Nie nawołujemy zatem do znalezienia sposobu na pogodzenie sprzeczności takich jak na przykład między pragnieniem zmanifestowania naszego zaangażowania społecznego z jednej strony, a potrzebą nieuproszczonej analizy, życia z drugiej. Nie o pogodzenie sprzeczności idzie, lecz o ich przemysłenie i przeżycie, a najpierw - ich wytręcenie, które jest możliwe tylko wtedy, kiedy ktoś nie patrzy na rzeczywistość i na siebie poprzez szkła jakiegokolwiek doktrynalnego uproszczenia /żeby nie powiedzieć: oszukaństwa/.

Pełzająca kontestacyjność polega może na tym, że zbyt łatwo się tam przyjmuje, że się cokolwiek zrozumiało. Pierwotny, słuszny odruch buntu/przeciwko kłamstwu przyjmuje się za sposób wyjaśnienia i uporządkowania świata. Bo też nic nam nie porządkuje otaczającej rzeczywistości jak nasz gniew, i to jest doprawdy jedyny prawdziwy porządek jaki nam pozostaje, na terenie sztuki w szczególności, gdzie wszystko poza naszym gniewem jest spletanym węzłem nienaprawialnej komplikacji świata. Ale uczynić z tego gniewu teorię, to już nadużyć - cie w sztuce, choć zapewne nie w programie działalności społecznej.

Taki jest dialog krytyka /Barańczak/ z poetą /Krynicki/.

Poeta: Wiem, że postanowiliśmy to a to, wiem, że tak trzeba jak mówisz, w zupełności się zgadzam, to jest sztuczne. Ale zobacz - staram się być taki i to mi nie wychodzi: chcę być zaangażowany, a jestem obojętny, chcę pomagać ludziom, a przeszkadzam im, chcę opierać się znu i nie robię niczego, co by je zmniejszyło!

Krytyk: Nieważne, że ci nie wychodzi - ważne jest tylko to, że się staram, że się nie godzisz zapomnieć, że nie chcesz być "sługą nicności", że się nie usprawiedliwiasz i nie zastaniasz, że dajesz światu. Jesteś świetny!

Poeta: Właśnie z tych samych powodów jestem dno!

Krytyk: To wystarczy, że wierzysz, że słowa są nieśmiertelne i tę wiarę innym wpajasz.

Poeta: Och, nie potrafię nic wpajać innym, nie myślę, żeby inni cokolwiek powinni, żeby powinni podzielać moją wiarę. To jest moja prywatna wiara i nie mogę jej narzucać, choćbym nawet chciał, by inni ją podzieliali.

Krytyk: Ale przecież wierzysz razem z nami wszystkimi w wielkie wartości, których chcemy bronić, wierzysz, że musimy stanąć po stronie krzywdzonego człowieka przeciwko kłamstwu słów!

Poeta: Tak, tak, wierzę, ale słuchaj: ja się tego watydzę, ale ja nie wiem nawet czy cokolwiek przetrwa z tych naszych udręk, czy ktoś w przyszłości będzie mógł uwierzyć, że coś podobnego było, uwierzyły w tę naszą dobrą wolę. To jest okropne, ale ja nie wiem na pewno, czy to wszystko nie wyda się komuś po latach jakimś niezrozumiałym zamieszaniem, w którym nie wiadomo, o co chodziło. Tak, wierzę w wartość, jaką jest człowieczeństwo, ale nie wiem, czy za sto lat ktoś, kto weźmie mój wiersz do ręki, będzie mógł to w moim wierszu odczytać!

Barańczak prawdziwszy to dla mnie ten, który - na niejedynej kartce swojej książki "stacza się na pozycje defensywne" /tymi właśnie słowami powinien go potępić Barańczak - rycerz/, przyznaje, że walka słowem ma własne prawa, i że jest krucha, poddana wątpliwościom, łatwo podważająca własną wiarę. że wreszcie poeta nie może liczyć na żadne realne zwycięstwo.

Dojrzałość, czy to nie wiedza, że pewnej "spójności bez zmyś" uratować się nie da? że integralność poety i człowieka jest możliwa tylko do pewnego stopnia, że dobre intencje są tylko intencjami, a nie rzeczywistością styżną. że działalność publiczna skazana jest na swoje demagogie, i to jest cena jaką przychodzi za nią płacić, natomiast poezja skazana jest na moralną defensywę. Wiara jest rzeczywistością tylko intencjonalną i bohaterstwem poezji jest właśnie walka o wiarę równoznaczną z powietrzem, bo nie mającą rzeczywistego odpowiednika, walka o coś co nie ma realnego bytu! Utrata realnych nadziei równoważy się z wolą oddania, najbardziej irracjonalnego i wbrew logice świata, wartościom. Zaś udawać, że wartości są warte, teoretycznie wywodzić, to tak, jakby się nie wierzyło do końca. Po co dowodzić, że człowieczeństwo jest wartością? Jest to albo truizm, albo zdradzenie się z wątpliwościami.

Krynickiego przeraża myśl, że nieznamy wężeżyzna siedzący w oknie mógł być donosicielem. U tego przypadkiem spostrzeżonego człowieka, łamiącego właśnie chleb, donosiciel i człowiek są nieodróżnialni. I to jest przerażające. Oto łamie chleb i mam go pochochać. A jeżeli nazajutrz się dowiem, że donosił, to go potępię? Jakże to, więc czło-

wieściństwo jest podzielne? Ta zbawienna wątpliwość Krynickiego pokazuje jakowość goralizmu. Ta zbawienna wątpliwość pojawić się może dopiero wtedy, kiedy da się kredyt każdemu człowiekowi, kiedy złoży się dobrą wolę i kiedy porzuci się dobre samopoczucie głoszące, że jako wyznawca wartości jestem lepszy od kotra, kiedy zatem uzna się, że własne dobre intencje są intencjami wyłącznie, nie rzeczywistością.

So jest problem tak zwanych "uczuć negatywnych", w które wchodzi przyjęcie zasady, że znajdujemy się na polu walki. W walce te uczucia są niezbędne, one dają siłę. Ale nie w poezji i nie tam w ogóle, gdzie chcemy się - razem z Barańczakiem - wyrwać z "Ziemi Ulro", przynajmniej częściowo. Oto Blake, w relacji Miłosza:

"Drzewo wiadomości dobrego i złego czyli drzewo zaprzeczeń jest drzewem nauki tego poznania, które opiera się na zasadzie niesprzeczności. Kto spożywa z tego drzewa zaraz znajduje się wśród ustawionych parami negacji zmuszających umysł do występowania w roli sędziego, co w dziedziczu moralnej równoznaczne jest ze zwycięstwem pychy. W kole śmierci czyli w Ulro człowiek zmienia innych ludzi w nic nie znaczące ośnie, tworzy przypadki zaraz zapadające w niebyt i ponieważ nie może naprawdę uwierzyć w ich realność popada w niewolę ego czyli Widma." A oto sam Blake:

"Negacja to Widmo; Rozumowanie w Człowieku:

Pałazywe ciało, Narodził na moim Niesmiertelnym

Duchu; Samosobność, którą mam zawsze zrzucić z siebie i niezczyć  
Abym oczyścił Twarz mego Ducha, badając siebie.

Abym skąpał się w wodach Życia i zmył, co jest mniej niż ludzkie."

Czy chodzi więc może o tę rzeczywistość, a nie tylko teoretycznie zaświadczaną, wiarę w realność innych ludzi? Kontestator na przykład odmawia realności tajnikowi, prowokatorowi. Jak więc znowu pogodzić odrzucenie uczuć negatywnych, jądów nienawiści z pełnym otwarciem na odczuwanie gniewu wtedy, kiedy przebaczyć nie wolno? Jak się zdaje, od gniewu daleko jeszcze do potępienia, i może tu jest ratunek. Moralista potępia, gniewie się człowiek i poeta. Do gniewu mamy ludzkie prawo, prawo do potępienia sobie nadajemy.

Toteż Barańczak nie potępia nikogo. Bardzo rzadko wyrwa mu się zdanie godne niegdysiejszych "oceniaczy" sztuki /"Z czegoś się tu rezygnuje na rzecz bezsilnych, choć poruszających apostrof"/. A raczej ma tendencję odwrotną, by pogodzić możliwie wszystko co odczuwa jako dobre w intencji, by mu się więc zmieszcili Miłosz i Etyka bez Autorytetów, Herbert i wiara w skuteczność sprawy, Michnik i sztu-

ka, chrześcijaństwo i laicki humanizm, wczesne wiersze Woroszył-  
skiego i Mandelstam. Cała ta operacja zebrania wszystkich w jedno  
stadko polega na sprowadzeniu ich różnorodności, odrębności, niszez  
przeciwności, do wspólnego mianownika dobrych intencji moral-  
nych. I oczywiście wtedy wszystko się zgadza.

W każdym programie, który ma swój punkt wyjścia w zanegowaniu,  
w sprzeciwie, pojawiają się różne sojusze, wynikające z sytuacji  
walki, z przyjęcia "terenu walki" jako miejsca operowania. Tam  
trzeba bowiem być "w kupie", a nie samemu. Krynicki:

Brakowało nam wiary  
i dlatego wierzyliśmy w cokolwiek,  
w każdą fałszywą walkę  
ale nie wierzyliśmy w samotną walkę, bo każdy z nas  
kto ją zaryzykował  
musiał walczyć z żelaznymi cieniami,  
z żelazną wata, która go otaczała,  
pozbawiała tonu, wystawiała na pośmiewisko;

/Planeta Fantasmagoria/

Samotna walka, tak samo jak rzeczywistość wolność wyboru są to  
rzeczy najtrudniejsze i straszne. Niemniej na terenie działania  
społecznego można jeszcze obronić postulat solidaryzmu, na terenie  
sztuki - nie. I każdy autentyczny artysta, jeżeli nawet zaczynał  
"w kupie", to kończył sam, po prostu nie da się inaczej. Być może  
heroiczny okres grupy "pokolenia 68" się zakończył, z oaską niezwyk-  
łą i odnowicielką rolą jaką odegrał. I teraz zostaje samotność -  
dla tych, którzy zechcą pełnej dojrzałości.

Przyjęcie "terenu walki" ma i inne konsekwencje. Ten, kto tam  
się udaje, idzie walczyć o swoje wartości, swój świat. Tymczasem  
w toku walki, tak nierównej, jest nieustannie spychany jakby w świat  
przeciwnika, i w sumie właśnie rzeczywistość narzucona przez prze-  
ciwnika staje się dla niego jedyną rzeczywistością realną, w prze-  
ciwianstwie do intencjonalnej, w imię której działa. Walczący słowem  
jest w tej sytuacji skazany na powtarzanie truizmów, musi bowiem  
przed wszystkim stale zaprzeczać kłamstwom wroga. Zajmuje się więc  
odkłamywaniem kłamstw oczywistych, co ma może wielkie znaczenie spo-  
łeczne, ale co myślowo jest ubogie - nie pozwala rozwinąć tematów  
bardziej złożonych czy analizować spraw również bardzo ważnych,  
ale na danym "terenie walki" akurat neutralnych. W ten sposób słowo  
zostaje zepchnięte do roli negatywnej: broni, ale niczego nie  
buduje. Mandelstam przecież mógł całe życie budować "swoją budowlę"

poetycką, jak mówi o niej Barańczak, tylko dzięki temu, że nie przyjął postawy walczącego i nie wstąpił na barykadę - czyli nie dał się wciągnąć. Przeciwnie, ponieważ właśnie zignorował świat stworzony przez przeciwnika, i poświęcił się przeciwstawieniu mu własnego świata, świata ludzkich wartości i nienaruszalnego piękna istnienia. Daje się zaś wciągnąć do wyjątkowej rozgrywki ten, kto, jak to w walce, na gest musi odpowiedzieć gestem i na słowo słowem. Kto musi, schodząc o wiele poniżej własnych rejonów duchowych, szukać argumentów na poziomie płaskich kłamstw przeciwnika. Kto, jak Barańczak, musi poświęcić aż dwa fragmenty swojej książki na to, by odpowiedzieć Bratnemu! Operować na terenie wyznaczonym mu przez oczywiste kłamstwa i wykręty. Pewnie, że w sensie "popularyzacji odkłamania kłamstw ofiojalnych" jest to działalność niezwykle wartościowa. Barańczak zresztą podejmuje ją dlatego, że tak pojmuje swój społeczny obowiązek. Nigdy jednak nie wiadomo, kiedy utkniemy na dobre wśród kategorii narzuconych, i na narzuconym poziomie - i dlatego trzeba wielkiej oszczędności, a przede wszystkim, odróżnienia zadań publicystyki politycznej od poważnej krytyki literackiej.

Bardzo mocno podkreśla tę myśl Orwell w swoim szkicu "Writers and Leviathan". Twierdzi, że nie należy starać się łączyć zadań polityczno-społecznych i literackich, że należy je możliwie najbardziej rozdzielić w działalności jednego człowieka. Nie można dziś oczekiwać od pisarza - mówi - by nie angażował się w działania polityczne. Świat dzisiejszy stał się taki, że człowiek mający poczucie odpowiedzialności nie może nie reagować czynnie: "When you are on a sinking ship, your thoughts will be about sinking ships". Lecz pisarz musi rozdzielić swe dwa zaangażowania, musi niestety być rozdwojony. Jeżeli zdecyduje oddać swe pióro bez reszty w służbę partii politycznej, zostanie przez nią wchłonięty wraz ze swoją sztuką, powiada dalej Orwell. Stanie się tak, ponieważ lojalność grupowa wcześniej czy później musi go do zastosowania niezbędnych w publicystyce partyjnej przemilczeń jednych rzeczy na korzyść innych, niezbędnej nieuczciwości. Toteż dzisiejszy pisarz ma zdaniem Orwella oddzielić lojalność grupową od lojalności względem swojej sztuki, skoro ta ostatnia musi być produktem indywidualnym. Rezultatem natomiast poddania całej twórczości presji własnej partii /nie mylić, mówi Orwell, z presją opinii publicznej, bo takiej w naszych czasach nie ma w literaturze, i nie ma też sposobów kontroli do jakiego stopnia grupy nacisku reprezentują społeczną wolę/

51

jest nie tylko błąd, ale wręto i czasowe wyschnięcie zdolności twórczych. Pisanie dla partii zawsze grozi zmniejszeniem toku myś-  
li, jeżeli miałyby doprowadzić do heresji.

Czyli, że niebezpieczeństwo jest tam, gdzie te dwa tereny -  
literatury i polityki - zaczynają się przenikać w jednych i tych  
samych tekstach. Nie można takiego zarzutu postawić Barańczakowi,  
niemniej jego próby utożsamienia, jego niechęć do rozdzielania za-  
dań krytyki literackiej i publicystyki społecznej, jego szukanie  
we wszystkim wspólnego mianownika etycznego trochę budzi niepoko-  
ju. Barańczak bowiem, w przeciwieństwie do Orwella, wydaje się wal-  
czyć o tożsamość pisarza politycznego i pisarza tout court. Dowo-  
dzi nam, że poezja jest publicznie prowadzoną walkę o sprawiedli-  
wość i prawdę. Być może dowodzi tego tylko na teraz, na daną, tę  
a nie inną chwilę, tak niebezpieczną w życiu społeczeństwa. Chce,  
by przynajmniej dziś utożsamiono na pewien czas moralność i poezję,  
ponieważ tylko to może wyprowadzić literaturę z błędnego koła, w  
jakim się znalazła. I rzeczywiście, trudno byłoby się z nim spierać  
o wielką rolę, jaką odegrało stanowisko jego grupy poetyckiej, rów-  
nież w poezji samej, nie tylko w publicznej moralności. Dzięki tej  
grupie poetów poezja w Polsce nabrała nowego oddechu, uzdrowiła sie-  
bie - właśnie poprzez przypomnienie sobie o społecznych obowiązkach.  
Ale przecież społeczna groźba objawiona tej grupie poetów w 68 roku  
nie trwała chwilę i nie stanęła się szybko przeszłością. Pojawiła się  
pytanie: co dalej? Moralistyczno-społeczny program może być cennym  
punktem wyjścia dla poezji, ale potem zaczyna ją unieruchamiać.

Zawsze żyje ten spór: walczyć, czy udawać, że wszystko jest nor-  
malnie, by nie zostać zepchniętym na pozycje negatywnego uczestnika,  
uczestnika rzeczywistości narzuconej. I ktoś, kto odczuwa sytuację,  
jako nie do zniesienia, musi mieć prawo pisać poezję, i programy, z  
takiego stanowiska się wywodzące. Lecz jednocześnie źle jest zapomi-  
nać, że walka o własny świat i o autonomię, o to, by nie być zepchnię-  
tym poniżej własnego rejonu duchowego, że ta walka też jest potrzeb-  
na. Bez niej nie byłoby Mandelsztama, Miłosza.

Zresztą nie jest wcale tak proste, jakie zadania społeczne poezji  
są najważniejsze, i kiedy. Można uważać, że społeczeństwo najbardziej  
potrzebuje w tej chwili poezji moralnego protestu. Ale można też  
uważać, jak Konstanty Jeleński, że "Ludzie projektują swe marzenia  
o wolności w artystę. Sztuka jest dla nich rezerwatem sił irracjo-  
nalnych, wolności". Jeżeli tak, zadania poezji byłyby nieco inne,  
i inna jej społeczna służba, niegorsza wcale od "budzenia snuśli".

Ala to już inny spór, spór programów. Jedno tylko jest pewne: nie spełnia swej społecznej roli sztuka pozbawiona autonomii, obarczona zadaniami, które powinny być realizowane nie w niej, lecz w działaniu. Wbrew temu, co się nieraz mówi o czysto etycznym charakterze ruchu opozycji demokratycznej /Ciagle kłopot z tą styką. Oto - wielki worek, w którym wszystko się mieści - jest to najbardziej oczywista ułomność polskiego myślenia od dwóch wieków/ powstają przecież załążki formacji zgoła politycznych. Wszystkie one będą potrzebowały swoich z kolei bardów, swoich nadwornych artystów. I ten mechanizm jest nieuchronny, niezależnie od najświetlejszej nawet woli przywódców owych formacji. Po prostu polityka budzi takie namiętności, przy których sztuka przegrywa. Co zrobić, by rozwijała się i sztuka "niezależna", nie zostając ubezwłasnowolniona przez ideologię i skazana na smu ze jakieś pół-istnienie na usługach działalności społecznej?

## KISIELIZM JAKO DUCHOWA FORMA ŻYCIA

"Co to jest kisielizm? Oczywiście pytanie takie zadać może tylko kompletny ignorant, kisielizm bowiem to powszechnie znany system filozoficzny, obejmujący swym zasięgiem wszystkie dziedziny życia ludzkiego z polityką, ekonomią, sztuką i sportem na czele, /.../ echarakteryzowany najpełniej w maksymis: "Nie wierz człowiekowi, który ci mówi, że głową muru nie przebijesz" /Jubileusz 1945-1950/. To prawda, kisielizm jest w powojennym życiu intelektualnym Polski zjawiskiem wyjątkowym, podjęte w nim zostały elementarne problemy. Wszakże nie jest chyba prawdą, że kisielizm jest systemem powszechnie znanym.

Dzieje się tak nie tylko dlatego, że Stefan Kisielewski podlegał ewolucji, że z przekorną pasją zacierał i mylił ślady, że jest mistrzem formy aluzyjnej, wieloznacznej, w ciągłej dyskusji z chwilą bieżącą. Nie, bo przecież kto weźmie do ręki wydaną w 1949 roku Politykę i sztukę czy opublikowane w roku 1956 Rzeczy małe, zaskoczony będzie intelektualną trwałością i donośnością tych tekstów. Dziś jednak te książki są trudno dostępne, a przecież w nich kisielizm wyraził się najpełniej. Wiele zaś innych, podstawowych dla zrozumienia tego prądu umyślowego wypowiedzi pozostaje zagrzebanych w starych rocznikach "Tygodnika Powszechnego". W niniejszych refleksjach nad kisielizmem będą się przede wszystkim opierał na wspomnianych dwóch publikacjach. Zapewne i w innych tekstach - w Sprzysiężeniu czy w Zbrodni w dzielnicy północnej, w późniejszych wyborach felietonów czy w szkicach o muzyce - odnajdujemy przejawy kisielizmu, ale nie tak czyste, nie zawsze równie przejmująco wyrażone. Nie poruszam tu również skomplikowanej kwestii, w jakim stopniu twórczość muzyczna Stefana Kisielewskiego jest odbiciem kisielizmu.

### Geneza kisielizmu

Dlaczego właśnie Stefan Kisielewski zdobył się na tak odważną i twórczą poetawę umysłową? Dlaczego właśnie on zdołał wziąć tyle zakrętów, pokonać tyle przeszkód /zapewne nie wszystkie - nie demonizujemy/, dlaczego nie zagubił siebie i nie odwrócił się od rzeczywistości? Jego bronią był właśnie kisielizm, wcześniej potrafił wy-



tworzyć ten oręż, ten drogocenny instrument, ofiarowywał go czytelnikom - to jest sekret popularności jego felietonów. Leben und leben lassen - powtarzał te minimalistyczne hasło, które w jego wykonaniu stało się wyrazem najwyższych ambicji.

Dlaczego właśnie on? Nie chce poszukiwać genetycznych determinantów, których kisielizm jest przecież żywym zaprzeczeniem. Chiałbym tylko ukazać pewne punkty wyjścia, które ułatwiają zrozumienie dojrzałego kisielizmu. Kisielizm, jak każdy system intelektualny, dokonał wyboru określonych mistrzów, poprzedników i zwastunów takiej postawy, ale na wybór tych właśnie mistrzów wpłynęły inne jeszcze czynniki: tradycje domowe, temperament osobisty, przemyślenie wojennych doświadczeń. Wszystkie te elementy nie wyczerpują oczywiście genezy kisielizmu, rysują jedynie tło tej postawy.

Zygmunt Kisielewski, ojciec autora Polityki i sztuki, był publicystą socjalistycznego "Robotnika". Te postępowe tradycje stanowiły świetne antidotum na demagogię skrywającą się pod postępową frazeologią. Były to tradycje rzeczywiste, dlatego Stefan Kisielewski nie bał się posądzeń o "reakcyjność" i "bęc-walskość", dlatego nie czynił rozpacaliwych wysiłków, aby ze wazelką ośną być "w kursie" swoiście rozumianego duoba czasu. Nie tylko nie bał się wspomnianej demagogii, ale wskazywał innym fałszywy, demagogiczny charakter ich postawy.

Wychowany był w domu pilsudczykowskim i ciał tej wielkiej postaci zaważył na atmosferze wielu tekstów, choćby na podstawowej tezie kisielizmu o sensewności bicia głową w ściany, jednak po lekcji powstania warszawskiego autor Rzeczy małych odwoływał się nieraz do realizmu politycznego i widział w pewnych analizach Romana Dmowskiego przykład trzeźwego widzenia polityki. Kisielizm jest właśnie próbą dynamicznego przewyższenia obu tych postaw, wyjścia poza magiczną kożką dwóch zwaśnionych obozów, które formowały psychikę społeczeństwa II Rzeczypospolitej. Trzeba wyrwać się z niewoli ideologicznych formułek, zdobyć się na dystans, który umożliwi swobodne korzystanie z pozytywnego dzrobku obu stronnictw, pozwoi na wybór postawy ze względu na jej słuszność, a nie ze względu na jej zgodność z ideologiczną ortodoksją.

Geneza kisielizmu sięga przedwojennego "Buntu Młodych" i "Polityki", gdzie pisarz terminował jako krytyk muzyczny i publicysta. Walczył tam z terroryzmem postaw skrajnych. Jednak pełnię tego niebezpieczeństwa zobaczył w czasie wojny. Hitlerizm był próbą totalnej przbudowy świata i człowieka, wysiłkiem stworzenia nowego ładu. Wi-

dok brunatnego szaleństwa w akcji na ulicach Warezawy był dla Stefana Kleisolewskiego doświadczeniem cementującym, wskazującym właściwą hierarchię wartości i kierunek działania. "Ostatnia wojna i okres ją poprzedzający nauczyły nas głębokiej nieufności wobec idei zachłanych, pragnących podporządkować sobie i zorganizować według jednego planu najróżniejsze dziedziny życia /.../ W imię racjonalnej i ekonomicznej organizacji społeczeństwa, w państwach totalizmu faszystowskiego zabito radość życia, unicestwiono jego bogactwo. i urok, zgnębiono wolną wolę jednostki, zatracono godność i indywidualne poczucie moralne obywatela" /Polityka i sztuka przedmowa/.

Miliony ofiar hitlerowskiego eksperymentu zabite zostały w imię nowej metafizyki czy raczej anty-metafizyki. "Hitler i jego towarzysze podjęli gigantyczny, na miarę antychrysta zakrojony plan ideowy: rozsadzić granice ludzkich możliwości, uważane dotąd za niewzruszalne, zniweczyć niezmienny obraz ludzkiej wędrówki, udowodnić, że całość, że prawa ograniczające dotąd jego wszechmoc były złudzeniem, które rozwiązać się musi w nicłość wobec skoncentrowanej, doprowadzonej do szczytu "Wille zur Macht": /Krytykom Kościoła/.

Wojna faszystów ze światem była wojną religijną, od jej wyniku zależało oblicze duchowe ludzkości. Oparciem w zmaganiach z nazizmem była idea chrześcijańska i ona także jest pomocą w zmaganiach z negatywnymi reperkusjami hitlerowskiego totalizmu, ze zbrutalizowaniem świata. "Katolicyzm jest ideą wytrzymującą próbę nowoczesności a legitymującą się tradycją dwóch tysięcy lat: katolicyzm posiada koncepcję uniwersalistyczną, obejmującą wszelkie dziedziny życia, od problemów gospodarczych do sztuki i obywatelstwa włącznie; katolicyzm godzi indywidualizm, poszanowanie jednostki, z dążeniem do rozstrzygnięć ogólnych; Kościół katolicki wreszcie jest instytucją, która opiera się groźnym podmachom wojen i rewolucji" /Polityka i sztuka przedmowa/.

Kościół nie jest wazakże instytucją o celach doczesnych, jest instytucją ponadludzką, która stoi na straży odwiecznych norm moralnych, nie wolno zamykać jej w ramy jednego obozu politycznego, jednego programu społecznego, redukować do jednej, totalnej ideologii. "Tych i tylko tych założeń nie mogą przeżyć trujący kwas faszystów - bo założenia te apelują do jednostki ludzkiej, do indywidualności - tkwią one w każdym człowieku i, chcąc je zniszczyć, trzeba zniszczyć każdego człowieka z osobna" /Krytykom Kościoła/.

Z tych doświadczeń zrodził się uniwersalistyczny i personalistyczny charakter katolicyzmu, jego

wrogą wobec wszelkich przejawów integralizmu, determinizmu, urzecznienia materialną siłą.

#### Mistrzowie

Najczęściej powracająca w felietonach Kisielela postać literacka to Don Kichot, błędny rycerz przebywający w utopijnym świecie. Ale to tylko autoironiczny symbol jednej ze stron kisielizmu: prawdziwy ideał to być Don Kichotem krytycznym wobec siebie, świadomym niebezpieczeństw donkiszoterii, być Don Kichotem i Sanczo Pansą jednocześnie. Kisielizm jest systemem oryginalnym, można jednak oczekiwać duchowych powinowactw, które pozwolą nam go lepiej zrozumieć. Stefan Kisielewski wspominał kiedyś, że postawa Henri de Rocheforta wobec Napoleona III zasugerowała mu jego własną postawę, ale wydaje mi się, że tylko błyskotliwość formy łączy autora La Lanterne z autorem Rzeczy małych. Również tylko bujność temperamentów łączy autora Londynszczyzny z autorem Opowiadań i podróży: zachwyty Kisielewskiego nad Stanisławem Mackiewiczem są mylące, dokonywali przecież najczęściej diametralnie przeciwnych wyborów politycznych.

Do roli mistrza kisielizmu bardziej był predestynowany Adam Krzyżanowski, człowiek wielkiego dowcipu i wielkiej odwagi, głosiciel liberalizmu i autor Chrześcijańskiej moralności politycznej. Był to jednak raczej towarzysz niż mistrz, raczej o równoległości postaw niż o wpływie mówić należy. Stefan Kisielewski wielokrotnie podkreślał, że jego mistrzem był Karol Irzykowski, że od autora Łżejszego kalibru przejął ideał ciągłego zmagania się ze sobą, "ciężkiej krytycznej analizy wyznawanych poglądów. Nazwał Irzykowskiego "klerkiem heroicznym", "Savonarolą intelektu", "Ideał przewrotną jego życia i twórczości było przeszycie terrorku determinizmów, jakiegokolwiek by one były natury: determinizm społeczny, materialny, klasowy, narodowy, rasowy, determinizm snobizmu, pojęć katwch, etykietek, opinii ustalonych, nawet determinizm talentu i dyspozycji wrodzonych" /Wspomnienia o klerku heroicznym/. Wydaje mi się jednak, że rozbieżności temperamentu obydwu pisarzy są zbyt wielkie, zakres ich zainteresowań i skala stylów zbyt różne, aby należało dalej rozwijać tę paralelę.

Jeszcze o jednym polskim literacie trzeba tu wspomnieć: o Janie Emilu Skiwskim. Był to anty-mistrz kisielizmu, klasyczny przykład niebezpieczeństw, jakie stoją przed intelektualistami, którzy urzeczzeni zostali siłą. Skiweki świadomie wybrał kolaborację z Niemcami, uważał, że jest to trudna, ale konieczna dla Polaków decyzja. Sądził,

że jeżeli Polska nie chce znaleźć się w skazanym na zagładę przemijającym świecie, musi wytworzyć swój własny faszyzm, włączyć się do organizowanego przez Niemców nowego ładu, który odnosi tak wielkie triumfy. "Rzecz charakterystyczna: w rozważaniach swych zastanawiał się tylko nad sprawą: kto wygra? - nigdy zaś; kto ma rację? Rację historyczną identyfikował z siłą - wszelkie inne ujęcia, wszelkie argumenty natury moralnej uważał za "polski sentymentalizm", którego obawiał się najbardziej ze wszystkiego na świecie" /Wspomnienia i inwektywy/.

Dyskutując o liberalizmie Kisielewski powoływał się na idee Actona, Rüpkego, sam jednak podkreślał, że powrót do czystego liberalizmu jest niemożliwy. Głószenie dziś klasycznis liberalnego programu ekonomicznego byłoby przejawem niedialektycznego widzenia świata, przejawem "kisielizmu utopijnego", a przeciż autor Rzeczy małych jest twórcą dialektycznego kisielizmu. W tak rozumianym kisielismie liberalizm nie oznacza biernego naśladowania określonych koncepcji ekonomicznych, jest wyznacznikiem bardziej ogólnej postawy - oznacza personalistyczną koncepcję moralności: przekonanie o tym, że osoba ludzka jest najcenniejszą wartością, oraz oznacza dialektyczną i relatywną interpretację historii: przekonanie o tym, że formy epokowe są zmienne, zawsze powinny być poddawane krytycznej ocenie, zawsze pełnić służebną funkcję wobec potrzeb człowieka. Tak rozumiany liberalizm jest wyborem pewnej tradycji myśli europejskiej i w tym sensie mistrzami kisielizmu mogliby być Burke czy Tocqueville gdyby nie to, że to tak rozumiany liberalizm nie musi wytwarzać więzów ortodoksji, jest z samej istoty negacją doktrynerskich ograniczeń.

#### Etapy kisielizmu

U początków kisielizmu leży zdziwienie, postawa filozoficznie nadzwyczaj płodna. Wczesny kisielizm jest przede wszystkim pełną zdziwienia refleksją nad sensem potulnie przyjmowanych sloganów. Nie rozumie! - ten okrzyk często powraca - nie rozumie dewaluacji słów, gazetowej propagandy, ówcowcy, która rozszerza swe wpływy. "Wielu ludzi ulega atakom wściekliczny: nie mogą ani rusz uwierzyć, że dwa razy<sup>dwa</sup> jest pięć, że chodzić należy głową do dołu, że pojęcia określone są nieokreślone i odwrotnie, że szacowne i znane od wieków słowa zmieniły nagle swą treść itp. - wobec czego - następuje wściekliczna" /Chorzy na wściekliczną, kączcie się!/ Wczesny kisielizm, zaprezentowany w cyklu Pod włos, jest bardziej polemiczny, bardziej bezpośrednio związany z ówczesnym życiem niż kisielizm dojrzały z cyklu "Lo-

patę do głowy, gdzie poruszane były kwestie bardziej ogólne, elementarne kwestie sensu życia i sensu śmierci.

Oczywiście nie istnieje żadna rozbieżność między tymi dwoma etapami kisielizmu, różne są tylko formy, różne zakresy problematyki dyktowane przez różnicę sytuacji. Bardziej drastyczna zmiana nastąpiła z nadejściem cyklu Gwoździe w mózgu. Można powiedzieć, że artykuł Czy niepozytywizm? otwiera krótki okres wypaczeń kisielizmu; nastąpiło wówczas tzw. statystyczne odchylenie; niegdyśiejsza równowaga uległa zachwianiu na rzecz geopolitycznego realizmu. Wbrew zdziwieniu autora, kisielizm stał się pasywny wobec rzeczywistości, nie był więc w pełni sobą. Te wypaczenia zostały naprawione na plenum CKW kisielizmu, którego uchwały znalazły odbicie najpierw w felietonie O mojej trzeciej postawie, następnie w cyklu Głowa w ścianę.

Na szczęście niniejszy krótki kurs kisielizmu bardziej niż na odchylenia powinien zwracać uwagę na najolekawsze osiągnięcia; rozróżnianie etapów jest mniej ważne niż ukazanie istoty kisielizmu: ogólnej metafizycznej i historycznej koncepcji, która w zmiennych sytuacjach ulegała modyfikacjom, lecz stale wyznaczała podobny etosunek do jedności ludzkiej, do jej egzystencji w czasie i w przestrzeni - w tradycji i w zbiorowości.

#### Metafizyka kisielizmu

Jakie prawa rządzą według kisielizmu naszym życiem, jaki eons otrzymuje odzienna egzystencja, czy jest to spojrzenie pesymistyczne czy optymistyczne? Trudno na te pytania udzielić jednoznacznej odpowiedzi, kisielizm porusza te zagadnienia, jednak ujmuje je dynamicznie, rozpatruje z wielu punktów widzenia. Kisielizm bowiem jest systemem dialektycznym. "Wierzę w dialektykę, wierzę, że życie jest nieustannym ruchem i nieustannym postępem, wypływającym z ciągłego konfliktu, wynikającego znów ze stałego współistnienia wewnętrznych przeciwieństw" /Jeszcze jeden rok/. Życie jest ciągłym następstwem narodzin i śmierci, wieczną przemianą - i w tym sensie jest postępem. Czy jest koniecznie ulepszeniem, marszem ku wartościom wyższym? Nie, często jest klęską, niepowodzeniem. Człowiek jest ułomny i omylny. "A mimo to każdy, nawet na kożu śmierci, pali się do życia - ja też. Niepoprawni gracze nie tracą nadziei, że dokupią do koloru, ba - do pokera. Przecież to nie jest niemożliwe - wołają, i nawet stygnąca, półtrupia ręka wyciąga się jeszcze po kartę. Istotnie: niemożliwe nie jest, a więc - próbujcie - i ja z Wami. He, he, frajerzy, jak mawiał demon z bródka, Przybyszewski plus Wiech" /Historia tubki z kłajem/.

Ten pesymizm nie był czystym apatowaniem, pełnił w swej epoce funkcję terapeutyczną, był wyznaniem trudnej wiary, wprowadzeniem do trudnego optymizmu.

Wszystko się zmienia wokół nas, ale pozostają niezmiennie elementy życia: choćby starość, choroba, śmierć. Wszystko się zmienia, ale wnioskiem nie powinien być nihilizm, lecz przekonanie, że niezmiennych punktów oparcia nie należy szukać w złudnym świecie naszych przedmiotów czy naszych systemów cywilizacyjnych, w tych niestrwałych przesporach ludzkiego życia, - A gdzie? - We wnętrzu duszy: otc jest tam miejsce, gdzie znaleźć można coś niezmiennego" /O dziwności i zwyczajności/. Optymizm kisielizmu opiera się na przeświadczeniu o istnieniu niezmiennych wartości, które gwarantują sensowność zmiennego życia. To jest pierwsze prawo dialektyki kisielizmu, tzw. prawo dwojakiego sensu pokera. Poker życia jest tą szaloną grą, do której wyrzują się nawet umiatający, grą, która wydaje nam się czystym hazardem. Ta przypadkowość ma jednak utajony sens. "Przekonacie się kiedyś wszyscy, że mam rację. Znajdziemy się wtedy mienowicie w Krańcu 95 Wymiaru i zauważymy spacerującego po deptaku drobnego i szczupłego pana w cylindrze, wyposażonego w filuterne, choć nie pozbawione błysków twardości, spojrzenia, ogólną zaś postawą przypominającą diablika. Jakież będzie nasze zdziwienie, gdy pan ów, ściskając Was dłoń swoją małą, lecz silną ręką, przedstawi się: Poker jestem" /O trwałości i niezmienności/.

Tak rozumiana sensowność przejawiać się jednak może w różnych formach, w ramach różnych postaw wobec życia. Tu dochodzimy do drugiego prawa dialektyki, jest to tzw. prawo przechodzenia cierpiaków w szczęśliaków /i odwrotnie/. Kisielizm wyróżnia bowiem dwie generalne postawy wobec życia. "Ci pierwsi, to "cierpiaki", ci drudzy to "szczęśliacy", ci pierwsi to ideowcy i nieugięci, ci drudzy tu usprawniacze i wygodnicy, ci pierwsi to fanatycy, co drudzy to tolerancyjni łagodniacy, ci pierwsi jako ideał zalecają życie twarde i surowe, życie w walce, wyrzeczeniu i pracy, ci drudzy chętnie by widzieli życie w dcsycie, kontemplacji uroków i wygodzie" /Po co człowiek żyje/. Kisielizm jest systemem dialektycznym, nie ceni postaw ekrających. Dlatego za wzór stawia połączenie obu wspomnianych typów, choć zdaje sobie sprawę, że takie pogodzenie nie przebiega łatwo, bezkonfliktowo, w sposób mechaniczny. Ale kisielizm jest przecież poszukiwaniem, ciągłym poszukiwaniem najlepszego w danym momencie i w danej sytuacji połączenia cierpiaka ze szczęśliakiem.

Dwóm prawom dialektyki w metafizyce odpowiadają dwa kolejne prawa fundujące kielizowską historiozofię. Trzecie prawo dialektyki to - jak powszechnie wiadomo - tzw. prawo przemijającego wtorku i wiecznej niedzieli. Jest to mianowicie przekonanie, że historia ciągle idzie naprzód, że formy społeczne podlegają nieustannym zmianom. Po poniedziałku jest wtorek, po wtorku środa. Nie należy z tego wyciągnąć wniosku, że poniedziałku nigdy nie było, albo że środą będzie trwał wiecznie, że w poniedziałku było piekło, a w środę zapanuje raj. Trzeba pamiętać, co wydarzyło się w poniedziałek, przygotować się na przyjście środy i wiedzieć również, że następnie czeka nas czwartek. "Siowa Czerwonego Sztandaru" "Porządek stary już się wali" można śpiewać w każdej epoce, zawsze przecież, do licha, coś starego się wali, waliło i będzie walić. Król umarł - niech żyje król!" /Porządek stary już się wali/.

Trzeba jednak umieć to śpiewać, znać prawo przemijania wtorku, przemijania, przemieniania się wszelkich form społecznych. Należy wiarą w wieczność nowego porządku, nowonastające wtorku, jest zasiepiająca i śmieszna. "Zaraz po upadku Niemiec znalazła się w Polsce grupa starszej młodzieży, która uznała, że po wszystkim, co się stało, najpilniejszą z kolei rzeczą jest: 1/ udowodnić, że towar panuje nad człowiekiem a nie człowiek nad towarem, 2/ przekonać ludzi, że człowiek nie ma duszy, zaś takowa znajduje się tylko w żelazku i to starego typu - nowoczesne żelazka są, jak wiadomo, elektryczne i - podobnie jak człowiek - duszy nie mają, 3/ wmówić w ludzi, że największymi wrogami Polski są mieszczanie, wobec czego należy ich zlikwidować tj. przenieść ludność z niezniszczonych przez niemieckie przeczczenia i pościch miast - w plener, na łąki i lasy - gdy nie będzie miast, nie będzie i mieszczan" /Wywiad z ludźmi/.

Kielizm wychodzi z wyjątkiem z podobnych pułapek, bo nie tylko wie o przemijaniu wtorku, wie również o wiecznej obecności niedzieli. Krainy 95 Wymiaru, trwałych wartości, do których przez nie trwałe formy społeczne docieramy. Dlatego w kielizmie można być człowiekiem jutra i konserwatystą, pamiętać o śmierci i cieszyć się życiem, korzystać z dorobku przeszłości i wychodzić naprzeciw przyszłym pokoleniom.

Historiozofia kielizmu jest zarazem dynamiczna /przemijanie wtorku/ i sensowna /wieczność niedzieli/. Dlatego w rozważaniach o stępcu jednostki do zbiorowości punktem wyjścia powinna być jednostka, w niej bowiem tkwi ukryta sensowność wydarzeń. Odejście od

tej zasady doprowadziło w historii do masowych zbrodni, do wybuchu historyczofizycznego szaleństwa, jakim był hitleryzm. Wiara w istnienie podwójnej moralności prowadzi na manowce. Czy jednak przekonanie o powszechnej moralności nie prowadzi bądź do ślepego egotyizmu, do lekocważenia innych ludzi w ich dniu powszednim, bądź do niebezpiecznej urawniłowki duchowej, do skrajnego egalitaryzmu? Odpowiedzią na te trudności jest czwarte prawo dialektyki, tzw. prawo elitarnego uniwersalizmu i twórczej opozycji. Postulatem kisielizmu w porządku jednostkowym jest rozszerzający się elitaryzm, wprowadzenie ludzi w coraz wyższe kręgi kulturowego wtajemniczenia. Wynika zaś z tego, że w porządku społecznym postulatem jest społeczeństwo otwarte, dopuszczające współistnienie odmiennych poglądów i postaw. Tak rozumiana demokracja nie jest odgórnym wprowadzaniem jednego schematu, jednej doktryny, lecz umożliwieniem wszystkim jak najpełniejszego rozwoju w wielu dziedzinach, na wielu płaszczyznach.

Kisielizm ujmuje historię zarazem personalistycznie i dialektycznie, "Oto kulturę społeczeństw i w ogóle całej ludzkości tworzą jednostki, jednostki wybitne, wyjątkowe, "reprezentacyjne". Jednostki te, choć wyrastają z ducha masy, choć są wyrazicielami psychicznych czy fizycznych właściwości tej masy, choć wewnętrzny ich związek ze społeczeństwem jest najistotniejszy, najbardziej organiczny - zazwyczaj, zewnętrznie biorąc, są od tej masy na pozór izolowane, oderwane od niej zarówno swymi indywidualnymi formami życia, jak i twórczą, a więc wybiegającą naprzód, w przyszłość, strukturą swego intelektu czy talentu"/Elita i reprezentacja/.

Jak jednak nie dać się uwieść fałszywym prorokom, ludzkim pomyłkom i ludzkemu szaleństwu, totalnym ciagotom do światła bez konfliktów, do baraniej jednomyślności, jaką widzieliśmy na stadionie w Norymberdze i na Piazza Venezia? Kisielizm odpowiada na te podkreśleniem twórczej roli opozycji, społecznej potrzeby odmiennego punktu widzenia. Jak w przewodzie sądowym istnieją strony, które gwarantują sprawiedliwość sędziowskich orzeczeń, tak samo istnienie stron powinno być zagwarantowane w życiu społecznym, w jego politycznej organizacji; tylko dzięki istnieniu odmiennych punktów widzenia można dawać zasadną diagnozę rzeczywistości, mieć kontrolę nad sobą i nad innymi. Odmienny punkt widzenia pełni rolę amortyzującą, jest klapą bezpieczeństwa, chroniącą nas przed bałwochwalstwem tych, którzy zapomnieli o przemiananiu wtorku, przed nihilizmem tych, którzy stracili z czu wieczną niedzielę.



## Kiszielizm jako duchowa forma życia

Zarówno wymienione trzy etapy kiszielizmu, jak i panujące w nim cztery prawa dialektyki są jedynie przedstawić przez mnie próbą schematyzacji tego systemu, dokonanym dla potrzeb demonstracji chwilowym unieruchomieniem czegoś, co z istoty swojej jest ruchome i zmienne, niepodległe władzy schematów. Kiszielizm jest bowiem przede wszystkim duchową formą życia - skierowanym do nas wezwaniem, wezwaniem otwartym ku przyszłości i silnie wspartym o przeszłość, wezwaniem do wyjścia poza dogmaty postaw skrajnych, jest wbijaniem łopaty do głowy trudnych prawd i ciągłym biciem głową w ścianę, aby o tych prawdach przypominać.

WK

## Z DOŚWIADCZENIEM W PRZYSZŁOŚĆ

Raport zespołu "Doświadczenie i przyszłość" wzbudził znaczne zainteresowanie. Jest to zrozumiałe: wypowiedź grona tak poważnego na temat stanu Polski i perspektyw poprawy obecnej sytuacji stanowi niewątpliwą rewelację. Z bieżąc-politycznego punktu widzenia wypowiedź ta służy także zwiększeniu pluralizmu życia umysłowo-politycznego, a środowiska takie jak DiP tworzą ważne dla naszego życia publicznego pomosty między "władzą" a "opozycją". Zdajemy sobie sprawę z tego uwikłania raportu DiP w aktualną sytuację polityczną, ale sądzimy, że każde opracowanie tego rodzaju podlega ocenie i krytyce nie tylko z punktu widzenia jego funkcji w niezbyt klarownym życiu publicznym naszego kraju, lecz także i - w naszym przekonaniu przede wszystkim - z punktu widzenia jego zawartości intelektualnej, pozytywnego lub negatywnego wpływu na rozwój polskiej myśli politycznej. I tym właśnie problemom poświęcony jest niniejszy tekst.

Zmiana sposobu uprawiania polityki i kierowania życiem kraju, zdają się twierdzić autorzy raportu, jest nieunikniona i konieczna. Znaleźliśmy się obecnie w wyjątkowo ciężkiej sytuacji. Kryzys obejmuje niemal wszystkie dziedziny życia publicznego. Najjaskrawiej wyraża się w gospodarce i w życiu politycznym. Obecny jest - w polityce edukacyjnej, kulturalnej, społecznej. Nie ma bodaj ani jednej sfery, istotnej z punktu widzenia żywotności państwa i społeczeństwa, w której nie dałoby się odnaleźć symptomów choroby. Pogłębia się proces totalizacji, anarchii w gospodarce, zaostwiają się kryteria cenzury, rozbitości ulegają podstawowe więzi społeczne. Obecność kryzysu potwierdzają wszyscy cytowani uczestnicy ankiety przeprowadzonej przez konwersatorium "Doświadczenie i przyszłość". Potwierdzają się albo ulegają wzmocnieniu opinie wyrażane przez kompetentnych ekonomistów i socjologów na sesji w Polskim Towarzystwie Socjologicznym,<sup>x</sup>

<sup>x</sup> Patrz "Res Publica" 79/3

przez publicystów niezależnych pism. Prowadzenie takiej jak obecnie polityki, twierdzą autorzy raportu, grozić może katastrofalnymi konsekwencjami. Tu już nie chodzi tylko o rzeczową i racjonalną analizę. Pojawia się widmo strachu.

Autorzy raportu powiadają, że trzeba przygotować się do zmiany, należy w oparciu o rzetelną diagnozę wysunąć postulaty, które mogłyby stać się podstawą nowej polityki. Propozycje powinny odznaczać się realizmem /w końcowej partii tekstu polemizuje się z bliżej niezidentyfikowanymi utopistami/, trzeźwością i krytycyzmem wobec aktualnego etanu rzeczy. Chce się więc unikać wszystkich tradycyjnych wad polskiego myślenia politycznego. Nowa polityka, aby miała szanse powodzenia, aby była skuteczna i konsekwentna, musi wyjść od porozumienia, które łączyłoby rządzących i rządzonych. Jednym musi zapewnić nienaruszoną pozycję, nieuszczerplony zakres władzy, drugim zaspokoić głód samorządności, głód prawdy, głód partnerstwa. Trzeba wreszcie uznać racje geopolityczne, Rodeja musi uwierzyć, że Polacy potrzebują jej wsparcia i przyjaźni, że nikt u nas nie pragnie zmian w istniejącym status quo w Europie, a Ameryka, że ją szanujemy, bo bez jej kredytów zawali nam się rolnictwo.

Powstała więc praca, która w zamysle autorskim ma być punktem wyjścia do jakiejś szerszej i rozsądnej dyskusji, tak wszystkim potrzebnej. "Raport o stanie i naprawie Rzeczypospolitej" /w samym tytule wyraża się już powaga przedsięwzięcia i powaga chwili/ jest pewną ostatecznością do dość niepowtarzalnej stylizacji. Bo nie jest to wyłącznie sprawozdanie z badań quasi-socjologicznych. Wypowiedzi ankietowanych są tu traktowane jako ilustracja czy rozwinięcie tez redaktorów i autorów pracy. Mają potwierdzać ich spostrzeżenia.

Nie jest wreszcie ta praca ekepartyzą, choć słowo to wraca wielokrotnie w omawianym tekście. Ta wymagałaby innych narzędzi i uzupełnień, na przykład propozycji zmian pokazanych z pokazaniem epizodów ich realizacji, rozważenia możliwości spełnienia określonych postulatów, przedstawiania plusów i minusów każdego z przyjętych scenariuszy rozwiązań. Raport tymczasem zawiera tylko jedną propozycję zmiany i to czysto dekretową, bez pokazania jej zaplecia politycznego.

Nie jest to też tekst napisany językiem manifestu politycznego. Grupa "Doświadczenie i przyszłość" ochętniej powoływałaby się na obywatelskie, a nie polityczne motywy. Mamy więc do czynienia z pracą eklektyczną, która - jak można sądzić - jest wynikiem kom-

promisów między różnymi propozycjami. A przede wszystkim jest to praca niespójna, która czytana jako całość budzi wiele wątpliwości. Pierwsza część /zresztą bardzo ciekawa/ to dzieło powstałe w duchu "naukowej i obiektywnej socjologii", druga w duchu reformatorsko-prawnoizom.

Koncepcja zmiany opiera się na kilku milczących założeniach, które warto wydobyc.

Przyjmuje się zatem /pierwsze założenie/, że grupa rządząca pod wpływem krytyki, racjonalnych argumentów /a może trochę ze strachu/ jest w stanie zmienić styl rządzenia albo też oddać władzę innej ekipie, która prowadziłaby bardziej racjonalną politykę. Zskłada się więc w raporcie, że nade wszystko należy władcom pokazać na czym polega ich interes w tak trudnej dla kraju sytuacji i odwołać się do ich poczucia obywatelskości. Autorytet ankietowanych ma wreszcie przekonać władców, że opinię tę wyraża znaczny krąg ludzi, którzy nie są ani zacietrzewieni ani wrogo nastawieni wobec władzy.

Powtarza się znany, stary chwyt retoryczny, którym posługiwali się Saint-Simon, Comte czy Fourier. Arystokracja czy pasocyli powinni zrezygnować ze swych przywilejów, a monarcha powinien stać się głową doskonałego państwa technokratycznego. Należy tak postąpić, bo "szlachetność i prawa postępu dowiedzione przez naukę są po stronie pszczoł, a nie trutni. Nie potrzebna jest rewolucja, nie należy powtarzać błędów z 1789 roku. Należy tylko przekonać władców starego świata, że opóźniają rozwój ludzkości i nieświadomie działają wbrew sobie. "Władza w Polsce nie powinna żywić ambicji osiągnięcia wszechwładzy, ponieważ - twierdzą autorzy opracowania - przynajmniej w naszym kraju - rozkłada to w konsekwencji ją samą". Partia, aby zachować swą pozycję powinna kierować życiem kraju wyłącznie przez swych oszoków zasiadających w organach przedstawicielskich. Powinna ponadto zaspokoić choćby część potrzeb społecznych.

Rodzi się więc pytanie: czy tak sformułowana oferta jest do przyjęcia przez władzę oraz czy jest możliwa do przeprowadzenia? Czy rzeczywiście elita władzy odda część swoich uprawnień, bo tego domaga się seminarium "Doświadczenie i przyszłość" w imię jej dobrze pojętego interesu? Odpowiedź można znaleźć w samej pracy, w pierwszych jej dwóch rozdziałach.

Autorzy raportu dostrzegają cykliczność przemian: od liberalizacji po ostry kryzys pałacowy i wystąpieniach społeczeństwa ku stopniowej koncentracji władzy w coraz to węższym gronie. Istotne

deocyje zaczyna się podejmować wyłącznie uwzględniając interesy władz centralnych, omijając potrzeby społeczne, które składają się na siebie jak wyrazić. Istnieje swoisty fatalizm systemu socjalistycznego porównywalny z fatalizmem formacji kapitalistycznej opisywanej przez klasyków marksizmu. Centrum władzy przy tym odnosi się z niechęcią do wszelkich zmian. "Unormowanie kompetencji prowadzących, albo do częściowego ograniczenia władzy tych ogniw, które mają jeć jak najwięcej, albo do formalnego zwolnienia z odpowiedzialności pozostałych ogniw, co także nie odpowiada ogniwom wiódącym". Życie polityczne jest niejawné, struktura władzy opiera się na koneksjach, zbieżności interesów, formalno-prawne zobowiązania nie mają znaczenia. Tego typu stwierdzeń można cytować więcej. Wszystkie te wywody zawarte w części diagnostycznej prowadzą do wniosku, że grupy rządzące nie chcą prowadzić żadnego dialogu ze społeczeństwem, że ważniejsze jest dla nich zachowanie przywilejów niż rozsądne kierowanie życiem kraju, wreszcie, że nie chcą lub nie potrafią uniknąć błędów poprzednich ekip rządzących.

Autorzy diagnostycznej /w przeciwieństwie do autorów propozycji/  
Części nie pozostawiają nam żadnej nadziei. Nie wierzą, by władza <sup>wolanie</sup> zechciała usłyszeć to, <sup>własnie</sup> na puszczy, dała się przekonać, że prowadzi katastrofalną dla kraju politykę. Nie ma żadnych podstaw do tego, by uznać, że rządzący chcą słuchać, że potrzebują rad choćby intelektualistów, że gotowi są wziąć pod uwagę inne interesy niż swoje własne.

Co więcej, nie wiadomo, co to jest ta "władza". Diagnostyci twierdzą zgodnie, że aparat partyjny jest podzielony, że wewnątrz niego występują grupy o zróżnicowanych interesach, że zanikła wszelka motywacja ideologiczna /czy inaczej: idealistyczna/. Partia nie jest zainteresowana w ujawnianiu wewnętrznych konfliktów. Nie wiadomo więc do jakiej władzy autorzy propozycji się odwołują. Przecież żadna z tych grup, czy jak się to mówi frakcji, nie ma prawdopodobnie wystarczającej władzy, nie panuje na tyle nad sytuacją, by móc jakieś reformy przeprowadzić. Diagnostyci opisują zjawisko, niezwykle znamienne w tym kontekście, zjawisko "kompromisu negatywnego". Żadna z grup nie ma wystarczającej siły, by móc przeprowadzić swoją koncepcję, by osiągnąć coś więcej niż taktyczny sukces, ale posiada jej dosyć, by uniemożliwić przeprowadzenie tego, na co się nie zgadza.

Nie ma w raporcie żadnej próby obmyślenia gwarancji tego, że gdyby któraś z tych grup uzyskała wystarczające możliwości działa-

nia, będzie ona różniła się od poprzednich ekip i raz jeszcze nie wejście na utarty szlak: od swobód demokratycznych do centralizacji, że swoją kulturą polityczną /a uczy się tej kultury teraz/ różniła się będzie od swej poprzedniczki.

Drugie założenie: przeprowadzenie reform, choćby takich jakie proponują uczestnicy Konwersatorium, wymaga - a/ powstania grupy jednolitej i jednomyślniej, zjednoczonej koncepcją naprawy, b/ dysponowania przez tę grupę wystarczającym zapleczem politycznym do przeprowadzenia zmian; c/ posiadania przez nią środków na ich przeprowadzenie oraz d/ uzyskania na tyle efektywnej kontroli nad sytuacją gospodarczą i społeczną, aby móc zrównoważyć powatające w trakcie zmian trudności /o których zresztą raport uprzejmie milczy/.

I znów opierając się na diagnozie można żałośnie dojść do przekonania, że są małe szanse, by którykolwiek z tych warunków został spełniony. Nie ma żadnych nadziei na to, by uformowała się wewnątrz partii grupa złączona więzami ideowymi, nastawiona nie tylko na zdobycie władzy i przywilejów, ale i na przeprowadzenie niezbędnych korektur systemu. Nie widać wreszcie, a w każdym razie diagnoza na ten temat milczy, szans na pojawienie się wewnątrz aparatu administracyjnego poparcia dla nowej polityki. Jedną z głównych słabości raportu jest brak analiz w kategoriach politycznych, zastanowienia się nad hipotetycznymi celami poszczególnych grup, korporacji, lobbies, nad ich udziałem w wyobrażonym scenariuszu zmiany.

Z części diagnostycznej można wnioskować, że rządzące grupy /czy grupa/ nie mają większych możliwości kontroli nad sytuacją, przede wszystkim nad opiniami i postawami ludzi. "Rezygnacja z obowiązywania w stosunkach między władzą a obywatelami, a nawet różnymi ogniwami samej władzy zasady fair-play pozbawiła władzę możliwości rzeczywistej regulacji stosunków gospodarczych i społecznych", a gdzie indziej czytamy: "Ludzie, którzy nikomu nie ufają i niczemu nie wierzą, jutro uwierzą w najbardziej nieprawdopodobną pogłoskę i zaufają pierwszemu zręcznemu demagogowi. Społeczeństwo, które nie ma żadnych autorytetów politycznych w razie kryzysu i paniki może łatwo stać się społeczeństwem nieobliczalnym, ślepą ełką".

Trudno uwierzyć że społeczeństwo nagle zaufa władzy, wyjdzie ze skorupy cynizmu, apatii, cwaniactwa, że zaufa głosowi rozsądku, który popłynie z ust przekonanych i oświeconych już władców. Wszystkie, co w diagnozie zostało powiedziane, wskazuje na to, że znaleźliśmy się w błędnym kręgu: najpierw trzeba poprawić sytuację rynkową i atmosferę polityczną, by społeczeństwo zaufało władzy, ale po-

prawa sytuacji ogólnej jest niemożliwa bez uprzedniego uzyskania przez władzę społecznego zaufania. Trudno uwierzyć, by niemal z dnia na dzień elity rządzące zdobyły wystarczające prerogatywy tj. autorytet społeczny, by zgromadziły odpowiednie środki, by mogły sobie pozwolić na bezrobocie zamrażając inwestycje, zamykając fabryki, dla których brakuje surowca. Można sądzić, że środowisko DiP samo siebie jakby oferuje na pośrednika, na gwaranta stosunków między władzą a społeczeństwem. Szkoda tylko, że oferta ta nie została w raporcie otwarcie i szczegółowo rozważona.

Przyjęto wreszcie, układając listę propozycji trzecia założenie, iż władza już zreorganizowana i oświecona przygotowuje miejsce dla społeczeństwa. Innymi słowy: społeczeństwo wypełni jedynie wyznaczoną jej rolę i w swych żądaniach nie posunie się dalej niż tego oczekuje partia. Rządzeni mają więc w istocie zachować się biernie, mają zaspokoić swój głód na tyle, na ile życzy sobie tego władza. Koncesje na wolność, samorządność, praworządność nie mogą, co wielokrotnie powtarzają autorzy raportu, naruszać fundamentalnej zasady: kierowniczej roli partii. Reformy zatrzymują się więc tam, gdzie zatrzyma je elita władzy. Zakłada się więc, że rewindykacje społeczne w zasadzie zostaną określone przez władzę. Cała zmiana będzie miała charakter niejako przewrotu "od góry" a nie "od dołu", nowe zostanie nadane /biorąc pod uwagę potrzeby ludzi/, a nie stworzone we współdziałaniu wszystkich grup. Zakłada się zatem, że rządzeni zdobędą się w tak ważnej chwili na olbrzymią dyscyplinę, uznają wymogi sytuacji i konieczność ograniczenia reform.

Znów sięgając do diagnozy możemy raczej sądzić, iż władza nie może liczyć na zaufanie, iż stopień społecznego niezadowolenia i zniechęcenia, poczucia krzywdy jest nazbyt wielki. Należy także wziąć pod uwagę braki w kulturze politycznej mieszkańców ziem między Odrą i Bugiem, słabe doświadczenia samorządowe, nieufność wobec wszelkich informacji czy, ogólniej, nieufność wobec tego języka, tylko w którym można sformułować postulaty polityczne, wreszcie, jak twierdzą autorzy części diagnostycznej, nieumiejętność samoorganizacji i brak elementarnych odruchów solidarności społecznej. Łatwo więc sobie wyobrazić, że wszelki ruch odnowy zapoczątkowany przez władzę, albo wymknie się jej z rąk, albo napotyka na mur nieufności, uprzedzeń i lęków. Ma rację autor cytowanej w raporcie wypowiedzi, który twierdzi, że w sytuacji kryzysu i zmiany społeczeństwo może stać się nieobliczalną siłą. A wiemy przecież skądinąd, że wszelkie reformy i odkłamywanie nie mają swojego końca.

Impet krytyczny i rewindykacyjny może prowadzić do ujawniania co-raz to nowych warstw fałszu, nadużyć, zniewolenia. A zatrzymanie tego impetu daje się dokonać tylko przy pomocy środków przymusu. I wtedy szybko wraca się do punktu wyjścia. I jeszcze jedno niezwykle ważne założenie zawarte w propozycjach grupy "Doświadczenie i przyszłość": ZSRR zachowa albo neutralność albo będzie zainteresowany reformami przeprowadzanymi przez partię i w partii. Milcząco przyjmuje się, że zmiany w Polsce nie będą zagrażać żywotnym interesom hegemonu. /Partia ma nie tylko zdobyć się na iniojatywę zmiany, uzyskać zaufanie społeczne, ale również ma zagwarantować nienaruszalność sojuszu z ZSRR/. Twierdzi się, że na przykład olbrzymie pokłady antysowietyzmu w Polsce nie ujawnią się, a wręcz pod wpływem tych zmian stracą swoją podstawę. Trudno tu cokolwiek rozstrzygać. Należy jednak pamiętać i zastanawiać się zarówno nad doświadczeniem Czechosłowacji i Węgier /i Polski z 1956/ z jednej strony, a Jugosławii i Rumunii z drugiej.

Diagnoza nie daje nam żadnych powodów do optymizmu, nie ułatwia a raczej utrudnia zrozumienie jak możliwe jest w Polsce przeprowadzenie reform przez elitę rządzącą. Ciekawa i cenna diagnoza zaprezentowaną w raporcie sugeruje jedynie konieczność przeprowadzenia bardzo radykalnych zmian, nie rozstrzygając jak te zmiany można by było teraz przeprowadzić i jakie dają się pomyśleć możliwe i sensowne scenariusze politycznych i społecznych przemian w ciągu najbliższych kilku lat. Brakuje, co warto jeszcze raz podkreślić, analizy postaw i celów poszczególnych warstw i grup społecznych. Ekspertyza jest więc połowiczna, koncentruje się tylko na mechanizmach systemowych i na polityce grup rządzących. Nie wiemy, jak widzi tę sytuację zwykły uczestnik wydarzeń, a nie tylko niezależny i bezstronny obserwator uzbrojony w narzędzia "naukowej socjologii". W końcu to, co dzieć się będzie w Polsce, zależy nie tylko od tak zwanych obiektywnych praw, jakimi rządzi się gospodarka czy polityka, ale również od tego, jak przedstawiają się te mechanizmy ludziom, jakie szanse dla siebie i swych dzieci widzą ludzie aparatu, robotnicy, chłopci. Społeczeństwo w swoich zachowania nie kieruje się przeciw naukową diagnozą, ale oczekiwaniami, nadziejami, resentymentami, wiedzą tworzona i gromadzoną w życiu codziannym.

Warto teraz wspomnieć o samych propozycjach zmian przedstawionych w raporcie abstrahując od tego, czy są one możliwe do przeprowadzenia. Zwróćmy przy okazji uwagę, że powszechnie używa się zastępczo słowa "demokracja" i "liberalizm", tak jakby to były syno-



nimy. Ruch demokratyczny ma być więc identyczny z ruchem liberalnym, ruchem swobód. A przecież warto wyjść poza utarte konwencje językowe i odróżnić propozycje, które miałyby doprowadzić do liberalizacji systemu od tych, które nastawione są na jego demokratyzację. Pierwsze dążyłyby do ograniczenia wszelkiej władzy, niezależnie od tego kto i w ozym imieniu ją sprawuje, do wprowadzenia wyraźnego rozdziału władz, trwałego mechanizmu "równowagi sił". Zmiany demokratyczne dążyłyby do zwiększenia ilości osób, które brałyby udział we władzy, rozszerzenia bazy społecznej systemu. Główny nacisk zostałby położony więc na zwiększenie liczby osób biorących udział w wyborach i liczby stanowisk zależnych od woli społeczeństwa wyrażonej w akcie wyborczym.

W raporcie DiP wiele jest propozycji słusznych, ale pustych i gozosiowych /np. że trzeba dać gwarancje dobrej robotcie, indywidualnym rolnikom czy prywatnym przedsiębiorcom/. Proponowana reforma ordynacji wyborczej, postulat bezpośrednich wyborów szefa rządu, wojewodów, naczelnika gminy, rola i sposób powoływania Trybuna Prawa, eliminacja wpływu administracji na środki masowego przekazu są raczej utrudnieniami dla arbitralnie rządzącego władcy, niż sposobami na ograniczenie jego samowoli. Zwiększa się liczba stanowisk zależnych od wyborców, ale nie powstaje siła, która mogłaby skutecznie, choćby tylko w sytuacjach kryzysowych stworzyć gwarancje, że nie nastąpią nadużycia aparatu ścigania i sądownictwa, że nie użyje się wojska przeciw strajkującym robotnikom.

Autorzy propozycji wierzą, że naszemu państwu potrzebne są przede wszystkim dobre instytucje, dobre prawa. Im lepiej pomyślany system prawa, twierdzą, tym mocniejszy rząd, większa praworządność i łagodniejsze obyczaje. Prawo ma zastąpić politykę, rozumianą jako przestrzeń, w której ujawniają się interesy poszczególnych grup. Raport, który w całości poświęcony jest właśnie polityce, sztuce rządzenia i kierowania społeczeństwem, w swych konkluzjach i propozycjach eliminuje z pola widzenia sprawy polityczne. Autorem chodzi o stworzenie instytucji, które udają tylko że wyrażają interesy społeczne. A przecież nie jest istotne to, czy instytucje prawne są doskonale czy tylko dobrze pomyślane, wedle abstrakcyjnych kryteriów, ale czy umożliwiają wyrażanie się, istnienie w polityce interesów wszelkich podstawowych grup społecznych, czy te potrzeby będą miały jakiś wpływ na decyzje rządzonych, czy będą hamowały skłonność rządzonych do brania pod uwagę wyłącznie własnych interesów. Chodzi więc o uczynienie polityki sferą gry i walki, widoczną i jawną,

a nie tylko o to, by sprawnie funkcjonowały koleje, by decyzje centrali były wykonywane przez najniższą ogniwa władzy.

Są też i propozycje, które - sądząc z doświadczenia innych krajów - mogą stwarzać dla jednostek minimum bezpieczeństwa prawnego. Są to powtarzane wielokrotnie sugestie powołania trybunału administracyjnego, wprowadzenia zasady nieusuwalności sędziów czy idea rozbudowania sejmowego aparatu kontroli i informacji /choć warto wozesniej zapewnić sejmowi większą niezależność, uczynić go wreszcie instytucją par excellence polityczną/. Ale większość propozycji prawnych zawartych w raporcie, nawet przyjmując obowiązujące reguły gry i warunki jest bardzo skromna.

Istnieje olbrzymia dysproporcja między diagnozą i propozycjami. Sytuacja w kraju, sądząc po lekturze raportu, przedstawia się alarmująco. Wydaje się jakby fabryki przestały już pracować, koleje jeździć, władze rządzić. Nikt już nie panuje nad niczym. Zachowały się tylko fasady i nawyki powstałe w dawnych czasach, za którymi kryje się ogromny pejzaż wsi petliomkinowskich. Autorzy raportu niemal wprost grozą najgorszym: strzelaniem na ulicach, masowymi rozruchami, bankrutem kraju, paraliżem woli i mocy, zanikiem postaw obywatelskich. Są przekonani, że dryfujemy ku czemuś najgorszemu. Wzywają więc do działania. Spoglądają ku władzy, wierząc, że wreszcie okaże się rozumna, odwołują się do nieistniejących grup, przewidują jakieś ważne wydarzenia. Ale kurację proponują wstrzemięźliwą. W tę lukę między tym, co jest, a co być powinno wpisują bardzo skromne propozycje. Reformować należy tylko państwo. Zmieniają organizację władzy, zaprowadzając jako taki porządek, mianują kogoś Stróżem Prawa, dodają kilka instytucji samorządowych i wierzą, że kraj się jakoś wyliże. Ludzie zaczną żyć normalniej, a społeczeństwo uzyska wreszcie spokój i odetchnie na te parę najbliższych lat.

## MICEWSKI PRZECIW AMNEZJI

Pamięć ludzka, może zwłaszcza pamięć Polaków, jest przeraźliwie krótka. Jeszcze ją skraca polityka edukacyjna i kulturalna PRL, przede wszystkim różne postacie cenzury. Gdyby nie kilka rzadkich dzieł, takich jak - na pierwszym miejscu - "Człowiek z marmuru", to gotowibyśmy całkiem zapomnieć, jak wyglądał czas miniony i jaka płynie z niego na przyszłość nauka. Wydaje się na przykład, że nie wszyscy uczestnicy zjazdu, który odbył się z początkiem września 1979 w Warszawie pod hasłem "Chrześcijaństwo a odpowiedzialność za pokój" i wykonał stały Komitet Warszawskiego Forum Chrześcijańskie Europejskie /1/ zdawali sobie sprawę z bliźniaczego podobieństwa tej imprezy do byłej, paxowskiej Komisji Intelktualistów Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Frontie Jedności Narodu i zwłaszcza do trzykrotnych sympozjów PAX-u /1973-75/ pod wylącą nazwą "Pokój i Sprawiedliwość". Obserwując dalsze dzieje świeżo powstałego Forum dowiemy się niebawem, z jakim stopniem dokładności historia lubi się powtarzać tam, gdzie w nowych sytuacjach sięga się do starych i mocno przybrudzonych szablonów.

O ile rozumiem, seria książek, wydawana przez paryską "Libellę" pod auspicjami Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu /tego samego, do którego należał Miokiewicz/, postawiła sobie za zadanie pomagać pamięci Polaków i w miarę sił zapobiegać jej sklerozie. Seria ta, nosząca nazwę "Historia i Teraźniejszość" i składem swego komitetu wydawniczego dająca piękny przykład jedności naszej kultury ponad granicami /komitet tworzą Czesław Miłosz, University of California, Piotr Wandycz, Yale University, Henryk Wereszycki, UJ, Jacek Woźniakowski, KUL i Czesław Zgorzelski, KUL/ wydała, jak dotychczas dwis książki, a z ogłoszeń widać, że w druku jest trzecia - miejmy nadzieję, że wkrótce nastąpią dalsze. Oto tytuły:

- 1/ Henryk Wereszycki, "Historia polityczna Polski 1864-1918" /poprawiona, drugie wydanie znakomitego dzieła, które ukazało się w Polsce w 1947 i nigdy więcej/,
- 2/ Andrzej Micewski, "Współrzędnie czy nie kłamać: Pax i Znak w Polsce 1945-1976",
- 3/ Marcin Król, "Style politycznego myślenia".

Profesor Wereszycki ujawnia w swojej książce korzenie "genealo-

gii teraźniejszości". Andrzej Micewski natomiast wciąga nas między ostatnie, najmłodsze gałązki tej genealogii i na koniec - w samą teraźniejszość. Toteż czytając jego książkę zdajemy sobie sprawę szczególnie dojmująco z naszej narodowej amnezji i głęboko wdzięczni jesteśmy Autorowi, że sporządził tak skuteczne lekarstwo. Nawet ludzie, którzy byli już całkiem dorośli, kiedy działo się to, co opisuje Micewaki, często nie znali dokładnie faktów i ich kulisy, lub o nich w znacznej mierze - niekiedy dobrowolnie - zapomnieli. To nie dobrze: należy pamiętać urazy, ale źle jest zapominać, jak naprawdę było. Toteż z najwyższym zainteresowaniem i pożytkiem patrzymy, jak odważnie i uparcie Autor dobywa z mroku coraz to nowe tropy historii, które od lat niedawnych wiodą w nasz dzień dzisiejszy.

Nie waham się powiedzieć, że praca Micewskiego jest jedną z najważniejszych polskich książek, jakie wydał okres powojenny. Ostatnie trzydziestolecie, tak nieustannie, pod tyłoma kątami badane przez setki monografii, publikowanych na zachodzie, jest dla Polaków nieznanym kontynentem. Micewski należy do znikomej garstki śmiałków, którzy w tej dżungli przerąbują ścieżkę, pozornie wąską - ale jak rozległe z niej otwierają się widoki! Gdyby tego rodzaju unikatowe książki /postawiłbym obok Adama Michnika, "Kościół, Lewica, dialog"/ inaczej odkrywczą pracę Adama Michnika, "Kościół, Lewica, dialog"/ mogły się ukazywać w Polsce, ileżby oczu się otwarło, jak autentyczne i ważne stałyby się prasowe i inne dyskusje, jak ożyłby polski ruch umysłowy.

Micewski był czynnym uczestnikiem większości opisywanych przez siebie zdarzeń. Jak wiadomo, Norwid taką właśnie historiografię "z konia - nie przy biurze" uważał za szczególnie cenną. Tym cenniejszą, skoro Autor "po latach gorzkich porażek moralnych i zasadniczej ewolucji ideowej, której ślady znajdzie czytelnik także w tej książce, dozedł do jednego, ale za to całkiem pewnego wniosku. Na dłuższą metę najważniejszą jest prawda. Książka ta pomyślana została jako możliwie bliski jej przekaz historyczny, choć z pewnością nieunikniony jest pewien margines subiektywizmu każdego uczestnika wydarzeń" /s. 259/.

Ścieżka, na której Micewaki tropi prawdę, jest z założenia wąska: monografia dwóch środowisk, uważających się za katolickie, i to pisana pod jednym kątem - politycznym. Polityka często wynaturza się tu nie tyle w grę, ile w manipulację. Taka jest bowiem rzeczowość naszych czasów. Toteż książka Micewskiego staje się krótkim przewodnikiem po mechanizmach manipulacji, powściągliwym i nad wyraz

jasnym wytłumaczeniem, jak funkcjonowały te mechanizmy w powojennej Polsce.

Ten kąt widzenia jest jednak przyczyną symetrii pozornej, z której Autor może nie w pełni zdaje sobie sprawę. Dla PAX-u bowiem zasadą działania była *politique d'abord*, politykę zaś rozumiano tu przede wszystkim jako kombinatorykę taktyczną, perrekalną czy ideologiczną, wewnętrzną lub zewnętrzną, właśnie jako manipulację, która miała prowadzić za wszelką cenę do udziału we władzy, ale czasami się przemieniała w sztukę dla sztuki, nie mówiąc o tym, że manipulator stawał się nierz manipulowanym (*arroseur arrosé*). Micewski pokazuje to znakomicie. Dla Znak natomiast, zwłaszcza dla środowiska krakowskiego, które jeszcze w roku 1946 stworzyło miesięcznik pod tą nazwą, polityka - choć konieczna - była sprawą zupełnie drugorzędną, a do manipulacji Znak czuł na ogół głęboką nieufność, żeby nie powiedzieć awersję, i nie wykazywał w tym kierunku żadnych umiejętności: może to zresztą źle, bo bywał bezbranny wobec manipulatorów i zewnątrz i z wewnątrz.

Jeśli więc historia PAX-u w gruncie rzeczy pokrywa się z dziejami jego politycznych manipulacji, to historia Znaku rozgrywa się przeważnie w innych rejestrach. Oczywiście Micewski wie o tym, dając książce dziwny ale wymowny tytuł; pisząc, że oba ugrupowania "nigdy nie miały równorzędnej roli w polskiej społeczności katolickiej", bo dzieliły je i dzieła "nie tylko poglądy, ale przede wszystkim odmienne rozumienie autentyzmu, odpowiedzialności chrześcijańskiej i moralności życia publicznego" /s. 6/; cytując liczne artykuły "Tygodnika Powszechnego" czy deklaracje warszawskiego KIKu; podkreślając na koniec, że porusza zaledwie część problemów, ponieważ "Tygodnik Powszechny" interesuje go wyłącznie jako środowisko, które dało początek grupie Znak: "toteż zajmujemy się tylko tymi wątkami jego pracy redakcyjnej, które miały wpływ na uformowanie się szerszego ruchu społecznego" /s.161/.

Każdemu wolno wybierać taki zakres badań i takie stanowisko obserwacyjne, jakie mu się wydaje najoziakawsze. Ale w czytelnym cytowanym zdaniu widać, gdzie tkwi nieporozumienie. Mianowicie "szerszy ruch społeczny", to dla Micewskiego ruch klubowy /i przejściowo także sejmowy/ pod nazwą Znak. Tymczasem ruch społeczny, którego współtwórcą - wraz ze swymi czytelnikami - chciał od samego początku być "Tygodnik", to /mówiąc wzniośle/ ruch umysłów i serc, dzięki któremu Polak umiałby mądrzej odnajdywać własne miejsce i podejmować sens własnej pracy w zmieniających się warunkach oraz

głębiej, bardziej świadomie i konsekwentnie żyć wartościami swej religii i swej kultury, w płodnej wymianie wartości z innymi ludźmi. Według tych kategorii myślowych, sam "Tygodnik", a później Znak, to tylko jedna z możliwych, cząstkowych i bardzo niedoskonałych woleń czy krystalizacji owego ruchu. Najważniejszy jest tutaj udział w kształtowaniu postaw i - powtórzmy - w realizowaniu wartości. Polityka odgrywa w tej perspektywie rolę tylko służebną, a manipulacje polityczne budzą nieufność i niechęć, bo łatwo mogą podciąć te właśnie wartości moralne, którym Znak chciałby służyć. Micewski - powtórzmy - wie o tym wszystkim, ale jeśli zdaniem wielu czytelników druga część książki, poświęcona Znakowi jest znacznie słabsza od części pierwszej, paxowskiej, to nie tylko dlatego, że Autor późno poznał Znak od środka, i nie dlatego, że poświęcając drugą część jakby pośpieszniej, ale zwłaszcza dlatego, że poświęcają tak wiele uwagi politycznym manipulacjom, obrał punkt widzenia istotny dla PAX-u, akcidentalny dla Znaku. Mimo jednak tych wątpliwości również znakową część książki Micewskiego uważam za bardzo pożyteczną, o czym później.

Kiedyś już weszliśmy w polemikę, poruszmy jedną przynajmniej kwestię szczegółową. Nie mogę zgodzić się z Autorem, jakoby artykuł Janusza Zabłockiego z roku 1968, podpisany również przez Micewskiego, pt. "O narodowy i społeczny autentyzm polskiego socjalizmu", artykuł odrzucony przez "Więź", nie miał charakteru antysemitckiego /s. 215-216/. Chodził o to, że po słynnej interpelacji Koła Znak, broniącej studentów przed brutalnością władz, jakis pismac zachodnie zatytułował swą relację o tych zdarzeniach: "Posłowie Znaku odrzucają próby przypisania odpowiedzialności za zajścia elementom żydowskim". Formalnie jest to nieścisłe, bo Koło Znak z tych czy innych względów postanowiło skoncentrować się tylko na kwestii studenckiej, ale należy podziwiać orientację owego zachodniego dziennikarza. Było bowiem w kraju zupełnie jasne, że środowiska ruchu Znak, jeszcze wtedy reprezentowane w Sejmie przez Koło, są do głębi oburzone antysemitką, "narcydową" /i/ hecą, i że interwencja Znaku w sprawie studentów stanowi w istocie tylko pars pro toto. Otóż w swym artykule Zabłocki i Micewski postawili pytanie: "Czy komus nie zależało na tym, by przedstawiają nas w roli bojowników przeciw antysyjonizmowi włączyć naszą interpelację i nas samych w walkę o sprawę, która nie jest naszą sprawą?" /s. 216/ /Podkr. moje/. Takie zdanie w roku 1968, to coś więcej /i znacznie gorzej/ niż tylko - jak chce Micewski - "pewne odciążenie organizatorów kampanii

antysyjonistycznej". Pamiętamy /dzięki Micewskiemu/, że atakując koło Znak, w tymże czasie grzmiał Bolesław Piasecki: "Wydarzenia na terenie wyższych uczelni zostały pomyslane i zorganizowane jako fragment działania mającego popchnąć kraj do anarchii i w ostatecznym rezultacie do przewrót /.../ Dlatego obecność syjonistów w aparacie jakiegokolwiek władzy w naszym kraju jest - jak to wykazało zresztą obecne doświadczenie - niezmiernie szkodliwa dla interesów państwa i narodu. Nie na darmo przecież koła imperialistyczne Stanów Zjednoczonych czy koła odwetowe Niemieckiej Republiki Federalnej popierają syjonizm. Popierają go w imię totalnego antykomunizmu, w imię rozkładania życia społecznego w państwach obcym socjalistycznym /.../ Gdzie Znak napiętnował agresję Izraela na kraje arabskie? Kiedy posłowie Znak zaangażowali się przeciw antypolskiej - wewnętrznej i zagranicznej - akcji syjonistycznego nacjonalizmu?..." /s. 210/. W momencie, gdy postępowanie władz wobec wielu osób pochodzenia żydowskiego było haniebne /Micewski dośkonale to widzi/ a w Sejmie rozlegały się tego rodzaju groźne brednie - poseł do tegoż Sejmiku, zapewne broniąc się przed pomówieniem o "syjonizm", pisze, że to nie nasza sprawa. Nie warto, jak to próbuje robić Micewski, usprawiedliwiać tego rodzaju wypowiedzi. Lepiej pomyśleć razem z Andrzejem Szczypiorakiem /"Polacy i Żydzi", "Kultura" 1979 nr 5/, że choć byli wśród wygnańców 1968 roku ludzie, którzy wiele krzywd wyrządzili i w końcu "padli ofiarą chybotałów swego własnego śródcwiaka politycznego i moralnego", to jednak większość Polaków pochodzenia żydowskiego wygnano tylko za pochodzenie: "tych Polska winna prosić o wybaczenie, choć to nie Polska ich wygnała, lecz aparat Polską rządzący. A jednak Polska odpowiedzialna jest za wszystko, co w jej imieniu i nie pytając jej o zdanie - postanowiono. Nie jest to odpowiedzialność polityczna, ale jest to odpowiedzialność moralna, wspólna wszystkim, którzy mówią po polsku i żywią kult narodowej tradycji".

Kluczową, związaną z tym wszystkim prawdę Micewski szczęśliwie dobywa na jaw /patrz np. s.111 lub rozdział drugi części drugiej/ z całkowitą jasnością: że nie ma - wbrew sugestion, płynącym w swoim czasie zwłaszcza od wyższych funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa - żadnej konieczności ani nawet możliwości wyboru między dążeniami do demokratyzacji a dążeniami tzw. "narodowymi". O roztropnej demokracji marzy całe niemal społeczeństwo, uznając, że tylko na jej glebie mogłaby rozkwitnąć wielobarwna kultura narodu. Dążenia zaś tzw. "narodowe", odcięte od demokratyzacji, są /przynajmniej w na-

szych geopolitycznych warunkach/ zupełną fickją i maską zamordyzmu. Przerażające, że bywają ludzie dobrej woli /w tym wypadku Autor okazuje im przesadne chyba względy/, którzy po trzydziestu latach doświadczając jeszcze tego nie zauważyli, ulegają gromkim frazesom i do-  
szukują się u nas nieistniejącej, sprzecznej zresztą z najpiękniejszymi naszymi tradycjami alternatywy: wolność LUB ojczyzna.

Tym spróbuję bliżej wyjaśnić, czemu książka wydaje mi się tak ważna, jeszcze garść drobnych uwag krytycznych. Tekstowi bardzo brakuje adiustacji /fatalny jest także brak indeksu/, któraby może pozwoliła uniknąć kilku lapsusów, takich jak np. pokiełbaszone informacje o licznych Gawrońskich i ich działalności, niedokładne wyliczenie członków-założycieli KIKu, zbędne powtórzenia i nawroty lub dwukrotne cytowanie - w cudzysłowie - tej samej wypowiedzi Piaseckiego, za każdym razem w innej wersji: na s. 84 o tym, że "Tygodnik", ukradziony przez Pax może wyjść ponownie w prawowitej obsadzie redakcyjnej "tylko pod protektoratem Paxu", na s. 177 natomiast, że "może się ukazać tylko we współpracy z Paxem". Meritum w zasadzie to samo /Piasecki nie wyobrażał sobie współpracy z kimś, nie będącym u władzy, inaczej niż w postaci politycznego protektora własnego albowin - jak mówił "gestii"/, lecz forma nieco różna: może bezpieczniejszą byłoby posługiwać się w takich wypadkach mową pozornie zależną?

Styl Micewskiego bardzo jest dziwny: niby bezbarwny, oschły, czasem kostyczny, chwilami niemal urzędniczy /z typowymi dla urzędniczej polszczyzny potknięciami gramatycznymi/, ale przy tym niezwykle funkcjonalny. Świetnie wiążą się tu zwieszki opisu faktu, zredukowany do tego, co najistotniejsze, i komentarz, w znakomitej większości wypadków uderzając trafny, będący niewątpliwie owocem długotrwałych, wnikliwych przemyśleń, wydestylowany do postaci niemal aforyzmu. Kto inny dla sformułowania takiego komentarza potrzebowałby niekiedy całego artykułu, Micewski strzela w dziesiątkę jednym prostym zwrotem i spokojnie posuwa się dalej, przynosząc na każdej niemal stronie nieprawdopodobną ilość doskonałych na ogół udokumentowanych informacji. Każdy czytelnik znajdzie wśród nich rewelacje, ale też detale czy nazwiska, które uzna za zbędne, zależnie od własnej wiedzy i zainteresowań. Dla każdego jednak zakres tego, co potrzebne, będzie trochę inny i w rezultacie trzeba powiedzieć, że dla przyszłego historyka każdy detal może okazać się ważny.

Książka ta byłaby konieczna potrzebna gdyby nawet zredukować ją tylko do zbioru dokumentów, jakie w wyjątkach lub niekiedy w całości przynosi: po kolei m.in. teksty Piaseckiego z lat 1935-37, pro-



gram Konfederacji Narcdy z października 1940 i artykuły "Nowej Pcl-ski" z lat 1941-43, memoriał Piaseckiego do Gomułki z roku 1945, nie-drukowane jego "Wytyczne" i drukowane artykuły z różnych lat powojennych, list Prymasa Polski z 17 lipca 1953 o bezprawnym przejęciu "Tygodnika" przez Pax, dekret Kongregacji św. Oficjum potępiający książkę Piaseckiego i jego pismo "Dziś i Jutro", watykański zakaz współpracy duchowieństwa z Paxem /2 czerwca 1957/, list nuncjusza apostolskiego we Francji do episkopatu francuskiego w sprawie Paxu /6 czerwoa 1963/, komunikat Sekretariatu Episkopatu polskiego w sprawie Paxu z 29 grudnia 1967 i drugi—jeszcze ostrzejszy komunikat w tej sprawie do duchowieństwa z 25 stycznia 1968, wreszcie list sekretarza Episkopatu do Paxu z 8 lipca 1971. A ileż dokumentów streszczono tu lub omówiono, czasem paroma tylko zdaniami /np. deklarację Episkopatu Polski z 28 września 1953, po aresztowaniu Prymasa/ w chwalebnyim poczuciu, że może nie czas jeszcze te tragiczne karty stawiać pod osąd historii.

Ogromnie ciskawa jest także dokumentacja części drugiej, znakowitej, poczynając od artykułów ks. Piwowarczyka, poprzez wspólną publicystykę Stomny i Turwiczka, kończąc na pełnym tekście wspomnianej interpelacji Koza Poselskiego Znak z 11 marca 1968 w sprawie studentów. Kontrast między tekstami Paxu, cytowanymi w części pierwszej, a tymi ostatnimi tekstami jest uderzający z krainy manipulacji i sofizmów przechodzimy w kraj realny, powietrze się oczyszcza. Jeden dokument, artykuł z 15 lutego 1953 pt. "Po procesie krakowskim", Micewski określa jako błąd "Tygodnika", i chyba słusznie, choć artykuł ów "trzymał się granic, zawartych w świadectwach Episkopatu" /s. 174/. Nie wiem tylko, czy dosyć wyraźnie występuje tu kontekst ówczesnej sytuacji: wyszane z palca oskarżenia, aresztowania i procesy na wszystkie strony, wściekła nagonka prasowa i szantaż - groźba nawet nie tyle więzienia /to należało zawsze przewidywać/, ile likwidacji placówki. Micewski twierdzi, że "stały kontakt ze służbą bezpieczeństwa był po wojnie i potem za czasów stalinowskich nieuchronny" /s. 34/. Tak widocznie być musiało dla polityków z Paxu. Ekipa "Tygodnika" takiego kontaktu jednak nie miała /stąd zresztą jej bezsilność w sprawie Jasienicy/, dopiero w lutym 1953 kilku jej członków ujrzało słynną panią Brystygielową w odpowiednio opracowanej scenografii Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Antoni Gózbiew /twierdzi Micewski, cytując Kisielewskiego/ rozmawiał też z Franciszkiem Mazurem w KC. Ale gros rozmów toczyło się w Urzędzie do Spraw Wyznań z prezesem Antonim Bidą, którego zresztą summa sum-

marum ekipa "Tygodnika" nie wspomina śle. W ciągu tych nie kończą-  
 cych się targów o każdy przecinek w owym artykuliku, "Tygodnik"  
 przez trzy tygodnie się nie ukazywał. Wreszcie ukazał się, przyno-  
 sząc krótki tekst o procesie, który redakcja uważała mimo wszystko  
 za względnie wygraną, porównując go z tym, czego od niej żądano i z  
 tym, co pisała cała reszta prasy, a także licząc /skusznie, jak się  
 pokazało/ na czytelnika, który pewne sekretne anaki - choćby tylko  
 przemilczenia - tak dobrze rozumiał. Zapewna jednak był to błąd,  
 choć szeroka /oczywiście szeptana tylko/ opinia chyba go nie wytknę-  
 ła. Może dlatego, że niecały miesiąc później "Tygodnik" i tak uległ  
 likwidacji, odmówiwszy drukowania żądanego panegirynu po śmierci  
 Stalina. W tym samym momencie, o czym Micewski nie wspomina, w  
 paxowskim "Dziś i Jutro" ukazał się na całą szerokość strony pierw-  
 szej lament Dominika Horodzyńskiego pt. "Stalin - imię epoki". Ty-  
 tuł artykułu był proroczy, ale jego treść stanowi dziś curosum  
 dosyć niesamowite. Tytuły podrozdziałów brzmią: Wódz mas - Przyja-  
 ciel Polski - Geniusz socjalizmu, organizator, wysłaniec i wojsko-  
 wy - Choraży pokcji - itd. "Jakże wielki był ten człowiek - pisze  
 Horodzyński - jak gigantyczne pozostawia dzieło, jeśli nad trumną  
 jego w żakobie chyła głowy mieszkańcy pięciu kontynentów /.../ ci  
 wszyscy, dla których, niezależnie od różnic światopoglądowych, imię  
 Stalina było i jest symbolem największych idei naszego czasu, idei  
 pokoju, postępu i socjalizmu /.../ Nigdy nie zrzucim tego życia,  
 tej wspaniałej drogi ludzkiej umysłowości mieszczkańskiej /.../ Nie-  
 wątpliwie podstawowym motorem działalności i siły Stalina była jego  
 miłość do ludzi, jego głęboki humanizm. Czegokciwiek się tkniemy,  
 czy walki z dyskryminacją narodową i rasową, czy sprawy równopraw-  
 nienia kobiet, czy zagadnienia stosunku do pracy, uczynienia ją  
 twórczą i podnoszącą godność człowieka - wszędzie widzimy, że sta-  
 linowskie rozwiązania wypływa z najgłębszej miłości człowieka, z  
 troski o jego pełny rozwój i wyzwolenie /.../ Stalin nie lubił gdy  
 ktoś mu przedstawiał patos jego dzieła. Otc zakończenie rozmowy, któ-  
 rą odbył ze Stalinem w 1933 r. amerykański przyjaciel ZSRR płk. Ro-  
 bins. R o b i n s i Uważam, że nie ma nic ważniejszego i wspaniał-  
 szego niż uczestniczenie w tworzeniu nowego świata /.../ S t a l i n:  
 Jednakże sprawa ta następuje wielkie trudności. /Śmieje się./ "Ja-  
 kimże śmiechem musiała bulgotać szeroka osetyńska pierś, gdy Stalin  
 jeszcze za życia czytał tego rodzaju artykuły, tym bardziej uciesz-  
 ne, skoro pojawiają się w czasopiśmie, noszącym podtytuł "katolicki  
 tygodnik społeczny"!

Wróćmy jednak do dokumentacji w drugiej części książki Micewskiego. Znajdujemy tu komunikat Episkopatu z 18 lutego 1976 w sprawie Konstytucji oraz ogłoszone kilka tygodni później dodatkowe, szlachetne Wyjaśnienie. Otrzymujemy też informację, że to Episkopat pierwszy - już 25 listopada 1975 - wystąpił do władz z zastrzeżeniami, dotyczącymi konstytucyjnych zmian. I wreszcie dowiadujemy się, jak to rzeczywiście było z narodzinami odissowskiego pseudonimu.

Jeśli w dokumentacji tej drugiej części szukać oczywistej różnicy postaw, to najpierw warto porównać wypowiedzi Znaku i Odissu w sprawie Konstytucji. Ale głębiej może pouczający jest kontrast między artykułem Jerzego Turowicza w pierwszym numerze "Tygodnika" z roku 1969 /s. 219/, a wypowiedziami szefa Odissu, Janusza Zabłockiego /na przykład s. 231/. Zabłocki traktuje różne, dostojne i miłe wysoko postawionym uszom pojęcia, jakby to były kule bilardowe, czerwone, biało-czerwone, biało-żółte, grubi że okrągłe, które winny móc toczyć się gładko w każdą stronę i ładnie o siebie grzechotać. O artykule "Tygodnika" natomiast pisze Micewski, że nieprzejętą okazją, posycającą nieporozumienia między hierarchią a tym piśmem "był, wynikający zresztą z prawdziwej troski o Kościół i żarliwego chrześcijaństwa artykuł Jerzego Turowicza pod wyzywającym tytułem: "Kryzys w Kościele".

Następujące dalej cytaty z tego artykułu mogą irytować, budzić sprzeciw albo mocne poczucie solidarności, albo jedno i drugie naraz, ale trudno czytać je obojętnie. Zapewne, artykuł był taktycznie niezręczny, może też nie całkiem trafny - Turowicz, uparty "zapadnik", prznościł niekiedy życiem na grunt polski doświadczenia innych terenów. Ale jeśli "Tygodnik", mimo wszystkich swoich niedolności i mankamentów, jest piśmem tak cennym, to zwłaszcza dlatego, że gotów podejmować ryzyko, że stwarza szansę niezależnego myślenia, wojowniczych czasów a przecie rycerskich, otwartych, do głębi uczciwych poszukiwań; kto szuka ten może czasem zbłądzić i często musi płacić koszt. Trudno, myślenie i życie chrześcijanina, to nie partia bilardu. "Struktury charyzmatyczna i profetyczne - pisze Turowicz - nigdy zbytnie nie respektowały struktur hierarchicznych i instytucjonalnych, a dawcą prorocत्व i charyzmatów nie jest człowiek, ale Bóg /.../. Obecny kryzys jest w dużej mierze kryzysem międzyludzkiej komunikacji, a przerwanie komunikacji jest grzechem przeciw podstawowej idei wspólnoty, grzechem przeciw Kościołowi". Jakie to szczęście, że od niedawnego czasu ta bolesna diagnoza wydaje się coraz mniej aktualna.

Jak to rzeczywiście było, wie es eigentlich gewesen... To zdanie historyka Andrzej Micewski traktuje bardzo poważnie. Ileż faktów wyjaśnia, stawiając je na szerokim tle politycznych zdarzeń, ile razy prostuje błędne wiadomości i nasświetla genezę rozpowszechnionych, uproszczonych uprzedzeń. Za szczególnie mądre uważam jego rozważania na temat tzw. minimalizmu, bezryślnie zarzucanego Stanisławowi Stomnie /s. 168-170 i wielokrotnie dalej/. Bardzo też pięknie, oszczędnie naszkicowy został portret Stomny jako polityka /s. 240/.

Sztuka portretowa Andrzeja Micewskiego ma w zasadzie jednego przede wszystkim modela: jest nim oczywiście twórca i długoletni wódz PAXU, Bolesław Piasecki. Jakaż polityczna osobowość, jaki styl jej działania wykonują się z kart omawianej książki?

Mała ta portretowa mozaika, której kamyeczki błądzą na każdej niemal stronie, zostawia wrażenie posępnego, absurdałnego r o s t r o n i e n i a. Spójrzmy na rzecz choćby tylko od strony ilości, poza dobrem i złem. Jaką potworną górę manipulacji opisuje Micewski, a cała ta góra zrodziła wyszkłą, przydatną dziś ledwie jako maskotka jakiegoś Forum. Taka masa wysiłków, koncepcji, planów, organizowań, wbijania klinów w Kościół, marnowania ludzi /kilką nazwisk działaczy PAXU budziło ongiś duże nadzieje.../, taka masa talentu, cierpliwości, pieniędzy, szantażów, demuncjacji - i co z tego po tyloletniej, wyęczonej pracy zostało? Tylko zmęczenie pewnej ilości głów, skrzywienie pewnej ilości kręgosłupów, znaczny udział w zanieczyszczeniu "prawdy powietrza" i dwa sukcesy, niebłahę wcale, ale zrodzone na marginesie działalności PAXU: primo garść ludzi, którym Pax pomógł lub może nawet - jak Jasienicę /który zrzeszają coraz szerszej nie cierpiać PAXU/ - ich ocalił, secundo dobry dom wydawniczy, zbudowany wprawdzie w sytuacji monopolu, ale bądź co bądź zbudowany.

Dlaczego potężny motor PAXU kręcił się jednak przez tyle lat niemal à vide, plując wprawdzie spalinami, hałasując okropnie, ale nie napędzając prawie niczego, jeśli nie liczyć nieszczęśliwych zjazdów zastraszonego duchowieństwa? Znajduję w książce Micewskiego trzy cechy wodza PAXU, które niejednó wyjaśniają.

Po pierwsze Piasecki był politycznym soliterem. To znaczy, że jego koncepcją udziału we władzy być pasożytowanie na organizmie, który w danej chwili włada, z ukrytym zamiarem pożyczenia się tym organizmem, wyeksploatowania i w końcu opanowania go. Tak Piasecki chciał przeprowadzić "wewnętrzna infiltrację" obcoznanego /s. 16/: skończyło się to "bezprzykładną klęską" /s. 18/. Tak następnie myślał "o opanowaniu z wewnątrz ruchu oporu" /s. 21/. Przyswieszczała mu

"koncepcja działania z pozycji wewnętrznych istniejącej siły politycznej, mogącej objąć władzę, jaką zdawał się być wówczas obóz londyński i Armia Krajowa. Po raz drugi koncepcja Piaseckiego, nie bazując na realnych wpływach, okazała się fikcją" /s. 22/. Na koniec po wojnie "Piasecki, który chciał być rewolucjonistą na prawicy, z jej wewnętrznych pozycji, z wypadków wojennych wyoiagnał wnioski, że należy być rewolucjonistą na lewicy, z jej socjalistycznych pozycji wewnętrznych" /s.26/. Dlatego "przygotowywał swój zeszyt do akceptacji całej doktryny marksizmu /i stalinizmu, s. 40/, głosząc tylko, że socjalizm nie wypływa z materializmu filozoficznego" /s. 36/. I tak, popierając "każdą bieżącą linię partii /.../, zapatrzony w swoją wizję wieloświatopoglądowości /wizję dwuświatopoglądowego totalizmu, s. 39/, nierealną, bo komuniści nie zamierzali z nikim dzielić się władzą, Piasecki akceptował praktykę łamania podstawowych praw ludzkich i norm moralnych" /s. 37/. Ponieważ pasożytność na partii nie dawała jakości udziału we władzy, Piasecki zadowalał się po drodze organizacjami skromniejszymi. W różny sposób opanowywał tzw. księżę-patriotów, Caritas, "Tygodnik Powszechny" /zostawiając cudzą firmę na paxowskim piśmie/, chciał mieć nie tylko "swoich księży" ale i swoich biskupów /cz. I, rozdz. II/, bą - swój sobór /s. 117/. W rezultacie jednak "społecznie Pax pozostał izolowany, a koncesji na partię polityczną nie otrzymał" /s.66/. Co gorzej w roku 1967 Episkopat polski przestrzegł opinię katolicką "przed szkodliwą dla Kościoła i spokoju społecznego działalnością pęchła B.Piaseckiego jako szefa Stowarzyszenia Pax" /s.124/, a w następnym roku stwierdził, że Pax "wciąż według swoich możliwości hamuje w kraju postępy demokracji" /s. 139/. Znowu więc druzgocąca klęska, i polityczna, i moralna.

Dotykamy tu jednak drugiej cechy osobowości politycznej Piaseckiego. Nazwałbyśmy ten rys cynicznym utopizmem. "ONRowiec nie ma wątpliwości moralnych do przezyciężenia, ma tylko trudności techniczne do pokonania" /s. 17/, ucyzył Piasecki swych przedwojennych wielbicieli. I lansował na łamach "Falangi", o czym Micewski tylko napomyka, myśl o pobiciu przez Polskę po kolei Niemiec i Rosji, o wyprzedzeniu wszystkich Żydów i zaprowadzeniu w tak umocnionym państwie rządów jednej tylko organizacji, z charyzmatycznym przywódcą /sobą samym/ na czele.

W swej totalistycznej postawie Piasecki nigdy się nie zachwiał, dlatego też /jak słusznie zauważył kiedyś Jan Józef Lipski/ nie wyobrażał sobie istnienia i sensu politycznej opozycji, ani tym bardziej siebie w roli opozycjonisty. Widział zawsze tylko jeden

blok władzy i siebie wewnątrz tego bloku. Precz z "lüksusem nieodpowiedzialnej dyskusji" /jak pisał Piasecki w roku 1956, s. 85/, precz z politycznymi działaniami chrześcijan, jeśli nie on sam nimi kieruje: "Ruch społecznie postępowy stwierdza /czytamy w "Wytycznych" 1958/, że nie widzi żadnych korzyści ogólnonarodowych z istnienia w Polsce wielu grup politycznych katolików i będzie dążył do ich jedności na płaszczyźnie Wytycznych. Doświadczenie wykazało, że o ile działalność poszczególnych grup staje się konfliktowa w stosunku do Paxu, to jest ona jednocześnie dezorientującą sugestią bądź dla członków Episkopatu /.../ bądź dla aktywistów partyjnych..." /s. 102/. Niestety, doświadczenie wykazało coś wręcz przeciwnego: szkodliwość wszelkich monopoli, także w dziedzinie polityki /chodzi tylko o to, by pluralizm był rzeczywiście pluralizmem, a nie strojeniem się w cudze piórka lub szawetną "gestią"/.

Tak więc postawa Piaseckiego się nie zmieniała, zmieniały się tylko wizje. Jeszcze w czasie wojny pisze pismo "Nowa Polska" rozwijało takie fatamorgany "imperialnej myśli polskiej": "Ziemie biegnące między Odrą a Dnieprem, Bałtykiem a Dunajem i Morzem Czarnym są naturalnym terenem, przeznaczonym dla życia naroduwo Polaków. Stąd też, dopóki chodzi o te obszary, nie może być żadnej mowy o uprawianiu imperializmu. Stanowią one bowiem nasze minimum konieczne dla życia". Imperializm zaczyna się poza owym terytorium: "Musimy stanąć na czele zorganizowanego przez nas imperium wielkosłowiańskiego..." /s. 23/.

Rzecz zadziwiająca, że tego rodzaju majaki kaptowały Piaseckiemu zwolenników - ale XX wiek był nie tylko w Polsce świadkiem politycznych surrealizmów. Piasecki swoje obłądne wizje rozrzucał - jak sądzić - bardzo sugestywnie, każdemu rozmówcy wyznaczał w nich ważne miejsce, wprowadzał go w krąg najskrytszych inicjacji, wtajemniczał w przyszłą, niezwykłą jego rolę, jak cyganka odkrywał przed nim karty przeznaczeń. A inni, mniej ambitni, po prostu dostawali w Paxie korzystne warunki pracy i "wskutek niskiego poziomu łatwo godzili się na mały własny wpływ i na abstrakcyjną ideologię, która oszczędzając poważniejszego kłopotu z władzami, dawała spokój sumienia" /s. 73/.

Otóż i trzecia cecha politycznej osobowości Piaseckiego: abstrakcyjność. Logika wodza była dla jego wielbicieli nieodparta a polegała na tym, że przyjmować się dowolne, rzekomo czyste aksjomaty, schludne, choć nie odpowiadające żadnej rzeczywistości kla-

syfikacje i podziały, i na takich przesłankach budowało się cały system wniosków, nie sprawdzając ich empirycznie, ale ciesząc się, że wszystko jedno z drugiego wspaniale wynika. Instrumentalne posługiwanie się tym zestawem wniosków i zarazem niechęć do porównywania ich z faktami gruntownie zamazywały granicę między prawdą a zmyśleniem. Próbką tej dziwnej logiki mamy w całej publicystyce Piaseckiego, a także w omawianej książce, m.in. na s.28 lub 115. Niekiedy jest to logika wishful thinking, na przykład w takim zdaniu: <sup>W piśmie Piaseckiego</sup> "Nie do pomyślenia jest świadomy marksista przekonany o prawdziwości światopoglądu materialistycznego, który widząc, że ludzie wierzący ofiarnym wysiłkiem uczestniczą w budownictwie ogólnonarodowym, używałby siły aparatu administracyjnego do zwalczania przekonania religijnych..." /s. 68/.

Najpełniej, portret Piaseckiego rysuje Autor na s. 94-97. Wódcz Faxu mawia /Micewski pisak to jeszcze za jego życia/ "że filozofia jest jego zawiedzioną miłością i buduje na każdym etapie swych zmiennych dziejów system łączący filozofię i politykę. Prawdziwą jego miłością jest jednak tylko władza..." Może objęcie przez siebie władzy Piasecki utożsamiał z rozkwitem Rzeczypospolitej i Kościoła, salus Reipublicae, salus Ecclesiae? Na to pytanie zapewne nikt nie potrafi dać wyraźnej odpowiedzi. Jedno wiadać bez wątpienia: że wódcz Faxu parł do władzy nieugięcie, pracowicie i bezwzględnie.

Nie uzyskał jej. Władzy dusz także na szczęście nie uzyskał: "bardzo ciekawe, jak małe echo społeczne znajduje ideologię polityczną Faxu w stosunku do środków materialnych i olbrzymiego wysiłku organizacyjnego wkładanego w jej upowszechnienie" /s.113/.

Czy jest to dramat zawiedzionych ambicji w skali szekspirowskiej? Czy w perspektywach historycznej mitologii Piasecki urosnie do wymiarów Makbeta albo Ryszarda III?

Mnie się raczej nad dziełem Micewskiego nie Szekspir nasuwa na myśl, tylko Orwell. W jednej z jego książek Ministerstwo Prawdy trudzi się m.in. tym, że wciąż na nowo drukuje dawne roczniki gazet /zniszczony wpierw, autentyczne, stare egzemplarze/, aby wiadość w nich zawarte nie odbiegała przypadkiem od wymogów bieżącej polityki. Książka Micewskiego należy do tych działań, które nie dopuszczają do rozkwitu takich "ministerstw". Bezcelne to działania, bo odsuwają od naszych snów i naszej jawy orwellowskie koszmary.

Jacek Woźniakowski

## PAT

Ponad trzy lata minęły od wydarzeń z czerwca 1976 roku. Wydarzenia... Eufemizm, którym oficjalna nowo-mowa tak chętnie określa różnorakie, krwawe czasem wstrząsy znaczące dzieje naszego imperium, nasuwa się sam, kiedy się myśli o tym dziwanym, poronnym, amorficznym kryzysie.

Bo i jak nazwać tę wstydliwie groteskową perypetię, która wyrosła z niczego, skończyła się byle jak, nadziei żądnych nie zawiodła, bo ich przedtem nie rozbudziła, legendy się nie doczekała, a na dodatek niczego, przynajmniej na pozór, nie zmieniła?

Jeśli czerwiec mimo to okazał się istotną cezurą w naszych najnowszych dziejach, to dlatego, że był świętą godziną prawdy, że wydobyl na jaw pewne ważne elementy naszej sytuacji społeczno-politycznej, dotąd ukryte za fasadą względnie sprawnie działającego państwa socjalistycznego, a z kolei uświadomienie sobie, bardziej czy mniej intuicyjne, tych elementów przez społeczeństwo, stało się samo w sobie nowym faktem społecznym i politycznym, wpływającym o klimacie następnych kilku lat.

o e e

Zanim więc spróbujemy scharakteryzować obecny stan rzeczy i wyciągnąć z niego wnioski, przypomnijmy pokrótce, co się właściwie stało w czerwcu 1976. Najpierw mieliśmy stale pogarszającą się sytuację zaopatrzeniową i długie, znaczone różnymi sygnałami i kontresygnałami przymierzanie się władz do podwyżki cen, która musiała zostać odebrana jako zdezawuowanie początkowych sukcesów ekipy Gierka; potem był etap politycznego zabezpieczenia decyzji za pomocą kampanii prasowej, zamkniętych zebrań partyjnych oraz - rzecz niesprecedensowa przy posunięciu należącem do wyłącznej kompetencji rządu - uchwały /jak zwykle jednomyślniej/ najwyższej instancji państwowej, Sejm Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej; wreszcie nastąpiło ogłoszenie decyzji, przy wtórze uspokajających /chcąc, trzeba przyznać, mało przekonujących/ frazesów o naradach, konsultacjach itp., mających poprzedzić jej praktyczną realizację i po tym wszystkim - żywiołowo, niszczące, nieartykułowane, masowe "nie" społeczeństwa, wyrażone w strajkach i manifestacjach ulicznych; i na koniec - wstydliwie, chybkiem, bocznym wyjściem wycofanie się władz.



Tak wstydlive, że premier w wystąpieniu odwołującym podwyżkę nie wspominał nawet o demonstracjach, które to odwołanie wymusiły. Że Wysoki Sejm nie ustosunkował się nawet do swój jednomyślniej uchwały sprzed 24 godzin. Że premier powołał się na "liczne i ciekawe, wymagające zbadania propozycje i inicjatywy", jakie nadeszły w ciągu 12 godzin, nie zważając na to, że kompromituje w ten sposób sztaby ekspertów, komitety, komisje, partię, rząd, Sejm, a więc wszystkie instancje, które rzekomo starannie rozpatrzyły przedtem wszelkie implikacje decyzji, a przecież - jak z tego musiało wynikać - nie wpadły na to, na co wpadła od razu niewtajemniczona w skomplikowane mechanizmy gospodarcze i nie dysponująca pełną informacją ludność /nawiasem - jakoś dotąd nie wiadomo co to były za propozycje i inicjatywy, co się z nimi stało i jak wykorzystano niezwykłe talanta ich autorów/. Że wreszcie - fakt bezprecedensowy - władze nie zdobyły się na ogłoszenie ż a d n e g o, choćby najbardziej zakłamanego komunikatu o wypadkach, a u s t n e zawiadomienia o nich społeczeństwa powierzyły osobistości nie mającej statusu oficjalnego - przezasowi! Maciejowi Szczepańskiemu, którego wystąpienie telewizyjne nie zostało potem nawet opublikowane! Ktoś, kto nie ogląda telewizji /są jeszcze tacy/ mógł się dowiedzieć, że coś /nie bardzo wiadomo co/ zdarzyło się w Radomiu i Ursusie dopiero w parę dni później, że sprawozdań z wieców potępiających "wiochrzycieli". O fali strajków, która przetoczyła się przez cały kraj, nie wspomniano w ogóle. Ten dziecinny po prostu wybieg, ten tak dobitny przejaw myślenia magicznego obowiązującego w naszym życiu politycznym /nienazwane, nienapisane - nie istnieje/, był uderzającym świadectwem pomieszczenia i begranności władz.

Okazało się, że Polska znalazła się w stanie politycznego i społecznego pata. Władza nie jest w stanie przełamać decyzji, którą uważa za konieczną, ale i społeczeństwo nie jest w stanie wyartykułować, ani wymusić niczego pozytywnego, może co najwyżej stanąć dęba, a potem pokuszenie wrócić do zaprzęgu.

Opinia publiczna odebrała wydarzenia dwojako. Dominowało doraźne zadowolenie z utrzymania dotychczasowych cen, uznanie dla skuteczności robotniczego oporu, wreszcie - nieco sztubacka satysfakcja z kompromitacji zadufanych władców. Zarazem jednak, w oczach wielu, sytuacja wyglądała niepokojąco. Odnosiło się bowiem wrażenie, że nie ma już państwa, które - lubiane czy nie - jest przecież narodowi w dzisiejszym świecie niezbędne. Że Polska, jak w czasach saskich, stała się krajem nie rządczym i nie do rządzenia. Że nie sposób już będzie podjąć żadnej decyzji, ani pozytywnej, ani negatywnej, a życie spo-

keczne może już odąd polegać tylko na niustającej konfrontacji wlnuntarystycznych pomysłów i nieopanowanych odruchów, nie regulowanej żadnymi mechanizmami politycznymi. Że pękła sprężyna tworząca ze stada ludzkiego społeczeństwo, i to pękła w chwili, gdy - choćby ze względu na sytuację gospodarczą - jest potrzebniejsza niż kiedykolwiek. Niektórzy wrócili w związku z tym jakiś ogólny krach i straszliwą katastrofę jeszcze przed końcem zimy.

o o o

Minęły trzy lata. Jaki jest obecny stan spraw publicznych w Polsce? Z pozoru sądząc - nic się nie zmieniło, Krach nie nastąpił. Utrzymuje się natomiast ujawniony w czerwcu stan patowy.

Władza istnieje, ale uwikłana we własne sprzeczności i własną bezradność, uzależniona politycznie i militarnie od Wschodu, gospodarczo od Zachodu, rozdzielana starciami różnorodnych l o b b i e s, bojąca się komukolwiek narazić, bo nie wie, na jakim kamieniu może się potknąć, zajmuje się głównie demonstrowaniem własnej obecności i ubezpieczaniem swych pozycji, a w działalności praktycznej stosuje filozofię: "Nic nie robić. Po prostu - nic nie robić!"

Spółeczeństwo - zatoniżowane, nieorganizowane, skabo samo siebie znające - ani tej władzy nie jest w stanie obalić, ani wydrzeć jej jakichś konkretnych ustępstw, bo nie ma kanałów usgdniania i ekspresji żądań, a gdyby nawet nimi dysponowało, to wobec paraliżu władzy nie miałoby do kogo się z nimi zwrócić. W lukach systemu pojawiły się wprawdzie zarodki opozycji politycznej, ale dysproporcja aź między nią a władzą, nawet oszabioną, jest zbyt wielka, by można było w tym widzieć jakąś realną i aktualną alternatywę.

Ogólną bezradność powiększa fakt, że pojęcia dotąd używane do opisu naszej rzeczywistości przestały do niej przylegać. Trudno teraz nazywać PRL państwem, w przyjętym dotąd u nas sensie, socjalistycznym czy totalitaryzm. Totalitarne pozostały wprawdzie mechanizmy socjotechniczne /jedna partia, elita władzy uzupełniająca się na zasadzie kooptacji, monopol działalności i ekspresji publicznej/, ale jednocześnie wielkie i coraz większe obszary życia społecznego wymykają się kontroli centrum, które niemal bezczynnie przygląda się naruszaniu swych monopolii. Co więcej - sanikły pewne istotne elementy, stanowiące dotąd kłodzącą cechę rewolucyjnego systemu totalitarnego, a przede wszystkim - świadomość historycznego celu.

Niepostrzeżenie przestaliśmy mianowicie, jako naród, być obiektem, na którym dokonuje się próby realizacji utopii społecznej. Władza jakby machnęła ręką na swe ideologiczne hasła i nawet nie próbuje do

nich przekonywać; symbolem i miarą jej horyzontów ideowych jest propagandowa W u n d e r w a f f e systemu - radiowa audycja "Jedynka", w której przy wtórze najmodniejszych zachodnich przebojów recytuje się dramatycznym głosem wypisane z zachodniej prasy informacje o niedostatkach zachodniego społeczeństwa konsumpcyjnego, składają niezbyt odmienne od tego, którego rychłe nadejście obiecuje nam scelenie każde kolejne plenium KC. Ani z deklaracji, ani z poczynań władzy nie można bowiem wydedukować do jakiego właściwie typu społeczeństwa zmierza. Socjalizm w wydaniu nadwiślańskim to po prostu "to co jest", określony typ organizacji politycznej, w gruncie rzeczy taki dobry jak każdy inny, którego należy wprowadzić wszelkimi siłami bronić, ale nie bardzo wiadomo dlaczego, może dlatego, że innego nie ma i być nie może, bo ten jest w jakiś-tam sposób, którego lepiej nie precyzować, związany z polską racją stanu.

Takie od-ideologizowanie systemu z pewnością zmniejszy napięcie społeczne, ale jednocześnie czyni bezprzedmiotowymi stosowane w wielu dotychczasowych przesileniach strategie opozycyjne, polegające na "chwytaniu władzy za słowo", czyli na przynierzaniu legitymizacyjnej frazeologii ideologicznej do realiów kraju. Język rewindykacji staje się nieprzekładalny na obowiązujący język polityczny, a postulaty społeczne mogą się wyrażać tylko na poziomie haseł najogólniejszych, maksymalistycznych, a więc już przez to nierealistycznych i nieoperatywnych w grze politycznej, bądź na najprymitywniejszym poziomie nieskoordynowanych żądań, głównie materialnych, nie dających się ułożyć w żaden spójny system.

Zabrakło też innego elementu charakterystycznego dla rewolucyjnych rządów totalitarnych. Obecna struktura władzy obywa się bez zdyscyplinowanej kadry "wtajemniczonych", depozytariuszy doktrynalnego przesłania i rewolucyjnej prawowitości, rozmaitego rodzaju szczegółach mechanizmu społecznego i upoważnionych z racji tego właśnie wtajemniczenia do podejmowania doraźnych, samowolnych decyzji prowadzących razem do nadrzędnego, znanego owej kadrcze, rewolucyjnego celu. Przeszedłszy z rewolucyjnego stylu rządzenia na urzędniczy, władza musiałaby nie dopuścić do chaosu, sama skrzępować sobie w pewnej mierze ręce pętami prawa, twardego wprawdzie i tyrańskiego, ale w ogólnych zarysach przestrzeganego. Wyrazem tej tendencji jest dość obfita ostatnio działalność kodyfikacyjna władz; warto też zwrócić uwagę, że jak udowodnił niedawno Ludwik Dembiński /"Prawo i władza", w: "Aneks", nr. 20/1979/, wszelkie występujące u nas ograniczenia wolności obywatelskich są całkowicie zgodne jed-

li nie z bitarą, to przynajmniej z duchem obowiązującej obecnie konstytucji.

Many więc rodzaje tyranii zachowawczej i praworządnej, legitymującej się nie wymogami budowy nowego porządku, lecz prawnymi normami porządku istniejącego. Wytrąca to z rąk ewentualnej wewnątrzpartyjnej czy pozapartyjnej opozycji argumenty moralistyczne /"nawrót do praworządności", "przywrócenie norm leninowskich"/.

Oba te czynniki - od-ideologizowanie i u-praworządzenie władzy - zmuszają ewentualnych oponentów do występowania na gruncie paradygmatu politycznym, najbardziej niewygodnym w warunkach utrzymywania się totalitarnych mechanizmów socjotechnicznych.

o o o

Polityczny paraliż odczuwany obecnie sytuację rodni stan społecznej niewłaściwości politycznej i moralnej. Kraj jest niezdolny podjąć jakkolwiek decyzję, nie tylko zaplanować, ale po prostu wybrnąć sobie własną przyszłość. Wytwarza się klimat jakiejś wisielczej beztroski: skoro nic nie wiadomo i nic nie wolno, to wszystko można. Słowa, czynny, programy, przedsięwzięcia nie mają żadnych konsekwencji, bo nie zostaną nigdy rozliczone, a jeśli nawet - to welle kryteriów, których nieszczęśliwie teraz nawet odgadnąć.

Jednocześnie sytuacja taka wytwarza zwłaszcza w obliczu coraz gwałtowniejszej katastrofy gospodarczej bardzo mocne ciśnienia psychiczne. Co dalej? Jak się to wszystko skończy? Do czego to doprowadzi? - takie pytania, bez odpowiedzi, są refrenem rozmów, jakie stale prowadzi się teraz w Polsce. Zarówno w społeczeństwie, jak w strukturze władzy /zapewne w jej centrum, z pewnością - na jej peryferyjach/ narasta poczucie, że dalej tak być nie może.

Lenin - znawca zagażenia - mówił, że sytuacja rewolucyjna powstaje wtedy, gdy zarówno rządzący jak rządzeni wiedzą, że dalej tak być nie może. Taka właśnie sytuacja panuje dziś w Polsce. Pociągające jest tylko to, że nie mamy Lenina. Wszystkie działające u nas siły polityczne chcą za wszelką cenę uniknąć rewolucyjnego wybuchu, który w naszych warunkach oznaczałby wybór osamotnienia. Jest to szlachetne i pewności bardzo wrażliwe, ale szukające jedną z możliwych dróg - brutalną i widoczną w przepaść, ale przeciw drogę - wydobycia się z sytuacji patowej.

Czy jednak wydotkanie się z takiej sytuacji, uruchomienie jakiegokolwiek dynamicznego i ukierunkowanego procesu politycznego jest rzeczywiście rzeczą tak konieczną i pożądaną? Jeśli porównamy rok 1976 i 1979, to dojdziemy do wniosku, że mimo utrzymywania się przez cały

ten czas politycznego patu, sporo się w Polsce zmieniło. Społeczeństwo to w końcu nie komplet szachów, życie nie zamiera w nim nigdy i nawet jeśli zablokowana została możliwość zasadniczych przesilen, coś się przecież rusza. Bardziej czy mniej samorzutnie, tworzą się pewne uzusy, mechanizmy, zaszczości, stany faktyczne, składające się razem na nową jakość.

o o o

Wyliczmy więc, p e ł e - m ś l e, bez trzaski o hierarchię ważności spraw, co właściwie stało się w Polsce przez te trzy lata, kiedy "nic się nie działo."

W sferze politycznej. Nastąpiły korzystne zmiany w stosunkach między kościółem a państwem, a szerzej - i co ważniejsze - zmienił się na lepsze status obywatelski ludzi, otwarcie rewindykujących swą przynależność do społeczności wierzących. Elekcja Jana Pawła II /"dar Boski", wedle określenia Ścżenicyna/, a potem jego wizyta w Polsce i jej międzynarodowy rozgłos, nadają tym zmianom znamiona trwałości, kępując możliwości kontrofensywy ze strony władz. Ukształtowały się załączki opozycji politycznej, dzięki czemu rozproszone poczucie niezadowolonia i niepokodzenia, towarzyszące dziejom Polski Ludowej od jej narodzin, znalazło swych rzeczników i pewne nieoficjalne, lecz tolerowane czy nawet paralegalne kanały ekspresji. Kilka-naście /a może już kilkadziesiąt/ niezależnych periodyków wciąga coraz więcej ludzi w orbitę aktywnego życia i myślenia politycznego, stanowi forum konfrontacji i uzgodnienia postulatów. Władze wycofały się /przynajmniej na razie/ z prób drastycznych i na masową skalę podejmowanych represji politycznych, ograniczając się do nekającej wojny podjazdowej, a poprowadzoną odważnie i energicznie przez KOR batalię amnestyjną w czerwcu 1976 wręcz przegrały.

Pojawiły się zaczątki niezależnego ruchu chłpskiego i autentycznych związków zawodowych, mające co prawda, zwłaszcza w tym drugim wypadku, głównie walor precedensu, ale przecież przekamujące pewną barierę psychologiczną. Niezwykle ożywiło się życie polityczne - i w ogóle zainteresowanie polityką - wśród młodzieży; jest to fakt bardzo istotny, bo oznacza fiasco prowadzonej przynajmniej od roku 1968 konsekwentnej polityki usypiania młodego pokolenia, wyłączenia z obiegu jego kapitału intelektualnego i instynktu moralnego. W samej strukturze władzy pojawił się nurt /może nurty/, zmierzający do jakichś reform w obrębie systemu: zjawisko to wprawdzie komplikuje w pewnej mierze sytuację opozycji /już podnoszą się głosy: Uwaga! Nie szkodzić! Nie utrudniać! Nie prowokować!/, ale w ogólnym rachun-

ku uplastycznia mapę polityczną kraju, otwiera nowe kanały komunikacji społecznej, przepływu informacji i koncepcji. Władze wyciszyły swe triumfalistyczne tony i coraz częściej muszą przyznawać się publicznie do niepowodzeń, zwłaszcza gospodarczych, co sypcha je do defensywy.

W sferze gospodarczej. Poważnie zahamowano zapędy do kolektywizacji rolnictwa. Tak zwany "manewr gospodarzy", środek bardzo kosztowny, prymitywny i brutalny, świadczący o niepowodzeniu całej dotychczasowej polityki ekonomicznej, zastopował jednak niehamowane, coraz szybsze toczenie się gospodarki w przepaść. Rozwinęła się, trudna do oszacowania ilościowego, ale na oko pokaźna sfera prywatnej działalności gospodarczej, dostarczająca tanich /i nie deficytowych/ miejsc pracy, tworząca kadrę ludzi nawykłych do inicjatywy i kompromitująca swą sprawnością i wysokimi zarobkami pracowników nieruchomością machiną przemysłu państwowego /jak doniosła ostatnio "Polityka" w sprawozdaniu z posiedzenia Rady Ministrów, plan inwestycyjny na rok 1979 w gospodarce napółekonomicznej nie będzie wykonany, mimo przekroczenia o 34 mld zł planu zakupów, natomiast inwestycje w gospodarce nieuspokojonej będą o 11 mld wyższe od przewidywanych/.

Władze wyczołwały się z planu centralizacji państwowego przemysłu drobnego. Utrwaliła się praktyka otwartych kont dolarowych, a rynek walutowy stał się półlegalny: anarchizuje to wprawdzie do końca stosunki pieniężne, ale z drugiej strony stwarza obywatelom możliwość względnie bezpiecznej tezauryzacji, dostarcza jakiegoś orientacyjnego miernika wartości i stanowi stały element nacisku w kierunku odbudowy złotego jako pieniądza. Ukradkiem otwarte, zwłaszcza przed młodzieżą studencką, drzwi do krótkoterminowej emigracji zarobkowej /"sakasy"/, co jest źródłem dewiz, a także tworzy pewną warstwę ludzi zaznajomionych z europejską organizacją i wydajnością pracy i normalnymi mechanizmami gospodarczymi.

W sferze kulturalnej. Imponując rozwinął się niecenzurowany ruch literacki i szerzej - niezależne manifestacje kulturalne. Działka TKK i inne niezależne ośrodki edukacyjne, co jest nie tylko wartością samą w sobie, ale i zmusza, rykoszetem, władze, do prób odpowiedzi na zapotrzebowanie młodzieży na wiedzę. Wyrwano, jak się zdaje, sporo jadwitych zębów groźnie zapowiadającej się reformie szkolnictwa, a w każdym razie jej braki przestały być tabu także na łamach prasy oficjalnej. Sprawa tragicznego braku papieru na książki, oraz struktury produkcji wydawniczej również przedarła się przez próg cenzury.

Weszło na ekrany kilka ważnych filmów, z "Człowiekiem z marmuru" na czele. Nie udeję się przesłaność 60 rocznicy odzyskania Niepodległości, tak jak przesłano 50 rocznicę. Pojawiły się, chociaż w minimalnych nakładach, monografie postaci przez lata wykreślanych z dziejów Polski. Opublikowanie w prasie niezależnej i na Zachodzie "Księgi zapisów CUKP" sprawiło, że coraz trudniej przesłano problem cenzury. Ostatni zjazd ZLP był dowodem woli walki środowiska literackiego o prawo do twórczości.

Wyliczenie to jest oczywiście, świadomia jednostronne, kładzie bodźcem nacisk na zjawiska pozytywne lub przynajmniej otwierające jakieś pozytywne perspektywy. Lista zjawisk negatywnych byłaby znacznie dłuższa. Nie sposób jednak zaprzeczyć, że w ciągu ostatnich lat pojawił się tonus ciała społecznego, krew żywej kruży w żyłach narodu.

Co z tego wynika? By odpowiedzieć na to pytanie, trzeba pamiętać, że polskim życiem politycznym rządzą dwa imperatywy. Pierwszy - to konieczność uniknięcia generalnej katastrofy, jaką zakończyłyby się nieuchronnie gwałtowny wybuch niezadowolania, rewolucyjne szarże między społeczeństwem a władzą. Drugi, to równie absolutna konieczność stworzenia jakichś ram, w których społeczeństwo mogłoby się względnie normalnie rozwijać, nie będąc skazane na bierne przyglądanie się stopniowemu wyczerpywaniu się jego sił materialnych, intelektualnych i moralnych, na bezbronność wobec wszystkich wyzwań, jakie niesie ze sobą współczesność.

Do wybuchu i katastrofy doszłoby z pewnością, gdyby władze obrały kurs mocnej ręki i próbowały nawrócić do klasycznego modelu rewolucyjnego państwa totalitarnego.

Do tego samego doszłoby, gdyby znalazły się jakieś zorganizowane i dysponujące masowym poparciem siły opozycyjne, zdecydowane na jawną konfrontację i zdolne do niej doprowadzić.

Do tego samego doszłoby zapewne - to hipoteza mniej oczywista - gdyby w warunkach sablokowania kanałów informacji społecznej, zawieszonych nadziei na pomysły <sup>reformy</sup> przyspieszenia gospodarczego, utraty przez strukturę władzy nawyków działania politycznego, wzajemnej, bardzo daleko posuniętej nieufności poszczególnych grup uczestniczących w grze politycznej, ogólnej atomizacji społeczeństwa, podjęta została jakaś energiczna i spójna akcja reformowania systemu. Już Tocqueville stwierdził, że najniebezpieczniejszym momentem dla złego rządu jest ten, kiedy zaczyna się poprawiać, a od jego czasów prawda ta potwierdziła się wielokrotnie /ostatnio w Iranie/. We wspom-

nianych warunkach taki proces reformatorski łatwiej mógłby wynikać z rąk jego promotorów i doprowadzić do sytuacji czechosłowackiej, z zewnętrznym arbitrem w roli głównej.

Sytuacja patowa pozwala więc spełnić jeden z imperatywów naszej polityki - uniknąć gwałtownego wybuchu, z jego nieobliczalnymi konsekwencjami. Jest to jednak osiągnięcie czysto negatywne. Co z pozytywnymi, z koniecznością stworzenia jakichś racjonalnych ram dla życia społecznego?

Nasze myślenie o politycznej przyszłości Polski jest od lat podporządkowane alternatywie dwóch zakniętych, zamkniętych od siebie odgraniczonych i nieprzenikalnych systemów. Pierwszym z tych systemów jest istniejący socjalizm proveniencji komunistycznej, w którejś ze swych licznych już obecnie odmian, uszeregowany ewentualnie jakimś mechanizmem łagodzącym. System taki nie może jednak liczyć w Polsce na szersze poparcie społeczne. Niezależnie bowiem od tego w jakim kierunku by ewoluował, nosiłby na sobie zawsze piętno pierwotnego grzechu nierodzimości i zawsze wymagałby potężnego aparatu przemocy, wymierzającego przeciw tej ogromnej części społeczeństwa, która nigdy go nie zaakceptowała. W dodatku możliwość jego pozytywnej ewolucji hamują w Polsce doświadczenia Października 1956 i Grudnia 1970; rzecz w tym, że koniecznym warunkiem takiego systemu, nie kwestionowanym nawet przez zwolenników jego najbardziej liberalnych wariantów, jest utrzymanie kierowniczej roli partii; dlatego też żaden z tych wariantów nie może przewidywać

mechanizmów pozwalających społeczeństwu wyegzekwować od ekipy rządzącej dotrzymanie obietnic złożonych w momencie obejmowania władzy lub zmienić jedną ekipę na drugą; w tej sytuacji każda inicjatywa reformatorska podejmowana w ramach systemu wymaga uzyskania przez nową ekipę od społeczeństwa czeku i n b l a n o c; wspomniane doświadczenia sprawiają, że możliwość uzyskania takiego czeku od obecnego społeczeństwa polskiego, którego zaufanie zostało tylekroć nadużyte, jest wysoce problematyczna. W razie przesilenia, społeczeństwo zażądałoby z pewnością konkretnych, instytucjonalnych gwarancji wpływu na poczynania władzy, podważając tym samym samą esencję systemu.

Drugim oszkiem owej alternatywy byłaby któraś z odmian demokratycznego systemu typu zachodniego. Wariant taki błąka się stale po zakamarkach naszego myślenia politycznego, na zasadzie niejasnego i wstydliwego marzenia, jakiejś nieosiągalnej ojczyzny z wyboru. Wiadomo przecież, że po to, by stał się realny, musiałoby się o o s, nie bardzo



wiedomo co, zmienić w sytuacji geopolitycznej Polski. Że wymagałoby to złamania - jaką siłą? jakim kosztem społecznym? - maszyny przymusu, która dowiodła swej trwałości i siły oporu nawet tam, gdzie nie zszedł groźba interwencji z zewnątrz /Chiny, Kuba, Jugosławia, Albania/. Że wreszcie raptowne przejście od jednego systemu do drugiego uruchomiłoby niesłychanie skomplikowane procesy społeczne, trudne lub niemal niemożliwe do opanowania przez świeżą i kruchą władzę demokratyczną.

W tej sytuacji można powiedzieć, że drugi człon wspomnianej alternatywy jest bytem urojonym, że mamy do czynienia, by tak rzec, z alternatywą jednoczłonową, czyli żadną.

To co pisaliśmy wyżej o doświadczeniach kilkuletniego okresu sytuacji patowej, ukazuje nam może inną perspektywę, wykraczającą poza tę urojoną alternatywę. Jest to perspektywa systemu hybrydycznego i otwartego. Być może na naszych oczach i z naszym, bardziej czy mniej świadomym udziałem, kształtuje się - zwolna, omackiem, empirycznie, żywiołowo, metodą prób i błędów, tak jak kształtowały się w s z y s t k i e istniejące systemy organizacji społecznej - system oparty na trwałym współistnieniu struktury oficjalnej i nieoficjalnej; na stałej, lecz nie spetryfikowanej symbiozie dwóch rządzących się innymi prawami, lecz wzajem na siebie oddziaływujących obszarów społecznych. Byłby to system zmiennej równowagi, w którym w lukach struktury totalitarnej mogłoby się rozwijać w dużej mierze niezależne od niej życie społeczne, kulturalne, gospodarcze. System, którego oba człony musiałyby znaleźć język i mechanizmy pozwalające im delimitować swoje strefy wpływów. System, w którym zasada kompromisu, tak długo rządząca przedrozbiorową Polską i odgrywająca - jak to niedawno przypominano - tak doniołą rolę w życiu II Rzeczypospolitej, a także tak głęboko odpowiadająca polskiemu, z gruntu niedoktrynarycznemu i niefanatycznemu temperamentowi narodowemu, odnalazłaby należne jej - pierwsze miejsce - w kodeksie działań publicznych.

Perspektywa takiego dwuczłonowego systemu może się wydawać mglista, mało prawdopodobna czy zgoła absurdalna, bo system taki, którego bliższych konturów z natury rzeczy nie sposób teraz opisać; nie przypomina niczego obecnie istniejącego, nie kojarzy się z żadną "normą". Ale nie ma "normalnego" wyjścia z nienormalnej sytuacji. Sytuacja kraju pozbawionego jasnej alternatywy politycznej, przy dojmującym poczuciu bankructwa dotychczasowej rzeczywistości, jest właśnie sytuacją głęboko nienormalną. Trzeba umieć spojrzeć na nią bez złudzeń i odważyć się szukać rozwiązań na miarę okoliczności w jakich żyjemy. Wszystko to, co stało się i co się nie stało w Polsce w okresie osobliwego politycznego patu, powinno nam dać do myślenia.



Znany krytyk Artur Sandauer zamieścił w "Polityce" /nr 18-20,79/ esej "Ewolucja poezji polskiej 1945-1968". Autorzy "Zygzaku" nie pretendują do takiego znawstwa poezji, aby podjąć się zreferowania poszczegól-  
 nych ocen autora "Śmierci liberała" i zajęcia wobec nich stanowiska. Ale uderzył nas końcowy fragment eseju, w ten sposób bowiem dawno nikt u nas nie pisał. Cytujemy:

"Bryll wyznaje pragmatyzm "ludzi z awansu", którzy - nawet gdy "są przeciwni" - nie powinna okazać, by ucapić, co się da; Herbert - za zbyt może widoczną domieszką cierpiętnictwa i rzymskiego stoicyzmu - reprezentuje heroiczną bądź co bądź warstwę inteligencji polskiej - tę samą, która robiła tragiczne powstania.

Tragizmu nie jest, nawiasem powiedziawszy, wyżyby i pragmatyzm Brylla. Oto pierwszy historyk Polski, Gall Anonim - przerzucony między lechickie bagna z Zachodu - uczy się nowych warunków. Żadne z pojęć, do jakich przywykł, nie ma tutaj obiegu. Prawda zostaje zastąpiona taktyką, moralność - obroną "ryby, którą jemy tak smacznie". A jednak wiersz kończy się westchnieniem tragicznym:

Anonim zrobił swoje, Anonim

odchodzi,

Nie wiedząc nawet, czy ryby obronił.

Jedyna to koncepcja pisarstwa, na jaką zdobył się pracy w 1968 roku do władzy obóz narodowy.

Na jakiej jednak zasadzie - spyta kto - uznaliśmy rok ten za przełomowy? Zapewne następowała wówczas eksplozja za eksplozją, wybuchały protuberancje na słońcu i manifestacje w miastach uniwersyteckich. Przez świat cały przetoczyła się ich fala - o przyczynach niekiedy tak bła-  
 hych, że chodziło, rzekłbyś, tylko o wyładowanie energii, które nie mogły znaleźć ujścia w wojence.

Nie dostrzegamy jednak - powie kto - przynajmniej jeśli o Polskę chodzi, dzieł przełomowych, które by się narodziły w tym - lub były wynikiem doświadczeń tego - roku; niczego, co by dało się porównać z konsekwencjami na przykład powstania listopadowego. A jednak - coś zasadniczego uległo zmianie: zmienił się ton.

Jeżeli mianowicie literaturę odwilży należy uznać w sumie za niewy-

pał, to głównie z powodu połowicznego charakteru przyznanych swobód. Przyznano je formie, nie przyznano treści. Otóż jedne bez drugich obyć się mogą. Wyłączenie dopuszczenie eksperymentów formalnych musiało się przechranić w zachętę do słownych igraszek, które też szeroko się rozpanoszyły.

Nieprzyznanie swobody myśli zmusiło ją do krycia się po zakamarkach. Odbiło się to głównie na krytyce, której właściwą dziedziczą jest myśl. Nie potrafiła ona wytyczyć ani aktualnej linii frontu, ani kierunku przyszłego rozwoju. A jednak bez, krytycznej refleksji zjawiska artystyczne pozostają pozbawione sensu. W szkicu niniejszym autor użył zaniechania te z opóźnieniem nadrobić.

Ale i dla literatury pięknej przymus niejasności okazał się zgubny. Spowodował skarlenie prozy, którą też nie bez racji ochrzczono mianem "małego realizmu". Najmniej stosunkowo ucierpiała - lepiej snosząca niejasność - poezja. Ale i ona przy swych rzekomych śmiałościach ma w sobie coś - jakby tu rzec? - letniego i niedopowiedzianego: ostrza się przytępia, furtki zostawia ze sobą otwarte. Trafnie charakteryzuje okres ten Urszula Kozłock:

Wyleć z gniazda ptaku, ale nie biały:  
białawy, .  
leć pod chmury ale nie chyć:  
chyżawc.  
Gdy napotkasz Ikarą pod słońcem  
złotawym  
to mu się nie kłaniaj. Nie kłaniaj.  
Bądź śmiaławy aniołku tylko  
śmiaławy  
dam ci wstążkę i chleb zaskawy  
- a teraz nie zwracaj nam głowy.

Otóż w roku 1968 nastąpiło uwyraźnienie postaw. Fikcja jednowyślności - ta sama, która pisarzom uniemożliwiła organizowanie grup, krytykom ich określanie - fikcja ta się skończyła. Nie oficjalnie! Tu nic się nie zmieniło: po staremu zdejmuje się w tekstach nie to, co grozi państwu, ale co godzi w interesy koteryj. Bo też po staremu zamiast grup mamy kliki. Po staremu...

A jednak w praktyce coś zasadniczego się przełamało. Przeszto się

lękać; przestano się kryć z własną myślą po zakamarkach. Odrodziła się poezja polityczna. Już w 1968 r. - by jeden tylko znany mi z bliska przykład przytoczyć - rozlega się głos starych lewicowców, przerażonych rzeczywistością, nad jaką wypadło powieść ich sztandarom:

Żadna cisza już tego nie wyznać,  
 żaden okrzyk tego nie zetrze.  
 Noże w telewizjach!  
 Wymioty na twarzach!  
 Pod najciemniejszym kątem piwnicy  
 ukryto powietrze

przed rewizją.

W wydaniu dopiero w 1974 r., lecz o wiele wcześniej powstałym zbiorze Herberta "Pan Cogito" chwytany ten proces na gorąco: styl alegoryczny przerasta tu w dosłowny. Wiersz "Pan Cogito o postawie wyprostowanej" ma fabułę niejednołitą: to mówi o Katonie Młodszym, który po klęsce Republiki szuka się na śmierć, to znów o samym bohaterze tytułowym, który "choćby stanął na wysokości sytuacji" i "spojrzęć losowi prosto w oczy".

Na naszych oczach dokonuje się zrzucenie maszek."

Fragmenc ten wywołał zrozumiałą sensację. Jedni widzieli w nim sygnał zakończenia Alienacji, drudzy świt epoki, zrywającej z tajemnością Wielkiego Poprawiania - wszakże Sandauer mówi tu wprost, że coś "zdejmuje się w tekstach" - tego dotąd nikt w prasie nie powiedział. Koniec z "fikcją jedyności"! A więc zaczyna się epoka prawdy, epoka słów nie preparowanych, odpowiadających faktom! - zakrzyknęli entuzjaści. Natomiast małoduszni /Boże im odpuść! / jęli się zastanawiać, ile to odpalił Sandauer cenzorowi za puszczanie tego fragmentu i jak później ów cenzor wyleciał. Ludzie małej wiary zaiste.

Esaj Sandauera wywołał ogromną polemikę. Kilkunastu autorów było wedle jak w skórzany bęben, inni chwaliłi pod niebiosy, nikt jednak nie podjął metody interpretacyjnej, reprezentowanej przez przytoczony fragment. Acha, nie mają pozwolenia z cenzury - wdychali ludzie, znużeni detalizną dyskusją o szczegółach poetyckich ocen pana Artura. Jeden Zygmunt Kałużński w artykule "Ja kocham Artura Sandauera!" /"Polityka"/ zbliżył się do sedna sprawy ale od drugiej strony, bagatelizując totalizm i jego cenzorskie metody, bo mianowicie:

"Władze mogą sformułować swoje życzenia tylko bardzo ogólnikowo, szkicowo, ramowo, i nawet przy najbardziej natrączywym ich nacisku wygląd dzieła sztuki zależy od tego, co sobie kombinują artyści, jakie mają tradycje, jaki mają warsztat, i także, jaki balast psychologiczny, z podświadonym kącnie, dźwigają ze sobą. Inaczej mówiąc: decyduje sytuacja twórcy, oraz co on chce, i co może zrobić z sugestiami pochodzącymi od władzy i także rezultat zależy od tego, co mu - bywa - bezwiednie wychodzi, lub nie wychodzi.

Przypominam to po to, by udowodnić, że żadna kontrola państwowa nie może zdecydować o samym w sobie obliczu sztuki, a więc też nie dostarcza do niej klucza krytycznego. Toteż głównym problemem dogmatyzmu było nie to co drukowano, ale to, czego nie drukowano. Istnia zaraza owego okresu, to nie są zalecenia, lecz ich wykonanie przez partaczki, grafo-manów, małodusznych tchórzki, dezerterek oraz zdecydowanych cyników. Chcę w sumie powiedzieć, że nie da się odtworzyć obrazu sztuki ostatnich lat, jeżeli przyjmemy sugestie władz jako punkt wyjścia. Bowiem istotne są nie same dyrektywy, lecz sposób, w jaki są one rozumiane, zastosowane i wykonane..."

Niezbyt nam to zdanie Kałużyńskiego przypadło do przekonania: toć jeśli pies hodowany pod szafą /czytaj: pisarz poddawany cenzurze/ po latach zamienia się w jannika, to i myśli na jannicze i janniczość mu "bezwiednie wychodzi czy nie wychodzi".

#### Poprawka histo/e/ryczna

W "Miesięczniku Literackim" z sierpnia 1979 ukazał się ciekawy i pełen erudycji esej prof. Mariana M. Drozdowskiego "Stanisław Grabski". Wielki Kanclerz naszej polityki, na przestrzeni lat nismal 60-u działa-

jący w trzech zaborach, dwóch państwowościach polskich w kraju i na emigracji, podczas trzech wojen /z tego dwóch światowych/ oraz paru rewolucji, zasłużył sobie na pewno na przypomnienie. Profesor Drozdowski ze znajomością i talentem kreśli jego dzieje, od socjalizmu i tworzenia PPS w Paryżu do Dmowskiego, endecji i rządu Witosa, aż spowrotem do Krajowej Rady Narodowej, gdzie Grabski siedział przy Bierucie, jako jej wiceprzewodniczący. Tylko jedno "ale"...

Profesor Drozdowski pisze: "We wrześniu 1939 Grabski współorganizował służby cywilne wspierające obronę Lwowa przed nacierającymi wojskami niemieckimi. Zrezygnował on z oferty udania się do Rumunii i Francji." A dalej: "W rezultacie układu, zawartego przez gen. Sikorskiego z rządem radzieckim został 13 sierpnia 1941 przewieziony do Moskwy. Tutaj mimo bolesnych przeżyć osobistych bronił polityki polsko-radzieckiej gen. Sikorskiego..."

Nic dobrze, ale skąd został przewieziony, co było w latach 1939-1941, jakie to "bolesne przeżycia osobiste"? Według niewydanych pamiętników Grabskiego a także jego osobistej relacji, został on jesienią 1939 we Lwowie aresztowany przez władze radzieckie i wywieziony w głąb Rosji. Wytoczono mu tam proces o działalność kontrrewolucyjno-faszystowską i skazano na 20 lat obcoza. W obczie tym dogorywał z wycieńczenia, gdy nagle latem 1941 pojawili się tam dwaj panowie /towarzysze?/ zaopatrzeni w komplet garniturów i bielizny, przybory do golenia oraz żywność, tudzież dobry alkohol. Wymytego, ogolonego, dobrze odżywionego lecz nic nie rozumiejącego Grabskiego zawieziono samolotem prosto do ... Stalina, który przemówił doń w te słowa: - Panie Profesorze! Zaszka wielka pomyłka! Wiemy, że jest pan jednym z twórców polskiego socjalizmu i że współpracował pan w Szwajcarii z Leninem. Przepraszamy za wszystko i proponujemy...

Dyskrepcja prof. Drozdowskiego poskapiła nam tej malowniczej opowieści. A szkoda: historia potrzebuje nieco soli i pieprzu. Za to cenzura i autocenzura soli bardzo nie lubią... Makostkowe!

#### Cenzura à rebours

W numerze 462 "Życia i Nowoczesności" /29.III.1979/ ukazał się artykuł prof. dr. hab. Arkadiusza Górala "Paserosos". Artykuł traktował o

działalności pewnego amerykańskiego pseudo naukowca, który kierował instytucją PASERA, czyli Profit Acquiring by Scientific Efforts Resembling Activity, co w swobodnym tłumaczeniu oznacza "osiąganie korzyści przez pozorowanie działalności naukowej". Tęgo naukowego profesora, który nazywał się Vester S. Yxilluc opisał i zdemaskował amerykański również profesor B.A. Laruggi. Oto nieco szczegółów:

"Laruggi wyjaśnia we wstępie, że adeptami "pasery" nie są bynajmniej politycy czy businessmeni, którzy dla czerpania korzyści z nauki nie muszą uprawiać działalności "naukopodobnej". Pasero-twórcami mogą być natomiast ludzie działający bezpośrednio na niwie naukowej. Pasero-twórcy działają w organizacjach nieformalnych, podporządkowanych bóstwom, którym rzadko bywa szef instytucji. "Ojcem rodziny" czyli szeryfem jest z reguły szara eminencja, umiejętnie wysługująca się szefem, pełniącym wówczas obowiązki kierownika "papierowego". Kultuwanie pasery odbywa się w zasadzie w zgodności z przepisami, co odróżnia ją zasadniczo od klasycznej działalności mafijnej. Również w przeciwieństwie do klasycznej mafii pasera opiera się na luźno powiązanych ogniwach i lokalni główni paseroscy nie przejawiają tendencji do skupiania totalnej władzy według wzoru "capo di tutti capi".

"Przykładem wzorcowym był w tym przypadku wspomniany już V.S. Yxilluc, który we właściwym okresie był zażartym McCarthystą, a w czasie eskalacji wojny wietnamskiej należał do "jastrzębi", by tuż przed zawarciem pokoju przejść do obozu "gokębi". Poglądy "szeryfa" Yxilluca /ośnionego z Indianką/ na sprawy rasowe były równie klarowne, gdyż we właściwych kołach uchodził za liberała i zwolennika równouprawnienia wszystkich ras. Jednocześnie cieszył się jednak zaufaniem i poparciem wpływowych kół Ku Klux Klanu, co niektórych, nieświadomych arkanów taktycznych "pasery", wprowadzało w zdumienie. Boss, załatwiał wątpliwość i niedowiarów w sposób prosty i skuteczny, doprowadzając do zwolnienia ich z pracy, co krytykantów od razu ustawiało w niekorzystnej pozycji. Nikt bowiem nie darzy nieudaczników sympatią przynależną ludziom sukcesu, zaś wyjątkowo krnąbrnych rozrabiaczy można dodatkowo uciszyć opatrząc ich etykietką "zadykałów".

Daleka ta historia niezbyt mnie interesowała, dopóki pewien życiłowcy Czytelnik nie napisał mi, iż nazwiska Laruggi i Yxilluc czytać należy



pc hebrajsku, od końca, stosując jednak fonetykę angielską. Przeczyta-  
 łem i - zrozumiałem. Chwała cenzurze, która wyostrza zmysły i umysły!  
De mrtuis nil nisi bene.

#### Autocenzura wysokiego szczebla.

31 października 1979 prasa podała, iż w kopalni węgla kamiennego  
 "Silesia" w Czechowicach-Dziedzicach wybuchł pożar, w wyniku którego  
 3 górników zginęło a 26 zostało odciętych, o ich życie toczy się wal-  
 ka.

1 listopada taż prasa podała, że na miejsce katastrofy przybył Ed-  
 ward Gierek, i zapoznawszy się ze szczegółami sytuacji wygłosił prze-  
 mówienie. Oto fragmenty:

"Edward Gierek podkreślił wyjątkowe znaczenie wiedzy i doświadcze-  
 nia dla osiągniętych dotychczas postępów w walce z zaistniałym zagroże-  
 niem. Zawsze i w każdych okolicznościach - powiedziały I sekretarz KC  
 - wszystkich ludzi górnictwa, związanych serdecznymi więzami zawodowej  
 i ludzkiej solidarności oraz wszystkich tych, którzy rozumieją i docze-  
 niają znaczenie górniczej pracy dla naszego kraju i społeczeństwa, wy-  
 różniać powinna dbałość i poczucie odpowiedzialności za zdrowie i ży-  
 cie górników, które są i zawsze pozostaną najwyższą wartością w naszym  
 socjalistycznym państwie.

I sekretarz KC PZPR wyraził zarazem głębokie przekonanie, że wier-  
 ność tej głęboko humanistycznej zasadzie będzie z całą pewnością ce-  
 chowała nadal wszystkich, którzy kierują, uczestniczą i wspomagają trud-  
 ną akcją ratowniczą w kopalni "Silesia" - z myślą o współtowarzyszach  
 pracy zagrożonych najwyższym niebezpieczeństwem. Zawsze pamiętamy, że  
 górnicy swoją ciężką pracą i ponoszonymi niekiedy ofiarami zasługują  
 na najwyższy szacunek i dbałość o ich sprawy, a ich bliskich powin-  
 ny otaczać wielką troską.

Edward Gierek złożył rodzinom poległych górników serdeczne wyrazy  
 najgłębszego współczucia i zapewnił, że towarzyszyć im będzie zawsze  
 serdeczna i wszechstronna opieka."

Przemówienie to demonstruje nam autocenzurę najwyższego szczebla,  
 odzwierciedlającą alienację specjalnie wysublimowaną. Mówca, dobrowal-  
 nie pomijając mały dialektyczny konkret, dotyczący aktualnego losu za-

sypanych górników, poświęca się ideologicznemu naświetleniu sprawy. Na miejsce zaspakajania niewczesnej, masowej ciekawości, mamy wyalienowanie na poziomie najwyższym: Ding an sich /"rzecz sama w sobie"/ stokroć wszakże jest ważniejsza niż derażne ludzkie postrzeganie i doświadczenie!

#### Cenzura w "Res Publice"

Do redakcji działu "Zygzakiem przez prasę" zgłosił się autor artykułu "O krakowskim papieżu i jego polskiej podróży" /"Res Publica" Nr 3/, Stefan Kisielewski, skarżąc się, że Redakcja ucięła mu drugie /piąta część całości/ zakończenie artykułu, zastępując je jednym, wyciągniętym ze środka zdaniem, urwanym do tego w połowie, jakby odgryźł je pies. Na życzenie Kisielewskiego przytaczamy cały skonfiskowany fragment:

Człowiek wolny mówi językiem, gdzie słowem odpowiada ich jednostkowa treść, człowiek totalistyczny mówi językiem zastępczym, gdzie słowo jest tylko liczmanem w złożonej grze politycznych sprzężeń, jest legitymacją politycznej prawomyślności mówiącego. Jesteśmy codziennymi świadkami patologicznego samochwalstwa, odczuwającego ten język, gdzie dla uzasadnienia każdej, choćby najprostszej czynności władz przywołuje się nieustannie słowa najwyższe, jak ojczyzna, patriotyzm, pokój, lud, wolność, postęp, sprawiedliwość, socjalizm. Słowa te zdewaluowały się, przestały znaczyć, brzęczą nam koło uszu jak natrętne muchy, natrętne bo terapię wieloletniego powtarzania uważa się u nas, idąc tu tropem rosyjskim, za absolutnie skuteczną i niezbędną. Mowa urzędowa straciła w końcu treść, stała się mechanicznym rytuałem, na który nikt nie zwraca uwagi. Tymczasem w ustach papieża Wojtyły słowa odzyskały swoje prawdziwe znaczenie: mówił o pokoju, pracy, wolności, ale to już nie była nowomowa, rytuał, forma - słowa odzyskały swą zawartość i swą zręcznicowaną barwę emocjonalną. I lud, naród, niezsowietyzowany dotąd, choć do sowietyzacji przez nieświadomych częstokroć tego co czynią propagandystów nakłaniany, pojął rzecz błyskawicznie, kwitując potężnymi reakcjami a nader czujnie i selektywnie każdą aluzję, każdy podtekst, które w prawdziwej, nie sztucznej mowie nabierają właściwego znaczenia. Bogactwo duchowe w miejsce obowiązującego drętwego ubóstwa - oto co zaprezentował Papież w swych przemówieniach niezależnie od treści

ci religijno-duszpasterskich jego podróży. Naród odzyskuje tożsamość i wolność psychiczną, gdy odzyskuje normalny, z duszy płynący język - jakże szybko zrozumiano to również w nowej, biurowo-fabrycznej, przytkoczonej partyjnymi galówkami i obrzędami Warszawie! Trzydzieści lat mozolnie urabiającej mózgi propagandy słownej pękło i opadło w parę godzin, jak martwa skorupa.

Klasycznym przykładem sytuacji była wymiana przemówień z Edwardem Gierkiem w Bełwederze. Gierek nie odważył się ani nie wysilił na nic nowego, przeciwnie, może z rozmysłem, wygłosił mowę jak na zjazd partii w obecności gości radzieckich. Były tam pieczołowicie zgrupowane wszelkie elementy ustalonego dla tej części Europy "prawidłowego" myślenia politycznego: odprężenie międzynarodowe, wyścig zbrojeń, zahamowanie zbrojeń nuklearnych, porozumienie Cartera z Breżniewem, konferencja w Helsinkach i los krajów Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej, było "polskie zwycięstwo nad hitleryzmem w sojuszu z armią radziecką", suwerenność i bezpieczeństwo oparte na "sojuszu przyjaźni i współpracy ze Związkiem Radzieckim", było współdziałanie Kościółka z Państwem, które "służyć będzie jedności wszystkich Polaków w realizowaniu celów narodowych dla pomyślności socjalistycznej ojczyzny, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej." Słowem cała liturgiczna antologia dogmatów i sformułowań niezmiennych, choć wiele czy dwuznacznych, wbijanych nam pedagogicznie do głowy na co dzień i od święta. Ale zbrakło jednego choćby zdania własnego, bezpośredniego, skierowanego do Papieża, a nie do jakichś Niewidzialnych Suwerenów ponad jego plecami. A na to Jan Paweł II, choć człowiek liturgii obejmującej 700 milionów ludzi, choć biskup Rzymu i wielki wódz Piotrowej Kodzi, choć też polityk i dyplomata, przemówił językiem normalnym, pięknym, serdecznie, bez polemik, zarzutów, serwitutów, przemówił jak wolny człowiek, jak wolny Polak. Jakiż ogromny kontrast!

To był niezwykle wstrząs dla młodych zwłaszcza, owa różnica języków, różnica tonu i gatunku emocji, która poruszyła miliony. Młodzi w parę dni zrozumieli wszystko, przejrzel, zobaczyli gdzie żyją, co oznacza sztuczność oficjalnego stale upolitycznianego słownictwa, jak niewolne były mózgi. Otworzyły im się oczy na inny świat, zrozumieli czym jest wszechobecna cenzura, dotąd uważana za zmartwienie dla elitarnych ints-

lektualistów jedynie. A najdrobniejsze nawet małostkowości, czy niezręczności prasy, telewizji lub władz porządkowych /ostentacyjna mobilizacja policyjna/ posłużyły jako gryzący kontrast wobec papieskiego języka serca, kontrast, który nie prędko się zapomni. Tak, młodzież polska w tych czerwcowych dniach nauczyła się wiele o prawdzie i fałszu, przeszła wielką rekapitulację najnowszej historii Polski - i to już pozostanie, niezatarte, nie do zastąpienia.

To skutek psychologiczno-uczuciowy podróży Papieża, a co ze skutkiem politycznym? Napisałem w "Spieglu", że wolność jest niepodzielna, że nie można "przydzielić" jej kościołowi, nie dając nic tak bardzo z kościołem zrośniętemu społeczeństwu. Ktoś zwrócił mi uwagę, że kościół ma cele inne, nie polityczne: chodzi mu o wolność dla religii, wolność praktykowania i wyznawania, a tę może przecież otrzymać od rozsądnego państwa komunistycznego kierującego się w tym wypadku nie tylko marksizmem, co pragmatyczną racją stanu. Odpowiedziałem, że religia oprócz dogmatyki ma jeszcze swój porządek moralny, a wszakże polityka państwa czy partii nie rozgrywa się poza moralnością - i tu widzę stały zaczyn konfliktu społecznego w narodzie katolickim, nawet przy tendencji Kościoła oddawania cesarzowi co cesarskie.

Lecz nie w tym rzecz w tej chwili. Na pewno Kościół ma swoje cele, na pewno nie zastąpi nam dziś polityki, pluralizmu, wolności wszelkiego słowa. Ale niewątpliwą realnością społeczną, a więc i narodową, i polityczną, jest ów wielki wstrząs i przełom psychologiczny, dokonany przez polską podróż Papieża i przez jego prawdziwe, wolne słowo, którego używał z taką intuicją, spontanicznością a także z wytrawną powściągliwością.

Młodzież, wychowana od kolebki w naszym systemie przywykła od dziecka do sztucznej mowy i sztucznej szkolnej nauki, do spreparowanej a wyłącznej wersji historii i polityki, choć się i nawet czegoś domyślała, to nie miała pewności, a my, ludzie innych czasów, nie mieliśmy możliwości wyjaśnienia wszystkiego - byłoby to może nazbyt skomplikowane. I oto inny, przemawiający bezpośrednio do milionów głos odrobili wszystko - idąc własną, bezpośrednią drogą, poprzez słowo, nowe a odwieczne zarazem.

Młodzi przejrżeli, zrozumieli, że nie są wolni - i to się już nie zmieni. Zostanie wprowadzicie na razie po staremu: drętwa mowa, zawile utajona ekonomiczno-polityczna dyktatura, przemysłnie perfidna zamiana słów i pojęć, wszechobecność cenzury, usatucznione życie. Zostanie - ale raz w pełni uświadomione i odtąd arcywidoczne. Młodzież wie, lud wie, że to nie jest norma, że istnieją inne duchowe światy, że MOGŁOBY być inaczej. Ten przełom jest niezwykle ważny, wręcz nieobliczalny w ważności dla życia narodu, który do niedawna wierzył jeszcze, że historia stanęła tutaj w miejscu, że nic się nie liczy, tylko bieżące trwanie i własny interes życiowy. Przebudził nas :  
 ... , słowiański papież, który pełni łąc trudną rolę ponad granicami totalizmów, dyktatur, orwellowskich barier duchowych, wznowając wiarę w słowo, co na naszych oczach ciałem się staje.

o o o

Nasuwa się pytanie. jak możliwa jest cenzura w piśmie, wychodzącym poza zasięg cenzury? Redaktorzy "Res Publica" twierdzą, że usunęli ów fragment w trosce o prawdę, jako ludzie młodzi bowiem wiedzą, iż młodzież polska nie jest wcale tak oślepiona przez totalizm, jak to twierdzi oddalony wiekiem Kisielewski. W poglądzie tym opiera się kilka założeń, mianowicie: 1/ że wszystkie artykuły drukowane w piśmie muszą być skusne; 2/ iż za skusność lub nieskusność odpowiada anonimowy redaktor, nie zaś podpisany nazwiskiem autor; 3/ że w imię własnych kryteriów skusności redaktor ma prawo zmieniać autorowi artykuł w sposób TAJNY, to znaczy nie powiadamiając publiczności, iż artykuł ukazuje się w postaci zmienionej czyli po prostu mówiąc, zaśluszonej.

I kto dalej będzie twierdził, że nasza młodzież nie jest zainfekowana 35 latami cenzury i autocenzury, że nie uległa zgubnym wpływom totalizmu? Z kim przestajesz, takim się stajesz, gdy przestajesz z jamnikami, sam, niedostrzegalnie, jamniczejesz. "Z prochuś powstał, w mąkę się obrócisz". /Nowaczyński/.

Zakończyć zaś wypada stwierdzeniem quasi Sandauerowskim: najważniejszym zjawiskiem literackim Polski drugiej połowy XX wieku była tajna cenzura i autocenzura, stosowana świadomie lub nieświadomie przez wszystkich piszących oraz redagujących.

## CZYTANIE MIŁOSZA: "ZIEMIA ULRO"

Lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku mają się ku końcowi. Dekada niedługo zatonie koło i ukaże się nam zaskrajona, zamknięta, już po tamtej stronie, raz na zawsze za nami jak pole przegranej bitwy, świadectwo jeszcze jednej porażki w zmaganiach z czasem. Myśl o dopełniająca się stuleciu dla wielu ludzi ma coś z niepokojącego sygnału, który atakuje wyobraźnię, wprowadzając ją we wzmożony ruch. Z pewnością nasza wyobraźnia powiązana jest w szczególny sposób z symbolami czasu, zetknięcie z nimi wyzwala jej najważniejszą władzę: wizjonerstwo. To znaczący przenikliwe widzenie w głąb, poza powierzchnię rzeczy i odczytywanie w zjawiskach takiej ich postaci, która zwraca się do człowieka i dotyczy jego podstawowych spraw - jest wezwaniem bądź groźbą, zmusza do zajęcia postawy. Wraz z symbolami czasu wizjonerstwo staje przed zagadką przyszłości. Ale wizjonerskie odkrycie przyszłości nie musi mieć trybu kategoriycznego, może być dogłębnym przeniknięciem alternatywy, trybu warunkowego, pod jakim czas wchodzi w układ z ludźmi. Wizjonerstwo rozbudzone przez znaki czasu odsłania przyszłościowy rdzeń teraźniejszości, przyszłość rozstrzygająca się w chwili teraz oto przeżywanej. Każdy dzisiaj stawiany krok jest mimowolnym uczestnictwem w dramatycznym albo - albo, które wizjoner dostrzegł z oślepiającą wyrazistością pod naskórką rzeczy. Każdy dzisiejszy gest jest jakby spełnieniem proroctwa, które tchnie trwogą bądź nadzieją. Istotą wizjonerstwa jest więc błyskawiczne zrozumienie prawdy, że pora jest późna i nie podobna już ani chwili zwlekać. Każdy z nas, gdy myśląc o sobie czy o tym obszarze rzeczywistości, w którym jest bezpośrednio wmieszany, dozna jak wstrząsu pewności: pora jest późna! - jest wówczas wizjonerem, coiera się o daną ludzką wyobraźnię władzę widzenia w głąb; odsłania sekret czasu, którym jest układ warunkowy zawarty z człowiekiem.

Zawsze, pod najróżniejszymi formami poetyckimi czy religijnymi, wizjonerstwo humanizowało rzeczywistość, ujawniało, że jej sednem jest człowiek i jego przeznaczenie. Pod widzącym spojrzeniem opada z rzeczy huska "obiektywnego przedmiotu nauki", "czystego faktu"

- odwołania się sens ludzki adresowany do naszego rozumienia i naszej aktywności. Racjonalizm, a ściślej pewien rodzaj racjonalizmu oskarża wizjonerstwo o mityczne irracjonalne pojmowanie świata. Ostatecznie jest ono stwierdzeniem, że świat jako nasze miejsce zamieszkania domaga się by go uporządkować i zrozumieć, że porządkująca wyobraźnia może się w nim doszukać przesłanek ukrytego ładu. W wyobraźni wizjonerskiej, czyli spojrzeniu widzącym, dochodzi być może do skutku najrdzenniejszy ludzki sposób istnienia, różniący je od istnienia zwierząt, roślin, minerałów. Wiedzieli o tym prawdziwi poeci, przeczuwali i filozofowie szukający w człowieku prądnego miejsca prawdy, mistycy znaleźli tu schronienie przed skostniałymi formułami ortodoksji. Widzące spojrzenie przepowiadało ludziom, zwierzętom, minerałom ich sens dojrzewający w głębi zjawisk, przyszłość haniebną albo chwalebą, czekającą na gest powołujący do bytu.

Człowiek, który żyje w dogorywającym stuleciu może być powołany do wizjonerstwa przez nabrzmiewające latami poczucie: pora jest późna. Podwójnie: dla skąpego czasu przypisanego własnemu istnieniu, z uwagi na późność momentu historycznego kiedy świat gdzie się żyje, kultura, do której się należy, stanęły wobec najwyższej groźby: wobec perspektywy utraty swej identyczności. Jest to groźba wyparcia się cech pozwalających człowiekowi organizować wokół siebie rzeczywistość, pozwalających zamieszkiwać ziemię na ludzki sposób, czyli wyobraźnią odczytującą znaczenia i przepowiadającą - tworzącą przyszłość. Można stwierdzić, że i tak już wszystko stracone, zaszły przemiany nieodwracalne rugujące z naszego świata wyobraźnię sensotwórczą, że w człowieku dzisiejszym jakby zabity został ośrodek spontanicznej pracy rozścielającej na całym obszarze doświadczalnej rzeczywistości sieć znaczeń, które są u źródeł estyki i wiary, woli ładu i przeżycia wolności. Można jednak, przy całym poczuciu kruchości, nieomal beznadziejności własnego wysiłku w skali zbiorowej, znaleźć w sobie upartą siłę, głuchą konieczność powrotu do podstawowej, ludzkiej władzy i podstawowego zadania: ujawnić antropologiczne sedno świata nie jako przemoc rozumu technicznego nad rzeczami, lecz jako organizowanie ludzkiej przestrzeni pytań, znaków, wartości. Będzie to powrót z jednej strony do pierwszego dziecięcego oczarowania światem, do źródeł pierwotnej wrażliwości kochającej i afirmującej. Będzie to również powrót do innych źródeł - tych, które biją w przeszłości kultury, niekiedy bardzo dalekiej, niekiedy całkiem bliskiej, sięgającej aż po dwudziesty wiek.

Książka Czesława Miłosza 'Ziemia Ulro' mówi o tym powrocie, o drodze do życiodajnej wyobraźni ponad pustynią nowożytną nauki, rozumu technicznego. Ziemię Ulro wymyślił, a raczej dostrzegł, William Blake: to kraina wydziedziczona i niekaski, duchowego okaleczenia, utraty harmonii ludzkich funkcji. To my zamieszkujemy tę krainę, jesteśmy ludźmi z Ziemi Ulro. Nawet nasza wielkość, to, co wśród nas jest ciągle wysiłkiem twórczości, nadawania kształtu chaosowi, nosi piętno Ulro - pieczęć ograniczenia, deformacji i negatywności. Straciliśmy najważniejszą władzę: skupiania i wiązania świata wokół siebie - świat nie daje nam już sygnałów, pytania stają się zbyteczne i śmieszne, bo z góry wiadome są odpowiedzi: odpowiedzi przeczące. Punktem wyjścia książki jest więc rozpoznanie tej sytuacji i niezgoda. Oczywiście można zawyrokować, szalona i nierozumna niezgoda, skoro jest się mieszkańcem Ulro a czasu nie da się odwrócić. Ale zważmy: czy dostrzeżenie obecnego stanu świata, które równocześnie i w tym samym akcie świadomości rodzi protest, czy nie jest już zdolnością do widzącego spojrzenia, czy nie należy już do przestrzeni wizjonerstwa; czy nie jest tedy rozbudzeniem i powrotem i choćby najwątylejszą - ale przesłanką jakiejś przyszłości?

Coraz więcej mowy piętrzy się na nas, przygniata nas, mowy wygłaszanej i drukowanej, bombardującej ludzi wszelkimi kanałami przekazu. I coraz bardziej, mówi Miłosz, zwiększa się obzar przemilczany - rośnie milczenie człowieka o sprawach najistotniejszych, bariera nawyku, bezradności albo rozpaczy. I to milczenie trzeba przerwać - trzeba nawiązać z inną mową, utraconą od dawna, przechowywaną gdzieś na marginesach wielkiego ruchu panowania i negacji, który unosi naszą cywilizację. Przerwać milczenie wobec samego siebie, wobec innych; zdobyć się na odwagę słowa niedozwolonego i wstydlwego, słowa, które stanowi tabu w tak tolerancyjnym, wszechprzywzwalającym świecie. Rozbudzić w sobie wyobraźnię, która będzie wyzwoleniem. Erosa kłótnego, objawionego kiedyś dziecinstwu, najpierwszej inicjacji w świat. Wejść w przestrzeń wizjonerstwa dzięki wielkim widzącyom, dla których rzeczywistość układała się w scenę wtajemniczeń i prób czekających tego, kto dąży do przywrócenia światu naruszonej ontologicznej równowagi. Można by ją również nazwać naruszoną sprawiedliwością - rozdział bytu i sensu jest bowiem wynikiem pustoszącej działalności nowożytnej nauki. Dla Miłosza wielcy wizjonerzy, od których trzeba się uczyć, to przede wszystkim Blake, Swedenberg, Mickiewicz /ten



mistyczny, przybywający na co dzień w świecie duchów/ oraz Oskar Milosz, daleki kręwny, wielki poeta piszący po francusku, zmarły w przededniu drugiej wojny.

Linie tę można przedłużyć jeszcze w głąb historii, należą do niej Jakub Boehme, renesansowi alchemicy i średniowieczni millenaryści /Joachim de Fiore/, żydowscy kabaliści i hellenistyczni gnostycy, manichejzycy i filozofowie neoplatonscy. A więc drugi, utajony nurt kultury europejskiej - nurt wielkich organizatorów wyobraźni. Zdawało by się, że nurt ten przegrał, został zepchnięty na bok przez ewolucję europejskiej mentalności, która szła w kierunku liczbowego, sformalizowanego obrazu świata, w kierunku świata - przedmiotu posiadania. Ale ta przegrana Mści się dzisiaj na nas, deformuje nasze duchowe funkcje. To ona sprowadziła choćby nihilizmu, ona wygnała nas w krainę Ulro. I okazuje się, że kiedy dzisiaj ktoś odkrywa w sobie potrzebę innego wiązania, otrząśnięcia się z terroru rozumu technicznego, nie pozostaje mu nic, jak obrócić się ku tym tajemnym wychowawcom, budowniczym przestrzeni innej. Ta zaś jest jednocześnie przestrzenią psychozną i kosmiczną, wewnętrzną i zewnętrzną, pełną sygnałów zwróconych do człowieka, mówiących mu, że rzeczy zamieszkiwane są przez jakiś sens, tyleż prastary, odwieczny, co ciągle jeszcze nie-gotowy, przyszły, apelujący do ludzkiej aktywności.

"Ziemia Ulro" jest książką złożoną: opowiada zarówno o sobie, o drodze autora, która rozpoczęła się wśród litewskich lasów i prowadziła nad zatokę San Francisco, o momencie światła, jaki przeżywamy, o tradycji, która jest obecna jakby w stanie uspienia na peryferiach dziedzictwa historycznego, o ulubionych pisarzach i pełnych pasji pracach ześrodkowujących się na wielkich pytaniach o sens i o wartość. Opowiada też o sprawie niezmiernie ciekawej: o tym, jak dochodzi do wyboru tradycji własnej, wyboru pewnej tradycji czy też pewnego jej wątku, więc o tym, jak formuje się czynny stosunek do dziedzictwa. Nie jest to ani proces dowolny, ani jednoznacznie zdeterminowany, przypomina raczej organiczne warstanie i spleatanie się tkanki duchowej, instynktowne niemal nakierowanie na to, co karmi i buduje wewnętrznie. Przypomina biegnącą przez stulecia ciągłość rodów, zawłke genealogii, gdzie gra i przypadek i zdolność przetrwania, i upór, i poczucie otrzymanego zadania. Odkrycie własnej tradycji jest zawsze odpowiedzią na jakąś istotną potrzebę, jest instrumentem tej potrzeby. Dziedzictwo europejskie jest fantastycznie bogate, wielonurtowe,

umożliwia rozmaite identyfikacje, uprawnia próby stapiania różnych wątków. Również próby odpowiedzenia na pytanie, czy mogą ze sobą współistnieć u człowieka dzisiejszego rzeczy tak, zdawałoby się, niewspółmierne jak uczestnictwo w świecie racjonalizmu, panowania nauki oraz wizjonerstwo odciekające przestrzenią duchowego oświecenia, Kosmicznej Miłości; rzeczy tak sprzeczne jak odmowa świadomości fałszywej i wysiłek wiary, że człowiek nie jest strzępkim cierpiącej materii poddanej rozpadowi. Przecież Oskar Miłozz jest współczesnym pierwszych badań atomowych, Blake i Swedenborg współczesnymi Newtonowskiej fizyki - ich wizjonerstwo nie było tylko bezalnym protastem: było budowaniem czy ujawnianiem właściwego miejsca ludzkiego pobytu, które nie jest miejscem, jakie mogłaby nam skonstruować nauka.

Jest jakaś inna ziemia niż ta tylko, którą coraz oświeleńskimi płatają asfaltowe szopy, pokrywają wrzody fabryk i liszaje betonowych miast; jakies inne niebo niż to tylko, które odsyła nam obraz nieskończoności nicości. Są ludzie, którzy to widzieli i przekazali nam wiadomość, w tasieńcach nieporadnych zdań, w hermetycznej formule w przejrzystym, olśniewającym poetycko obrazie. Są to przewodnicy, nauczyciele wyobraźni - odtrutka wszczepiona w cywilizację, która tak choćco produkuje jady przeciw samej sobie. Wielowątkowość kultury, gdy spojrzeć na nią z tego punktu, nie stanowi niezbornej płatiny, zlepku sprzeczności. Jest to raczej coś jak podwójny rytm jednego rozwoju, natychmiastowa riposta na groźbę zachwiania równowagi, na samozatrucie. To racja, że oba te rytmy nie zostały wyposażone w tę samą siłę, że jad zdaje się nieporównanie mocniejszy od lekarstwa, niebezpieczeństwo rośnie bardziej niż ratunek. Ale być może kraina Ulro nie na zawsze i nie do szczytu utraciła pamięć o innej ziemi, skoro wciąż nie wymiara pokolenia widzących budowniczych wewnętrznego królestwa,

Jedna rzecz musi być jeszcze wyjaśniona: świat wizjonerstwa dla Czesława Miłozza nie oznacza próby wkręśnienia utopii, myśli o powrocie do rajy niewinności, gdzie człowiek nie obliczał i nie podbił świat, lecz był w błogim poczuciu opieki, pełnoprawny spadkobierca dziedziny dla niego powołanej do bytu. Świat wizji nie jest żadnym wtórnym dziecięctwem, marzeniem o idylli przywróconej magicznymi zabiegami. Utrata niewinności jest nieodwracalna, jest elementem ludzkiej konstytucji - stanowi chyba w ogóle pierwszą sprawę, jaką trzeba mieć przed oczami, gdy myśli się o człowieku i jego historycznym losie. Utrata niewinności to nie tylko warunek

widzącej wyobraźni, impuls, który uruchomił jej pracę. Ale nie będziemy przecież znowu wołać o szczęśliwej winie: pomiędzy człowiekiem i światem stało coś, co dla Miłosza nie da się wyegzorcyzować żadnymi intelektualnymi kruczkami, coś najbardziej, najstraszliwiej bezpośredniego, dotykającego: zło - i jego jednostkowe ucieleśnienie - ból. To jest zaporą dla wszelkich pokus utopii, piętno dojrzałości na człowieku, który wie, że nie przekroczy bramy dzieciństwa. Dlatego w "Ziemi Ulro" rola wizjonerstwa od niczego nie jest dalsza niż od zachęty, aby stworzyć sobie prywatną idyllę, gdzie każdy mógłby się schronić, zastrzakując za sobą drzwi prowadzące na zewnątrz. Wizjonerstwo oznacza spojrzenie widzące do głębi, spojrzenie które odsłania to, co najdotkliwsze: chorobę jednostki, chorobę cywilizacji. Nie idzie o skonstruowanie w sobie wewnętrznego rajy /nawet gdyby dla kogoś było to osiągalne/ subiektywnego urojenia harmonii i bezpieczeństwa, gdzie sens jest z góry dany a świat tylko czeka, abyśmy go uświetnili naszym istnieniem. Wyobraźnia nie wypiera się pamięci, wiedzy o upadku, o złu, nie zawieszając solidarności z cierpiącym i pohańbionym światem. Ale, jak sądzę, wizjonerstwo jest również i w tym samym momencie widzeniem i prorokowaniem. Czyli ujawnianiem przyszłości, która staje przed jednostkami i zbiorowościami pod postacią układu warunkowego, paktu z czasem alternatyw, czasem wybranych i niewybranych wyborów. Przyszłości, która jest już teraz-niejszością, kiedy ze zgrozą albo nierozumną ufnością uświadamiamy sobie w jednym mgnieniu: pora jest późna.

Dom, który budujemy w przestrzeni wyobraźni, w przestrzeni przyszłości uwewnętrznionej, okazuje się nie taki odległy od domu dzieciństwa, od tego, co w dzieciństwie kształtowało obrazy, słowa, gesty, wśród których wzrastaliśmy. Droga do dojrzałości przypomina luk, którego dwa końce odpowiadają sobie, odszukują się poprzez obszary oddalenia: "Gdyby mnie zapytano skąd pochodzi moja poezja, odpowiedziałbym, że z dzieciństwa, a więc z kołęd, z liturgii nabożeństw majowych i niespornych - jak też z Biblii Gdańskiej, jedynej wtedy dostępnej". Nie ma innego sposobu zachowania w sobie, opowiedzenia innym o tym wszystkim, co kiedyś otworzyło się dziecku i ciągle nawiedza dorosłego - o całym zachwycie i zdumieniu światem, że jest jaki jest, o przerażeniu, że nie może być inaczej. O tym, co w braku lepszych określeń można nazwać uważnością wobec rzeczywistości, słuchem na nią tak przenikliwym i muzycznym, że trzeba tu mówić o słuchu absolutnym. Miłosz mówi o swojej wdzięczności dla tradycji, o świadomości, która oddziela go od ogromnej więkzości współczesnej litera-

tury, że człowiek nie pojawia się z nikąd. Formy, jakie się dzie-  
dziczy dla nazywania i porządkowania rzeczy, są również inicjają  
w problemy, w prowadzone od pokoleń, od stuleci poszukiwania wew-  
nętrznego domu dla człowieka. Są jedynym dostępem do ośrodka życia:  
wyobraźni.

Wizjonerstwo "Dziadów" wtopione w obyczaj domowy, nie tylko w ma-  
giczną solenną obrządku katolickiego, ale w powszechną liturgię  
dnia, pór roku, nocy i świata, śmierci i odrodzenia przyrody, poło-  
żyło podstawy przeżywania świata, od którego człowiek nie może się  
odciąć nie płacąc za to duchowym okaleczeniem. Symbolicznej wizji  
świata uczestniczącego w najważniejszym ludzkim procesie: kształto-  
wania się mowy, nazywania i wytyczania kierunków. Od "Dziadów" droga  
prowadziła do Blake'a, Swedenborga, Oskara Mikołaja - wejście w kon-  
takt z ogromnym wysiłkiem ludzkiej myśli, by świat wewnętrznie prze-  
budować i ocalić. Wejście w świat form wyobraźni, która jest zarazem  
wiedzą, mądrością. Jednym pociągnięciem pióra odgradzić się od cwo-  
ców poszukiwań całych generacji, jak robi to dziś tylu piszących,  
to nie tylko już pycha i zaślepienie, to jakby odruch samobójczy,  
wywołana rozpaczą odpowiedź na rzeczywistość modelowaną przez rozum  
techniczny.

Pytanie: skąd się wziął? pokrywa się z pytaniem: skąd wzięły  
się moje problemy? Dlaczego te sprawy właśnie mnie przesładują, dla-  
czego umysł krąży wokół paru niezmiennych znaków? Każda opowieść o  
drogach własnego umysłu jest opowieścią o własnej genealogii, ma  
podwójny bieg: naprzód ku rezultatom, ku "teraz" własnego rozwoju  
i wstecz, ku korzeniom. Jednostka ma o wiele starszą historię niż  
ta mierzona od jej narodzin. To znaczy: jej doświadczenie świata się-  
ga daleko poza własne widzenie i odczuwanie. Miej genealogię, miej  
historię to przeżywać doświadczenia nieskończonych pokoleń, również  
szaleńców bożych, poszukiwaczy wiecznej Sphii, topografów ogrodów  
niebiańskich, którzy napominali ludzi, że grozi im utrata domu, gdy  
wyrugują z rządzonego przez naukę świata przestrzeń wewnętrzną i  
symboliczną. Ktoś, kto pobieżnie rzuci okiem na zapis ich wizji i za-  
wyrokuje, że majaczenia i bełkot, własnolubnie wygania się z histo-  
rii a więc traci wszelkie narzędzia rozumienia. Wygania się ze świa-  
ta po prostu i może już tylko monologować w pustkę o jednej wielkiej  
czczości, pod jaką objawiło mu się sedno rzeczywistości. Tak więc  
obudzenie żywiołowej wyobraźni utożsamia się z otwarciem na histo-  
rię, staje się ona przedłużeniem naszego widzenia i odczuwania poza  
granice przypisaną jednostce. Prawdziwym instrumentem przedłużającym

nasze zmysły, wielokrotniającym ostrość widzenia nie są przyrzady naukowe, ale tradycja - uczestniczyć w tradycji to właśnie widzieć, a widzieć do głębi to budować i prorokować.

W książce Miłozza słychać jeszcze inny ton, pełen niepokoju, ton jednego z mieszkańców Ziemi Ulro; ale co może ocalić pojedynczy człowiek? Wdając się w swoją sprawę z tradycją, odnajdując dla siebie jej utajony nurt odpowiada na własną palącą potrzebę. Ale czy może to mieć jakąś wartość poza szukaniem własnego ocalenia, które przeciałoby być wyłączone jednostkowym przywilejem, ni stąd ni zowąd ofiarowanym subiektywnym komfortem. Człowiek z Ulro wie, że tak czy inaczej ocalenie musi być wspólne, albo go wcale nie będzie. I ten niepokój jest w książce szczególnie dojmujący: nie widać zapowiedzi, że możliwy jest powrót człowieka do siebie, w przestrzeń wewnętrzną. Podczas całej lektury prześladuje to wrażenie i oszuje się, że jest to wielki problem dla autora. Ale widzenie prawdziwe zawsze jest zarazem przepowiadaniem, ponieważ jest przypominaniem przymierza człowieka z czasem. Kiedy romantycy wierzyli, że wizja jest również aktem, mieli na myśli bliski wstrząs, obalenie fałszywych podstaw świata i cudowne jego przeistoczenie, którego zaczynem będzie cwo przepalające duchowe widzenie. Można wyobrazić to sobie inaczej /choć nie tak znówu sprzecznie z tamtymi rojeniami/: wzbudzenie zapomnianych czy uspiomych prądów tradycji i wydobyć na jaw jako możliwej przesłanki własnych wyrobów, własnego formowania, za każdym razem zmienia nieuchwytnie gotowy układ pozycji, miesza szyki gry, która jest w toku. Unie-możliwia wygodne negacje, kompromituje schemat. Autentyczne wizjonerstwo ma zapewne coś z aktu, ponieważ zawiera ładunek wyzwania, nawet jeśli jest to tylko rzucone ziarenko. Można pytać na jaką głębę upadło to ziarenko, ale ono jest i już wszeszło. Ach, o czym tu mówić - jest już wielkim drzewem - drzewem poezji i medytacji Czesława Miłozza.

## PO STRONIE PAMIĘCI

"Ale byłeś, życie moje, o życie moje, nieustającym szukaniem snu ogromnego, w którym w harmonii przedustawnej byli bliźni i zwierzęta, i rośliny, i chimery, gwiazdy, i minerały, a którego zapomniało się, bo zapomnieć go się musi, i szuka się rozpaczliwie i tylko sporadycznie odnajduje jego tragiczne obłomki w ożywym cieple, w szczególnej sytusoji, w spojrzeniu, we wspomnieniu też zapewne, w męce szczególnej, w chwili, w skórze - przecież kochałem ją pasjami, w głosach, w głosach. I stąd zamiast harmonii rozdarcie, i urywki. Może to i tylko to jest byciem poetą?"

/Aleksander Wat, "Mój wiek"/

"Niedaleko tego Zamarstynowskiego więzienia były wzgórza i latem był zapach łąk i zwłaszcza siana. I wyobraź sobie, w tej wędrowce ze śmierdzącego klozetu, ze śmierdzącej celi, te właśnie spaceru najwolniejszym krokiem, przy oknach na roście otwartych na podwórze i zapach rozgrzanego lata, to było szczęście. To było nie tylko szczęście, ale to była katarsis, obmycie się wewnętrzne, psychiczne, duchowe. Chwila nie trwała długo, ale w gruncie rzeczy w psychicznym czasie trwała bardzo długo. Tak że to są takie bardzo drogie moje wspomnienia i rzeczywiście żapałem się na tym: ach! jeszcze raz przeżyć!"  
/I, 331/.

Obsesja powrotu ujawniała się podczas pobytu w więzieniu lwowskim w postaci niezwyklego doświadczenia czy świczenia wewnętrznego. Mianowicie każdego wieczoru, przed zaśnięciem, pragnąc uciec przed gwarem celi, Wat odbywał w myśli powrotną wędrowkę z celi, korytarzem, przez podwórze, za bramę, a następnie ulicami Lwowa, szybko, ale nie pomijając żadnego odcinka, aż na Nabelaka 9. Tam wchodził, witał się z dozorczynią, potem z żoną i synem, rozmawiał z nimi długo, pijąc oczyszczającą herbatę, wreszcie tą samą drogą wracał do celi, gdzie natychmiast zasypiał. Doświadczenia, o sile halucynacji, powtarzało się odczennie przez kilka miesięcy. Aż pewnego dnia sobowtór zastał drzwi zamknięte i doznał wrażenia absolutnej pustki. Póź-

niaj okazało się, że było to cztery dni przed nocą, w której Oleg i Andrzej Watów wywiezione do Kazachstanu. Może właśnie tamtego dnia zapadła decyzja!

Czytając "Mój Wiek" ma się często wrażenie fizycznego uczestnictwa w więziennej tułaczce autora. W czasie nagrywania pamiętnika Wat ponawia niejako tamte wieczorne doświadczenia. Wymaga to większego wysiłku psychicznego - a chyba także fizycznego - od tamtego Aleksandra Wata z lat wojny dzieli go bowiem podwójny dystans, czasu i przestrzeni /pamiętnik nagrywany był w Kalifornii i w Paryżu w roku 1965/. "Wracam do celi. Jeżeli coraz to zapuszczam się w dygresje i zbytczne często racjonalizacje, wynika to nie tylko z nałogu czy nieporadności pisarskiej, ale, ale tak nieklatwo jest dobrowolnie powrócić do tury. Żeby po 25-ciu latach wrócić do niej pracą wiernej pamięci, muszę uczynić to samym sobą, niemal cieleśnie, w najwyższym skupieniu na jakie mnie stać, a jestem o tyle już starszy, o tyle bardziej zniszczony..."

Istnieją zatem poważne podstawy, by "Mój Wiek" włączyć do nurtu, który można nazwać "literaturą powrotu". Nurt ten ma znakomite tradycje, poczynając od starogreckich poematów cyklicznych. A czy takim wielkim powrotem do domu na Itace nie jest "Odyseja"? I wszelka literatura, która rodzi się z nostalgii? Etymologia powiada: algós - ból, nostos - powrót do domu. Ból z powodu niemożności powrotu do domu. Choćby tym domem było więzienie. To ból nadaje ostrość wspomnieniom. To ból pozwala lepiej zrozumieć utraconą przeszłość. "Dziś piękność twą w ocaj ozdobie /Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie."

Powroty poety nie mogą być się bez SŁOWA, które jak Hermes pośredniczy między nim obecnym a dawnym. Wat jest szczególnie wyczulony na materialny niemal związek między słowem a rzeczą. We wstępie do swego nienapianego arcydzieła, którego sybystytutem jest mówiony pamiętnik "Mój Wiek", pisał, że on, autor, "jako poeta ma poczucie, które nie opuszcza go nigdy, że między rzeczą a jej wyrazem słownym, a także między słowem a słowem, zaciągnięte są i wciąż zaciągają się błony - "formy" /czy "struktury", żeby być bliższym dzisiejszemu słownictwu/ pojmowania i niepojmowania". Lektura "Mojego Wiek" ujawnia źródła i inspiracje tego przeświadczenia. Po pierwsze: futurysta, z hasłem "słowa na wolności". Aby uniknąć nieporozumień trzeba tu dodać, że futurystom nie chodziło o wyzwolenie samych słów, o obdarzenie ich wolnością. Chodziło im o przyznanie sobie zupełnej swobody w posługiwaniu się słowami. Stern, Wat, Czyżewski i Jasieński wy-

ciągnęli z hasła Marinattiego wniosek, "że słowa są rzeczą i że można z nimi robić, co się żywnie komu podoba". Jest w tym stanowisku intuicyjne poczucie związku między słowem a rzeczą, tyle że związku ograniczonego do słowa: słowo jest rzeczą, słowo jest materialne, a reszta się nie liczy.

Szersze rozumienie związku między rzeczą a słowem przyjął Wat w latach czterdziestych /swojego i naszego wieku, poeta bowiem urodził się 1 maja 1900 roku/. Przełom światopoglądowy wiązał się za zmianą postyki, z odejściem od awangardyzmu. Znaczny wpływ na zmianę stosunku do słowa miały długie rozmowy z Dunajewakim, etymologiem-amatorem, prowadzone w celi na Łubiance.

Dunajewski wychodził z tych samych założeń, co słynny radziecki językoznawca Mikołaj Marz, twierdził mianowicie, że struktura języka jest tożsama ze strukturą faktów, że "w słowie odzwierciedla się byt". Wat nie godził się oczywiście z "nową nauką o języku" Marra, ale przysłuchując się przez kilka miesięcy fantastycznym wywodom etymologicznym Dunajewskiego oswoił się z myślą o specyficznym i wielowarstwowym związku, jaki łączy słowo z oznaczaną przez nie rzeczą. Po latach określa ten przełom myślowy jako "nawrót do odczuwania biologicznego związku słów na wyższym poziomie, nie mineralnego, biologicznego, czy nawet archetypalnego, z historią, z niesłychanie żywymi tkankami ludzkich losów, losów pokoleń, losów narodów. I odpowiedzialność za każde słowo, za właściwe użycie każdego słowa." A zatem zupełne przeciwieństwo wobec futuryatycznej koncepcji słowa. "Słowa na wolności" i "odpowiedzialność za słowo".

o o o

Słowa są tylko materią wspomnień, w ruch wprawia je dziwna siła motoryczna, którą nazywamy pamięcią. Pamięć intryguje Wata jako zjawisko psychologiczne. Pamięć własna i pamięć innych. U siebie Wat stwierdza np. swego rodzaju antypamięć - ongiś mógł godzinami opowiadać o Majakowskim, teraz nie potrafi nakreślić sylwetki rosyjskiego poety. A więc wymazanie pewnych obszarów pamięci jako ekspiacja za przedwojenny flirt z komunizmem.

Zainteresowanie pamięcią nie było obce młodemu Watowi. W szkicu o twórczości Prousta i Joyce'a, ogłoszonym w roku 1931 w "Miesięczniku Literackim" Wat przeciwstawiał pamięć osobowości. U obu tych pisarzy osobowość jest według niego zakwestionowana "przez te pasma, które kojarzy tylko pamięć". W "Moim Wieku" wspomina też pewnego starego komunistę, który miał specyficzną pamięć, wykształconą w dzieciństwie na Talmudzie. Oszłowiak ów uczył się na pamięć wielkiej



encyklopedii radzieckiej. A że encyklopedia dopiero wówczas wychodziła, w okresie znajomości z Watem wiedział wszystko do litery K.

Pamięć Wata jest także fenomenem. Nie tak pojemna, nie mechaniczna, jest pamięcią poety. "Mój Wiek" mógłby być świetnym materiałem dla psychologa, zajmującego się zagadnieniem pamięci. Halucynacyjna dokładność wspomnień sprzed dwadzieścia pięć lat każe myśleć o zjawisku swymy hipernezją - nadpobudliwością, nadwrażliwością pamięci. Przyczyn tego stała pobudzenia doszukiwać się można właśnie w doświadczeniach więziennych. "Bardzo dużo się wtedy wspominało - powiada Wat. - Pamięć robi się niesłychanie wierna. Poza tym pamięć staje się mikroskopowa. Jakieś rzeczy, które pamiętałeś sumarycznie, w ogólnym zarysie, widziasz jak przez szkło powiększające, sceny, przeżycia, uczucia." Takie przesady nieobce są wielu więźniom. Wat doświadczał też innego, rzadsiej spotykanego zjawiska. Pamiętał mianowicie wszystkie twarze, o jakich pomyślał, z wyjątkiem dwóch najważniejszych - twarzy żony i syna. "Robiłem niesamowite wysiłki - wspomina. - Doszedłem do pewnych technik, prawie jogi w różnych ćwiczeniach. Ale to było dla mnie niemożliwe." Wynalezione przez Wata techniki pobudzania pamięci, nieskuteczne wówczas, zaowocowały po latach w postaci precyzyjnych, bardzo konkretnych wspomnień "Mojego Wiek".

Mała dygresja á propos twarzy. W drugim tomie "Mojego Wiek" Wat opowiada o ostatnich dniach Stiekiowa, redaktora naczelnego "Izwestii", który umarł na szarwonkę. Wstrząsające wrażenie wywiera bezліtośnie dokładny opis twarzy Stiekiowa, opis zmian, jakie wywołała w niej choroba. Trudno zwłaszcza zapamiętać te powiski, z początku białe i cienkie jak chudełka percelana, a potem optchnięte i grube jak opony. Opis śmierci Stiekiowa to wielka literatura. A przecież kilka rozdziałów wcześniej Wat skarży się Mikołowski, że nie jest zadowolony ze szkicu o Stiekiowie, jaki umieścił w "Kulturze" i w "Contrat Social". Przyznaje, że wszystkie fakty są tam prawdziwe, zgodne z jego pamięcią, ale ton jest fałszywy. Powiada: "trochę dziwadzyłem. O twarzach pisałem, o fizjonomice."

Na czym polega ten fałszywy ton, którego zresztą nie ma w opisie twarzy Stiekiowa na kartach "Mojego Wiek"? Na literackości. Watowi groziło popadnięcie w literackość. Świadczy o tym chociażby historia "listu z pejzażem", autentyczna anegdota z okresu pobytu w Kirgizji, której morał brzmi: "jak się ma do kogoś sprawę, prośbę, to nie należy pisać o pejzażu." Świadczą też trzy rozdziały, które Wat zdążył przed śmiercią opracować. Może się mylić, ale dla mojego ucha niektóre fragmenty brzmią zbyt literacko. Na przykład ten: "Więc gdy po po-

Żadni podjąłem przerwana lekturę Prousta, moje osobiste wspomnienia i wspomnienia Prousta przystawały do siebie jak dwie przedarte połówki banknotu. I dziecięcy płacz narratora z powodu conoconej rozłąki z matką, ten płacz, który - jak to sobie pisząc uprzytomnił - trwał u spoju jego całego życia, rozpoznawał siebie w moim tajonym płaczu." Tak się nie mówi, tak nie mówi nawet świetny gawędziarz /czy to nie za frywolne określenie?/, Aleksander Wat.

Można zatem powiedzieć, że "Mój Wiek" balansuje na nieuchwytnych granicy między literaturą, a tym, co nie jest literaturą. Dzięki bogactwu języka, dzięki ważkości problematyki, dzięki mnóstwu oryginalnych pomysłów i teorii, interpretujących naszą współczesność, książka Wata ma zapewnione miejsce pośród kilku najwybitniejszych pozycji prozy polskiej dwudziestego wieku. Zarazem dzięki zapisowi na taśmie magnetofonowej Wat uniknął "przestylizowania", uniknął literackiego banału, uniknął tego, co jest największym wrogiem piękna - urody. Tak, to nie paradoks. Wszystko może być pięknem, nawet brzydota - wszystko, prócz urody.

o o o

Literatura powrotu mówi równocześnie o dwóch sytuacjach, dzieje się na dwóch płaszczyznach: Mówi o sytuacji autora w chwili pisania czy opowiadania. I mówi o tym, do czego pragnie on - czy musi - wrócić pamięcią. Pomijam pierwszy aspekt, pozostawiam go przyszłym komentatorom summy Wata. Chcę natomiast zająć się przedmiotem wspomnień poety, materią, którą żywi się jego pamięć.

Najczęstszym przedmiotem wspomnień Aleksandra Wata są ludzie, twarze i rzeczy. Zwłaszcza rzeczy. Niemal wyłącznie rzeczy. Nawet ludzi bowiem wspomina on przez pryzmat przedmiotów. Broniewskiego przez jego "arcyszlachecki" pokój, z tureckimi azablami na perskim dywanie, z mundurami legionowymi, z pianinem, na którym Broniewski grał Chopina à la Przybyszewski /ekspresyjnie i źle/ i z zaczytanym tomem Lenina na biurku. Generała Andersa przez kółko, które Wat odziedziczył po nim na Żubiance i przez boks, w którym Anders pisał ponoć historię kampanii wrześniowej. Szklowskiego przez jego fascynację polskim barokiem. Majakowskiego przez "głód rzeczy". Itd., itd. Nie dziwi nas zatem takie wyznanie: "Bo mnie chodzi nie tyle o ludzi, mój Boże, od tego są powieści itd./.../" Chodzi o niepowtarzalność pewnych sytuacji, pewnych przeżyć. Niepowtarzalność, której najlepszymi świadkami są rzeczy.

Zainteresowanie światem rzeczy, tak charakterystyczne na przykład dla nowej powieści francuskiej, rozkwitło w literaturze europejskiej

gdzieś w okolicach początku naszego stulecia, nie bez związku z kryzysem osobowości. W roku 1907 Rilke ukończył drugą część książki o Rodinie, w której zawarł obszerny wykład swojej filozofii rzeczy. U Rilkego rzeczy żyją, w nich trwa przeszły czas, w nich trwa miłość i poczucie piękna ludzi, którzy je wytworzyli i tych, którzy z nich korzystali.

Z literatury polskiej można w tym kontekście wymieniać "Dzieje jednego pociągu" Struga /1910/, powieść, w której spoiwem fabuły, niemal głównym bohaterem jest przedmiot - bomba. Powie ktoś, że to tylko chwyt kompozycyjny. Ale czyż nie jest znamieny fakt, że oto tytułowym bohaterem powieści stała się rzecz?

W wewnętrzne życie rzeczy starała się wmyśleć Maria-Jehanne Wielopolska-Walszewska w niedokończonych powieści "Rubinowa oś". Zachowały się fragmenty tej książki, związane przez autorkę w roku 1925 do chybiłonej artystycznie pracy "Braterstwo ludów. Rzeczo o dziele nieświadomości". Wielopolska pisze o swoistym obcowaniu światów w ciągłym procesie rozpadania się w pył - rzeczy i ludzi. Zachodzi obopólna wymiana: "Pełno nas wszędzie i coraz mniej z nas samych w nas samych". Tą wymianą tłumaczyć można - zdaniem autorki - zjawisko znaną w psychologii pod nazwą *déjà vu*, a także moc relikwii i jad niektórych amuletów. Obserwacji rzeczy sprzyja szczególnie dłuższa choroba. Wychodzi wówczas na jaw ich utajone życie, tak bardzo związane z życiem ludzi. Życie rzeczy staje się równie cenne, jak życie ludzi. Gdzieś obok ludzkich omentarzy iatnieć muszą omentarzyska rzeczy naszego dzieciństwa.

Nie sądzę, aby Wat czytał wydaną w roku 1926 w Przemyślu książkę Wielopolskiej. Do swojej filozofii rzeczy doszedł innymi drogami. Może za pośrednictwem Rilkego, którego twórczość znał i cenił? Może za pośrednictwem Szklowskiego, jako autora szkiców o Leningradzie, w których pokazał on los tego miasta "poprzez degradację rzeczy"? A może po prostu przez własne doświadczenia więzienne? Ta ostatnia przyczyna jest chyba najbardziej prawdopodobna. Rzeczy objawiają swoje ukryte oblicze ludziom chorym i samotnym. Watowi los nie poskąpił okazji wnikięcia w naturę rzeczy. "Cyfrowo wyraża się to tak ładnie: trzynaście więzień i siedemnaście pobyków w szpitalach."

We włączonym do "Mojego Wieku" szkicu o religii Wat wyznaje, że w więzieniu żył jakby w dwóch odrębnych światach. Choć nie było między nimi połączeń, nocny świat przeżył religijno-metafizycznych i dzienny świat dyskusji ze współwięźniami przystawały do siebie "jak części banknotu, przedartego przez spiskowców". Znamienna jest ta tożsamość

w dwójności. Charakteryzuje ona także wiele wierszy, które zostały zapisane w latach sześćdziesiątych, a które odtwarzają przeżycia, więcej, są próbą rekonstrukcji wierszy układanych w całość w latach czterdziestych. Ta sama reguła rządzi "Moim Wiekem". Przeszłość uobecniona. Dwie połówki banknotu. Chwileczkę, Jakże dwie połówki? Tekst "Mojego Wiek" jest przecież jeden. Siła tej książki polega na tym, że potrafi ona zasugerować istnienie tamtej pierwszej, wcześniejszej połówki.

Szukając klucza do "Mojego Wiek" sięgnąłem po "Choroby pamięci" francuskiego psychologa i filozofa z przełomu XIX i XX wieku, Théodul'a Ribota. Ribot zajmuje się między innymi pobudzeniem pamięci, czyli hipermnazją. Omawia szereg przypadków skrajnych - ludzi, którzy otarli się o śmierć i mieli przed oczyma obraz całego swego życia, ludzi, którzy w ciężkiej chorobie używają języka, jakim mówili w dzieciństwie, konwertytów, którzy przed śmiercią modlą się słowami pierwszej swojej wiary. Wnioski francuskiego psychologa są tak fascynujące, że pozwałam sobie przytoczyć je w całości /przekład Juliana Steinhausa, Warszawa 1886, s.166/:

"Wskutek choroby, która zwykle kończy się śmiercią, najmłodsze warstwy pamięci zostają zniweczone; rozkład pamięci, idąc wciąż dalej, dochodzi do najdawniejszych nabytków tj. do najstarszych, czyni je na pewien czas świadomymi, by potem zatrzeć je na zawsze. Hipermnazja jest w takim razie wynikiem wyłącznie negatywnych warunków; regresja nie jest normalnym powrotem świadomości, lecz zniknięciem stanów żywszych i silniejszych: tak samo jak słaby głos tylko wtedy może być słyszalnym, kiedy mocniejsze głosy zamilkną. Nabytki i nawyki młodości występują na pierwszy plan, nie dlatego że jakaś przyczyna pcha je naprzód, lecz dlatego, że już niozym nie są zakryte. Odzyskanie takich wspomnień jest, ściśle mówiąc, tylko powrotem do warunków życia, które zdawały się bezpowrotnie zaginionymi, które jednakże zostały przywrócone przez wsteczny rozkład. Nie będą wyprowadzać wniosków z tych faktów: pozostawiam to moralistom. Będą oni mogli między innymi pokazać, że wyrzekanie się kacerstwa przy zgonie jest dla psychologii tylko objawem nieuleczalnego rozstroju umysłowego."

Jak się ma powyższe do Aleksandra Wata? Nie chcę twierdzić, że wyparcie się komunizmu, nawrócenie do chrześcijaństwa czy ewolucja poetycka od futuryzmu do klasycznego ładu świadczą o regresji umysłowej autora czy rozkładzie osobowości. Byłby to wniosek efektowny, ale i zbyt daleko idący. Przeciwno niemu przemawia choćby fakt, że nawrócenie Wata nie było powrotem do religii dzieciństwa - poeta pochodził

z rodziny żydowskiej i nigdy nie był ochrzczony. Trudno poza tym mówić o rozkładzie umysłu, który na kartach "Mojego Wieku" jarzy się wspaniałym blaskiem.

A przecież stroniczka ze starej, poźóikłej książki Ribota mogłaby być mottem pamiętników Wata. Posta był w ostatnich latach ciężko chory. W czasie długotrwałych ataków bólu nie mógł pisać, często nie mógł nawet czytać. Życie bieżące, terażniejsza ulegało w ten sposób redukcji, "mocniejsze głowy milkły". Albo, żeby użyć innego porównania: choroba unicestwiała terażniejszość jak w kopalni odkrywkowej usuwa się z wierzchu ziemię, aby odsłonić złoża, aby uzyskać dostęp do jego kolejnych warstw.

## ZJAZD HISTORYKÓW

Kolejny, XII swój zjazd środowisko historyków polskich ma już poza sobą. W wystawnej sprawie, w wypełnionych z reguły po brzegi salach, tożzone mniej lub bardziej żywe dyskusje, wcale często spierano się, z reguły jednak starano się przedstawić swe ostateczne osiągnięcia badawcze. Zainteresowanie towarzyszące zjazdowi, regularna informacja w prasie, radio i telewizji, wreszcie osobisty udział przewodniczącego Rady Państwa zdawały się, w odczuciu uczestników, świadczyć, iż historia odgrywa w życiu społeczeństwa i kraju znaczącą rolę.

Zdarzały się, co prawda, w czasie tej czy owej dyskusji wypowiedzi zwłaszcza nauczycieli, którzy żalili się, iż nie zawsze wiedzą, co właściwie mają swym uczniom mówić - przede wszystkim w przypadkach, gdy są indagowani o fakty, których próżno szukać w podręcznikach. Tu i ówdzie dało się słyszeć i twierdzenia, iż podejmowanie owych tematów kończy się niejednokrotnie w przykry sposób dla tego, kto temat taki odważył się omówić. Z głosów tych przebiegał sceptycyzm co do możliwości nieskrępowanego przekazywania prawdy historycznej. Przykłady tam przytoczone, choć nieliczne, sceptycyzm ten mogły jedynie pogłębić.

Skonny jestem zaryzykować twierdzenie, iż nie tyle nawet sceptycyzm, co pesymizm - choć nie brak i cynizmu - staje się typową postawą środowiska w tej kwestii podstawowej przecież dla sensu pracy historyka. Pesymizm potęguje zaś nastrój nieufności wobec głoszonych przez historyka prawd, typowy, jak sądzę, dla naszego społeczeństwa. Problem ten, nie podniesiony oficjalnie w czasie trwania zjazdu, stanie się przedmiotem niniejszych rozważań. Wydaje się, że konieczna jest zwłaszcza odpowiedź na dwa pytania: jakie są nieufności tej źródła i czy proces ten może zostać zatrzymany i odwrócony?

o o o

Historyk, a im bliżej czasów nam współczesnych, tym opinia taka wydaje się być silniejszą, jest dla przeciętnego odbiorcy głoszonych przez siebie prawd tym, kto zniewala swą muzę, który zmusza ją, by przemawiała tak, jak jest wygodniej dla niego, tak, by nie narazić się na gniew mecenasów.

Istnieją, w moim przekonaniu, trzy zasadnicze prawdy tego stanu rzeczy. Jest to po pierwsze potoczne utożsamianie historii jako nauki z historią jako narzędziem propagandy, po drugie świadomość istnienia - w zasadzie prawie wyłącznie w obszarze czasowym historii najnowszej - tzw. "obszarów zakazanych", po trzecie zaś sposób nauczania historii w szkole, zwłaszcza szczebla średniego.

Najboleśniejszym dla historyka-badacza będzie niewątpliwie powód pierwszy. Niejeden, zwłaszcza ten, który rzadko styka się z odbiorcą, a studenta historii poznaje dopiero podczas zajęć seminaryjnych, może się po prostu zachnąć. Nie uważa się on przecież za realizującego propagandowe wytyczne urzędnika państwowego. Wszak, w swym najgłębszym przekonaniu, stale doskonalcąc warztałt badawczy usiłuje w maksymalny sposób zbliżyć się do prawdy. Cóż z tego, skoro zarówno czas i sama naukowe, jak i monografie mają nakłady tak niskie, że w praktyce funkcjonują one w obiegu zamkniętym, profesjonalnym, a nie społecznym. Nie muszą też nikogo przekonywać, żeaspójają one zapotrzebowanie ze strony czytelnika w nikłej jedynie części. Nakład dziesięciu tysięcy egzemplarzy to już nakład o zawrotnej wysokości. Regułą jest jednak, iż miłośi się on w granicach od tysiąca do dwóch tysięcy egzemplarzy. Bezpośrednie komunikowanie się historyka ze społeczeństwem jest zatem w praktyce żadne.

Wydawałoby się, że systematyczne ograniczenie kontaktu historyka z odbiorcą głoszonych przezeń prawd nie ma miejsca. Przecież odbiorcy mają do dyspozycji telewizję, radio, wysokonakładową prasę! Niejeden z nich oglądał specjalne cykle programów poświęcone 60-leciu odzyskania niepodległości czy 40-tej rocznicy września. W tych przypadkach mamy jednak do czynienia ze szczególnie demoralizującym zjawiskiem wspierania czysto propagandowych treści tytułami naukowymi. We wspomnianych tutaj programach w roli propagandowego "naganiacza" występował profesor W.T.Kowalski wykorzystując obecność sporej liczby uznanych autorytetów naukowych, z których nie wszyscy przecież, co trzeba przyznać, posługiwali się podczas tych audycji propagandową frazeologią. Jak jednak reagował będzie odbiorca całego bloku audycji? Czy będzie w stanie dostrzec wyważone, merytoryczne stanowienie za zaskoną głośnej i natrętnej, powtarzanej do znudzenia propagandowej tezy? Będycdawało będzie wrażenie ogólne, mało mające wspólnego z merytoryczną oceną problemów. Stąd też - przez szacunek dla uprawianego zawodu i przez pamięć na składane w dniu doktorskiej promocji śludowanie - udział w tego typu programach nie powinien mieć miejsca, zaś propagandziści z profesorskimi tytułami

winni spotkać się ze strony środowiska ze stanowczym odporem.

Funkcje propagandzistów spełniają z reguły wypowiadający się na tematy związane z historią /zwłaszcza najnowsza/ publicyści. Wystarczy wziąć do ręki egzemplarz jakiegokolwiek "kolorowego" tygodnika, lokalnej czy centralnej gazety codziennej, by stwierdzić, iż rzeczywistego obrazu przeszłości autorzy tych wypowiedzi bądź nie znają, bądź znać nie chcą. Cel jest zawsze jeden - wykazać, iż dopiero dzisiaj, w PRL, mamy prawdziwy, pomimo przejściowych trudności, raj gospodarczy, zaś jednostka cieszy się pełnią swobód obywatelskich i w nieskrępowany sposób może rozwijać swą indywidualność. Stąd przykładowe "demaskatorski" cykl poświęcony okresowi istnienia II Rzeczypospolitej w "Trybunie Ludu", stąd pełne pochwał dla bohaterstwa szeregowych żołnierzy września komentarze połączone z kompletną negacją sensu polityki zagranicznej, wewnętrznej i przygotowań obronnych w "Dzienniku Zachodnim". Cel ten powoduje również stałe poszukiwania odpowiednich wątków w tradycji narodowej, dowolnie następnie przykrawanych i przedstawianych. A jest to przeciwieństwo, przynajmniej w założeniu, codzienna strawa duchowa tego czytelnika, który ma jeszcze się czytać oś więcej aniżeli rubrykę sportową i dział ogłoszeń.

Wniosek generalny może być tylko jeden. Efekty pracy uczciwego, rzetelnego historyka-badacza nie są społeczeństwu znane. Specyficzna, motywowana trudnościami papierowymi polityka wydawnicza, krępująca wypowiedzi i cbezwładniająca już w momencie chwytania za pióro działalność cenzury, wreszcie skuteczny "szum informacyjny" w środkach masowego przekazu sprawiają, że w odbiorze społecznym historyk nie jawi się jako badacz, lecz jako wykonawca propagandowych poleceń aparatu władzy. Z tego punktu widzenia w odczuciu społecznym Klio nie będzie nawet muzą zniewoloną. Będzie muzą zaprzędaną.

o o o

O zniewoleniu Klio świadczy natomiast stosunek "mecenasa" historyka do tych faktów z przeszłości, które woale bądź niezwykle rzadko goszczą na łamach opracowań naukowych, których z reguły brak w wypowiedziach publicystów i które budzą zakłopotanie nauczyciela w szkole. Są to - generalnie rzecz biorąc - fakty z zakresu stosunków polsko-rosyjskich, aczkolwiek mogą dotyczyć również i międzynarodowego ruchu robotniczego, wewnętrznych dziejów ZSRR czy dziejów polskiej lewicy rewolucyjnej. Istnieje wreszcie ośka lista "niepożądanych" biografii. Co prawda w nielicznych tylko przypadkach /wymień-



my przykładowo Katyń czy tajną klauzulę paktu Ribbentrop-Mołotow/ są one objętą swoistą, wbrew woli historyka, mową milczenia. Na owe obszary zakazane może wkrozić i historyk, o ile zrezygnuje z mówienia prawdy, można zatem pisać o polityce wschodniej II Rzeczypospolitej, ale nie wolno dopatrywać się żadnych racjonalnych uzasadnień jej kształtu. Można zajmować się dziejami PPS, ale tylko wówczas, gdy jednocześnie wyobryzmiamy tradycje i wpływy SDKPiL, a potem KPP. Nie neguje się istnienia państwa podziemnego w czasie okupacji, ale monopol na polityczne racje i społeczne wpływy składa się w ręce PPR i GL. Nie ruguje się już daty 17 września 1939 roku, ale ocenia się ją z punktu widzenia Stalina. Listę podobnych przykładów można by, rzecz jasna, mnożyć.

Obszary zakazane ukazywane są przez szybę półprawdy. Jest to o tyle groźniejsze od przemilczeń, iż mówiąc niekiedy bardzo wiele skłania się odbiorcę do akceptowania fałszywych generalnych ocen /przykładem szczególnie dobitnym jest powodzenie zakłamanego przecież serialu "Przed burzą"/.

Nic dziwnego zatem, iż funkcjonująca z mniejszym czy większym natężeniem tradycja nastna nabiera cech mitotwórczych, niekiedy również oddalonych od prawdy historycznej, jak serwowane natrętnie propagandowe ujęcia. W klimacie nieufności do "oficjalnie" przekazywanych informacji historycznych wiarygodną staje się ponadto każda wiadomość, i to bez względu na merytoryczną treść, która pochodzi z łam wychodzącej poza cenzurę prasy czy z kart przywieszonych z Zachu do książki. Jest to zjawisko zrozumiałe, ale z punktu widzenia historyka również niepożądane. Akty rozumowe zostają przecież zastępowane swoistymi aktami wiary! Urok legendy jest jednak mniej groźny aniżeli czar propagandy. Bez legend czar ten działałby znacznie silniej. Dziś ulegają mu tylko umysły słabe. Zadaniem historyka nie powinno być jednak działanie jedynie dla "pokrępienia sero".

o o o

O ile historyk-badacz byłby jeszcze w stanie polemizować z tezą o propagandowym charakterze swej funkcji społecznej, o tyle kontrargumentów niemal na pewno nie znajdzie właśnie nauczyciel. Cała polityka oświatowa sprowadza go przecież do roli li tylko urzędnika. Ostatnio na dodatek daje się zaobserwować zjawisko, iż świadectwem jego kompetencji przestaje być uniwersytecki dyplom na korzyść legitymacji partyjnej albo co najmniej świadectwa ukończenia WUML-u. Nie jest to jeszcze praktyka powszechna, ale ... Ideałem pedagogicznym, wbrew oficjalnym deklaracjom i wbrew wysiłkom uczo-

wych pedagogów, staje się nie uczeń myślicy, lecz uczeń wierzący. Wierzący - bez dowodów.

Kształtowanie "nowego człowieka" jest o tyle łatwiejsze, że dzięki negatywnej selekcji kandydatów na studia nauczycielskie pożądana z propagandowego punktu widzenia wiedza staje się - dzięki precyzyjnym wytycznym i specjalnym politycznym szkoleniom - drogowskazem, którego nienawykli do samodzielnego myślenia absolwent, a teraz pedagog, kurczowo się trzyma. Nie dziwnego zatem, że egzaminatorzy podczas egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie mówią o coraz niższym poziomie zdających. Nie trudno też przewidzieć, że kąt nachylenia tej widocznej od lat równi pochyłej radykalnie wzrosnie wraz z pojawieniem się pierwszych absolwentów dziesięcioletki.

Czy można się zatem dziwić, iż dostrzegający owe propagandowe nastawienie szkoły rodzice, szczególnie ci, którzy pielęgnują jeszcze prawdziwe, a nie pozorne patriotyczne tradycje, nie będą w stanie akceptować modelu wiedzy przynieszonego ze szkoły przez ich dzieci? Czyż nie będzie to dla nich koronnym wprost dowodem, że historia została wprzęgnięta do rydwanu propagandy? Czyż nie utwierdza to nieufności do historii i historyka?

Jestem głęboko przekonany, iż środowisko historyków polskich nie może sobie pozwolić na dalsze kopanie wąwozu pomiędzy nim a społeczeństwem. Wierzę, że jesteśmy w stanie wpłynąć na zatrzymanie tego procesu. Nie dokonamy tego sami, ale przecież to my wychowujemy przyszłych nauczycieli historii, to my wygłaszamy okolicznościowe odczyty i piszemy okolicznościowe artykuły. Jeżeli wyswobodzimy nasz umysł, będziemy mogli choć w minimalnym stopniu sprawić, iż przestanie być niewolną nasza muza.

## ZYGMUNT HERTZ

5 października 1979 zmarł w Maisons-Laffitte i został pochowany na pobliskim cmentarzu w Le Mesnil-le-Roi Zygmunt Hertz. Ludzie, którzy go znali, zachowają wspomnienie o człowieku niezwykłej do-  
broci, ale jego śmierć jest ciosem nie tylko dla rozrzuconych po  
świecie przyjaciół, jest bolesną stratą dla kultury polskiej. Zyg-  
munt Hertz był bowiem współtwórcą Instytutu Literackiego najpierw  
w Rzymie, jeszcze w cieniu Drugiego Korpusu, potem w Maisons-Laf-  
fite pod Paryżem. Był członkiem i kilkunastoczłonowego zespołu wydającego  
"Kulturę", pismo, którego rola dla polskiego życia umysłowego w ostat-  
nim trzydziestoleciu jest zasadnicza.

O niezwykłości tego dokonania daje pojęcie porównania z dzieja-  
mi Wielkiej Emigracji. Mieliśmy wieszczów, mieliśmy filozofów, in-  
stytucje polityczne miary Hotelu Lambert. Nie było środka opinio-  
twórczego rangi "Kultury". I trudno szukać równie imponującego pis-  
ma u wygnańców innych nacji. Publikacje Hercega były wyrazem talen-  
tu jednego człowieka, ukazywały się krócej, ich związek z życiem  
kraju był węższy. Dzisiaj można już chyba bez obawy błędu stwier-  
dzić, że po trwającej od czterdziestu lat /i wciąż zasilanej nowymi  
dopływami/ emigracji Polaków wyzutych z wolności pozostaną przede  
wszystkim wydawnictwa Instytutu Literackiego. Numery "Kultury", książ-  
ki o spokojnych okładkach z jasną kolumną, nieocenione "Zeszyty His-  
toryczne". Gdyby Instytut Literacki wydał jedynie dzieła Gombrowicza,  
wpisałby się na trwałe do dziejów polskiej kultury, tak samo gdyby  
wydał jedynie kolejne tomy Miłosza, gdyby ograniczył się tylko do  
opracowań z dziedziny historii najnowszej. Gdyby tylko wydawał żywe  
pięmi. A przecież zrobiono to wszystko - i wiele innych książek uj-  
rzało światło dzienne i dotarło do kraju.

A przecież jest jeszcze działalność opiniotwórcza na emigracji  
/i rykozetem w kraju/, więcej nawet: działalność "emigracyjotwórcza"  
- kiedy rytm biologiczny pozbawił polską emigrację wybitniejszych po-  
staci politycznych, "Kultura" narzucała problematykę ideową. Lansu-  
jąc hasła, dyskutując poglądy krajowe, pismo powoływało do życia opi-  
nię emigracyjną, tak ważną dla kraju innym punktem widzenia. Norwid wy-

mieniał jako wzór trzy rodzaje wygnańców - tych, którzy zrobili wszystko, co zrobić było można: prości żołnierze, poeci, rodzina Czartoryskich. O zespole "Kultury" chce się z całą powagą powiedzieć, że zrobili więcej niż można było zrobić. Wysiżkiem pracy i siłą perswazji stworzyli ośrodek ponad możliwości emigracji i kraju. Jeżeli ramy pisma, tomy wydawnictw nie napełniły się treściami, jakie byśy czasem chcieli tam zobaczyć, to nasza wina, bo ramy istniały.

O jeszcze jednej działalności zespołu "Kultury" należy tu wspomnieć, o pomocy dla ludzi z kraju, o sprawowanej po cichu, lecz skutecznie funkcji ambasadorów polskiej kultury. W tej dziedzinie rola Zygmunta Hertza była nieoceniona i nikt go nie zdoła zastąpić. Był ministrem spraw zagranicznych udzielonego Xięstwa na Laffitte. Zejmował się human relations. Był ministrem "Kultury" - nie tylko paryskiej, także polskiej. Temu pisarzowi pomóc w załatwieniu tłumaczenia, dla tego naukowca zdobyć jakieś zagraniczne publikacje, jest jakiś malarz, którym warto się zająć, komus należałoby zorganizować odczyty. Zygmunt zawsze miał na to czas. Biegał wokół tych spraw bagatelizując swoje dokonania, od wdzięczności opędział się jakimś starym dowcipem.

Dwadzieścia lat temu Wacław Zbyszewski napisał o "Kulturze" szkic "Zagubieni romantycy. Panegiryk - pamflet - próba nekrologu?". Odtworzał w nim atmosferę początków "Kultury", jeszcze na avenue Cornelle, i szkicował sylwetki ludzi tworzących pismo. Po latach to i owo się zmieniło, ale atmosfera jest podobna - poczucie przeniesienia w czasie i w przestrzeni. Stary dom na skraju podparyskiej miejscowości. O świcie słychać tętent koni, to wierzchowca ze słynnych stajni w Malmaisons-Laffitte. W tym otoczeniu, bardziej może od Paryża francuskim, oaza polskości, kontynuacja dobrych tradycji politycznych i przejęcie się chwilą obecną. Skupienie na przyszłości. Z jaką intensywnością ci ludzie żyją sprawami kraju! Jaki dziwny zestaw silnych i różnych charakterów! Pisał Zbyszewski: "Mieszkańcy Domu Kultury odpowiadali ramcom, w jakich się znaleźli. Żaden z nich na pewno nie był człowiekiem normalnym; wszyscy nie powinni się znaleźć pod jednym dachem, a znalazłszy się nie powinni byli nigdy pod nim wytrzymać". Zygmunt Hertz - to nieraz Sancio Pansa Laffittowskiego Don Kiszota, i bez jego ziarenka realizmu, bez jego zmysłu humoru i dobrego apetytu, no i bez tego robocze wołu Giedroyć by zapewne nie wyciągnął. Gdy sztab "Kultury" rezydował jeszcze na Cornelle'u, ekspedycja książek i numerów odbywała się z Laffitte'u, nie z Paryża; i całym dniami Zygmunt, niezłym riksza, pchał taszkę wypełnioną

po brzegi torbami: pełnymi książek. Czasem próbowałem mu pomagać, ale szybko rezygnowałem: zły stan mego serca był idealną wymówką od przerażającej harówki. Ale on ze swą tęczką nigdy nie ustawał, jak polscy zesłańcy w kopalniach w Nerozyńsku. Rano, przy kawie, w szlafroku, otwierając pocztę Zygmunt Hertz był zawsze zwiastunem dobrej nowiny: "jeszcze jeden prenumeratca", wykrzykiwał, albo: "zanowu tysiąc franków na Dom Kultury".

Kto przyglądał się odmienności charakterów i typów psychicznych ludzi skupionych wokół "Kultury", zwłaszcza Zygmunta Hertza i Jerzego Giedroycia, musiał czasem pomyśleć: a może oni się umówili, może podzielili się z góry rolami, niemożliwe, aby sprzeczności dopełniały się tak znakomicie z punktu widzenia interesów "Kultury" - pisma stanowczego i zróżnicowanego, o silnie zarysowanej linii redakcyjnej i o szerokich kontaktach z krajem? Może się umówili? Książę Giedroyc, pogrążony we własnych koncepcjach, myśli jedynie o problemach pisma; rzuca pomysły i pragnie, domaga się, aby je brano pod uwagę; twardy w sądach, nieskory do kompromisów - taka postawa przyczynia się do wytworzenia grona oddanego sprawie, ale antagonizuje tych, którzy świat i sytuację Polski, i swoją osobistą osądzają w danej chwili odmiennie. Dlatego tak potrzebny jest Minister Hertz. Mniejszy nacisk kładzie na polityczną taktykę i strategię. Interesuje się ludźmi, stara się im pomóc. Ma zrozumienie dla osobistych uwarunkowań. Poza imponderabiliami dostrzega skomplikowaną grę pobudek, interesów, konfliktów. Stara się przede wszystkim dowiedzieć, jak jest.

Obie postawy są ważne. Trudno je pogodzić jednej osobie. Nie można redagować dobrego pisma kierując się przede wszystkim wyrozumiałością i dobrym sercem. Trudno jest zrozumieć działania ludzi w niewoli /i dawać im rady/, jeżeli podchodzi się do ich problemów jedynie z punktu widzenia wartości suwerennych. Dlatego trzeba dwóch temperamentów, aby ogarnąć oba punkty widzenia. I trzeba Zofii Hertz, aby nadać jedność poczynaniom, trzeba jej energii, aby wysiłki zostały zespolone i spotęgowane. Tak, trudno uwierzyć, że taką pracę wykonuje garstka ludzi: Jerzy Giedroyc, Zofia i Zygmunt Hertzowie wspomagani przez Henryka Giedroycia i dorywczą pomoc innych. W PRL więcej osób zajmuje się zwalczaniem "Kultury" niż w Maisons-Laffitte jej wydawaniem. Instytut Literacki stanowi najlepszy dowód wyższości prywatnej iniojatywy nad /choćby potężnymi/ machinami propagandowymi. Ile osób jest w Polsce zatrudnionych przy redagowaniu, przygotowywaniu do druku, cenzurowaniu, kontrolowaniu, ekspedycji

miesięcznika? Gdzie, pytam się, kadry w Maisons-Laffitte, gdzie sprawozdawczość, gdzie kursokonferencje?

W "Kulturze" wszystko robi się własnymi siłami. Z punktualnością wzorową. W domu przy avenue de Poissy widać stale Zygmunta pochylonego nad stronami korekty, bądź zajętego paczkami, Zofię Hertz skupioną nad rachunkami. Jerzy Giedroyc czyta rękopisy. Henryk Giedroyc zdecydowanie panuje nad adresami paru tysięcy abonentów rozrzuconych po pięciu kontynentach. Po schodach wspina się na górkę dwumetrowa sylwetka Józefa Czapskiego. Gustaw Herling-Grudziński opowiada o nowościach z Rzymu i Neapolu. I zawsze goście z Polski, z Anglii, ze Stanów. Ciekawość, co się z kim dzieje, komu można w czymś pomóc. I teraz zabrakło Zygmunta. Jak przejść do czasu przeszłego? - O "Kulturze" nie można mówić w czasie przeszłym, bo nadal działa i trwa w naszym życiu duchowym, mówiąc o niej, mówimy jednocześnie o Zymuncie Hertzu, złączony jest nierozdzielnie z jej istnieniem. Trwa w numerach pisma, na kartach książek.

Trwa w pamięci tych, którym okazał pomoc. Miał stale dziesiątki podopiecznych. Traktował to jako rodzaj sportu: komu jeszcze uda się coś zakatwić? I jako cicho spełniany obowiązek. Zaważyły tu zapewne przeżycia wojenne. Wywózka do Rosji. Ciężka praca na północy. Ocalenie z nieludzkiej ziemi, gdy ważne były przede wszystkim odruchy serca. Ze wszystkich kpił, skrywając gruntowną poczciwość pod ironicznymi komentarzami. O generale Andersie wyrażał się zawsze bez drwiny: wyprowadził mnie z domu niewoli. Opowiadając dowcipy, wymiawiając się z wszelkich objawów tego, co uważał za pozę, za pusto brzmiące frazesy, Zygmunt wciąż zajmował się sprawami innych. Miał też podopiecznych szczególnych. Był dla nich kimś z rodziny, wujem, jak dla Marka Hłaski, któremu okazał tyle serca. Wszystko, co dotyczyło Jana Lebensteina, Ozesława Miłozza, kilku jeszcze osób, było dla niego ważne. Cenił w nich nie artystów, nie "wartości", ale ludzi. Ta troska była stale widoczna. Poczciwiec ona nie mniejszym tytułem do chwały niż praca dla "Kultury". Obie strony działalności Zygmunta przecież się łączą i wpływają z podobnych pobudek.

Mam nadzieję, że zrozumieją to także ci, którzy Zygmunta Hertza nigdy nie znali, a spotkali go tylko na kartach dzieł wydawanych przez Instytut Literacki. Przygotowywał te tomy do druku, woził do składania, wysyłał w świat, przynosił gościom z kraju, pomagał ich autorom, tym w Polsce i tym rozproszonym po świecie. Oficjalne slogany wydawały się w obliczu tych tomów dekoracją, uciążliwą, ale przemijającą.

Stąd zacieklej upór, z jakim przeciwnicy otwartej kultury ścigali i nadal ścigają każdą publikację "Kultury". Na egzemplarze Gombrowicza, Wierzyńskiego, Miłosza, Mieroszewskiego, Broniewskiego, Czap-  
skiego, Kożakowskiego, Herling-Grudzińskiego /i tylu innych/ zastawiane są pułapki na pocztach, celnicy grzebią wśród bielizny, aby je wysledzić, obławy urządzone są także w prywatnych domach. Skonfiskowane egzemplarze maszerują gdzieś tam /gdzie?/ do aresztu. Nawet w Bibliotece Narodowej nie są dostępne dla czytających. Mimo to docierają. Czytane intensywniej od "zwykłych" książek, trafiają oel-  
nisz do wyobraźni. Są fundamentalną częścią kultury polskiej. Insty-  
tut Literacki ma już pomnik w każdej większej bibliotece świata: rzędy półek z rocznikami "Kultury", kilkaset tomów książek, kilka-  
dziesiąt numerów "Zeszytów Historycznych". Ma pomnik w naszej pamię-  
ci i będzie miał /to tylko kwestia czasu/ w naszych mieszkaniach i  
naszych księgarniach. Będzie to także pomnik Zygmunta Hertza.

David Halberstam, THE POWERS THAT BE. Alfred A. Knopf, Publisher, New York 1979, s. 772

Krytycy nie mają wątpliwości: nowa książka Davida Halberstama nie jest arcydziełem a jej autor poświęciwszy ponad siedem lat żmudnej pracy na zbieranie i opracowanie materiałów pozostał przy tym, co zebrał - anegdota są anegdotami, setki anegdot, choćby i najbardziej wiarygodnych, nie tworzą nowej całości, wielki wysiłek nie został zwieńczony d z i e e i e m może dlatego - piszą krytycy - że autor winien był pamiętać, iż jego celem winno być, na przykład, ukazanie procesu koncentracji wpływów i władzy na rynku prasowym amerykańskim tj. że pozornie suwerenna dziedzina myśli, świadomości społecznej etc. coraz bardziej podlega presji wielkich koncernów. Wydaje się jednak, że pisanie o tym, czym winna być książka nie ma większego znaczenia, gdy nie zauważa się, czym rzeczywiście j e s t.

A jest, po pierwsze, dosyć dokładną historią czterech amerykańskich potęg prasowych: Time Incorporated, Washington Post, Los Angeles Times i CBS - historią kryzysów, zwycięstw, klęsk sumujących się we wzroście potęgi. Jest - po wtóre - opowieścią o ludziach tworzących tę potęgę; o Williamie S. Paley'u z CBS, o Phil'u Grahamie z Washington Post i jego żonie Kay, o dynastii Chandlerów władających Los Angeles Times, o Henrym Luce, twórcy Time, opowieścią o magnatach i o dziennikarzach takich jak Edward Murrow, Teddy White, Walter Cronkite osiągających szczyty popularności, niekiedy spadających z tych szczytów. Po trzecie, jest historią społeczną i polityczną mass-mediów amerykańskich. Opowiada, w jaki sposób wielkie gazety i stacje zrazu radiowe a potem radiowo-telewizyjne zaczęły kształtować wyobraźnię odbiorców, by potem podporządkować się jej i dźwigając ciężar tsk uteatralizowanego świata rów-



noważyć siłę swych wpływów - troską o elementarne k o n i é c z n e zasady etyki. Książka zdaje sprawę z tworzenia się szczególnego poczucia odpowiedzialności za słowo: to dzięki radiofonii Rocsevelt wkracza do mieszkania przeciętnego Amerykanina i zyskuje kredyt zaufania umacniającego mu przeprowadzenie szeregu niepopularnych - zdawałoby się - inicjatyw politycznych; radio, prasa i telewizja mają udział w wywyższeniu a potem w zdemaskowaniu paranoicznych zamiarów McCarthy'ego, gdyby nie wysiłki Woodwarta i Bernsteina i stójcej za nimi Kay Graham, afera Watergate nie zostałaby pewnie nigdy ujawniona. Po czwarte, Halberstam opowiada w jaki sposób działania wielkich instytucji było zależne od osobistych ambicji, obsesji i szaleństw ludzi: ... gdyby Luce nie uważał się za wybitnego znawcę Chin i poważnie potraktował ostrzegające teksty swych korespondentów, inaczej ułożyłyby się stosunki amerykańsko-chińskie ... gdyby Phil Graham nie cierpiał na trawiącą go nieuleczalną chorobę ... gdyby Paley nie trapił się swym żydowskim dziedzictwem ... gdyby Nixon nie pocił się przed kamerami telewizyjnymi a jego doradcy użyli innego pudru... Być może to właśnie największa zaleta książki: mnożąc anegdoty, poświęcając mnóstwo czasu na charakterystyki mniej lub bardziej ważnych uczestników dramatu Halberstam chce uchwycić to, co nieskiedy nazywa się p r z y p a d k i e m w historii a co w istocie rzeczy jest ietotnym, żywym szczegółem niezauważonych przez autorów i wielbiocieli apriorycznych syntez.

Auberon Herbert, A COMPOSITE PORTR. EDITED BY  
JOHN JOLLIFE, Compton Russell, Londyn, 1977, s.80

Kilkanaście osób /m.in. Isaiah Berlin, Malcolm Muggeridge, biskup Śipović, Czesław Jęśmian/ wspomina niesłychanie barwną osobowość Auberona Herberta - angielskiego arystokraty, który nie znacznego nie stworzył ani nie napisał, pozostanie jednak w pamięci Polaków, Ukraińców i Białorusinów jako ich

wielki i wypróbowany przyjaciel. Ciężkie, że chestertonowski konserwatyzm, tak zdawałoby się anachroniczny i fantazyjny, pozwolił Herbertowi w 44/45 roku na dużo bardziej przenikliwe i realistyczne widzenie niż setkom pragmatycznym liberatów. Jego oceny aliantów, Powstania Warszawskiego lub Jałty przypominają opinie innego, wyłamującego się ze schematów, Anglika, ale z zupełnie przeciwnego krańca politycznego spektrum, mianowicie G.Orwella.

Paul Giniewski, SIMONS WEIL OU LA HAINE DE SOI,  
Berg International, Paris, 1978, s. 392.

"Należy oczyścić chrześcijaństwo z dziedzictwa Izraela..." pisała Simone Weil w 1942 roku, w epoce systematycznej eksterminacji, "...Żydzi, to garstka ludzi wykorzenionych, byli przyozymą wykorzenienia na całej kuli ziemskiej".  
Czym wytknąć namiętny i ślepy antysemityzm autorki tych słów, tej piekielnie inteligentnej Żydówki? Czym karmić nienawiść do siebie? Książka Giniewskiego nie daje wyczerpującej odpowiedzi, wypełnia jednak lukę w dotychczasowym piśmiennictwie dotyczącym Simone Weil.  
Giniewski stara się pokazać, że jej antyjudajizm był nie tylko psychologiczną perwersją, lecz także w centrum jej systemu przekonań, być może stanowi do niego klucz. Ta nowa i dobrze ugruntowana egzegeza odciała wiele nieznanych lub ignorowanych stron jej filozofii. Oto jeden z pikantnych cytatów: "gdybym była w tej chwili wśród dwudziestu młodych Niemców śpiewających nazistowskie piosenki, część mojej duszy stałaby się natychmiast nazistowska".

Christian Chabanis, DIEU EXISTE? QUI, Stock,  
Paris 1979, s. 533

Znany katolicki dziennikarz francuski przeprowadził przed kilkoma laty serię wywiadów i

opublikował książkę "Dieu existe-t-il? Non, respondent...". Już tamte wywiady dowodziły zainteresowania problematyką religijną i metafizyczną. Większość odpowiedzi negatywnych to były odpowiedzi typu: "nie, ale...". Nowe wywiady Chabanisa przeprowadzone cierpliwie, inteligentnie i często bezlitośnie zmuszające odpowiadającego do sformułowania rzeczy trudnych do opisanego w słowach składają się na nieswykłą książkę. Wśród odpowiadających znajdujemy nazwiska André Lichnerowicza, Jacquesa Ellul, Pierre Chauvin, Roberta Hosseina, Pierre Emanuela, czy Maurice Clavela. A także polityków i tak zwanych "ludzi z kłuma". Książka Chabanisa wywołuje w Francji znaczne poruszenia i stanowi zapewne jesszcze jeden objaw zwrotu ku problematyce duchowej.

François Furet, *PENGER LA RÉVOLUTION FRANÇAISE*,  
Gallimard, Paris 1978, s.259

François Furet jest jednym z najwybitniejszych współczesnych historyków Rewolucji Francuskiej. Jest autorem, wspólnie z Denis Rochet, wspaniałe wydanej i najlepszej spośród ostatnio napisanych historii Rewolucji. "Myślenie o Rewolucji Francuskiej" - to kilka długich szkiców, w których autor zastanawia się nad tym, jak można właśnie myśleć o takim zdarzeniu historycznym, jak myślenie o Rewolucji wpływało i wpływa na nasze myślenie o świecie. Furet próbuje dotrzeć do tego, czym była rzeczywistość Rewolucji Francuskiej, sądzi, że historycy, którzy wciąż nie chcą się wyzbyć ideologicznego nastawienia do Rewolucji, nadmiernie ufają słowom-rewolucyjnym, dyskursowi, a nie dostrzegają tego, co było "rzeczywistością" Rewolucji. Tytuł pierwszego szkicu: "Rewolucja Francuska jest zakończona" wskazuje na myśl autora, na przekonanie, że wraz ze zmianą stylu epoki można zacząć analizować dzieje Rewolucji tak jakby wreszcie stała się ona zamkniętą przeszłością. Znakomita ta książka, nawiązująca wyraźnie do Tocqueville'owskiej

tradycji, została wydana w serii "Bibliothèque  
des Histoires" redagowanej przez Pierre Nora,  
w której ukazało się już wiele pozycji tej świat-  
nej francuskiej szkoły nazywanej szkołą "Anna-  
les" lub "braudelową".

**SPIS TREŚCI**

<b>WIDZIANE Z WARSZAWY</b> .....	1
<b>WYRWANE Z DZIENNIKA — Józef Czapski</b> .....	11
<b>POECI I MORALNOŚĆ</b> .....	24
<b>KISIELIZM JAKO DUCHOWA FORMA ŻYCIA</b> .....	39
<b>Z DOŚWIADCZENIEM W PRZYSZŁOŚĆ</b> .....	49
<b>MICEWSKI PRZECIW AMNEZJI — Jacek Woźniakowski</b> .....	58
<b>STANOWISKA: Pat</b> .....	71
<b>ZYGZAKIEM PRZEZ PRASĘ</b> .....	81
<b>TEMATY: Czytanie Miłosza: "Ziemia Ulro"</b> .....	93
<b>Po stronie pamięci</b> .....	101
<b>Zjazd historyków</b> .....	109
<b>Zygmunt Hertz</b> .....	114
<b>NOTY O KSIĄŻKACH</b> .....	119

W poprzednim numerze:

WIDZIANE Z WARSZAWY - WOLNOŚĆ I WIA  
RA - O KRAKOWSKIM PAPIEŻU I JEGO PO  
KIEJ PODRÓŻY - ODNOWIĆ OBLCZE ZIEM  
SENNIK APOKALIPTYCZNY - TRADYCJE  
HISTORYCZNE A NAŚLADOWNICTWO -  
PRAWA CZŁOWIEKA JAKO "REALPOLITIK  
ZYGZAKIEM PRZEZ PRASĘ - TEMATY:  
liberalizm, komunizm a geniusz chrześcijań  
stwa - Brecht: artysta i polityka - E.E.Cum-  
mings - Pomówmy o pieniądzach - KORES-  
ONDENCJA - NOTY O KSIĄŻKACH

